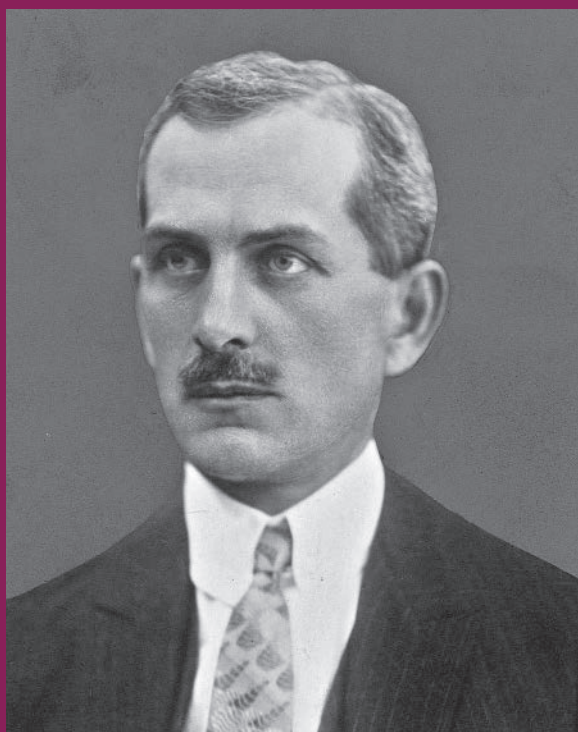


RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

4/191
2024 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 4 (191) 2024 Rok wyd. XXXIII • Cena 15,00 zł (w tym 8% VAT)



Florian ZNANIECKI

był nie tylko socjologiem,
ale i filozofem

s. 85

JĘZYK, KULTURA, TOŻSAMOŚĆ

O języku śląskim w cieniu weta
Andrzeja Dudy, literaturze
niemieckiej i wzajemnym poznaniu
kultur, femintatywach oraz zmianach
zasad polskiej pisowni

DYSKUSJA REDAKCYJNA

Jaka będzie polska polityka po
wyborach prezydenckich '2025?

HUMANIŚCI WOBEC WOJNY

Idee i realia

ŚWIADECTWA

O Zygmuncie Baumanie, Hieronimie
Kubiaku, Stanisławie Janickim
i Zbigniewie Szałajdzie

Unia Europejska

Kościół i wiara

Klimat i środowisko

Forum myśli nieobojętnych

Opowiadanie

Recenzje

Rysunki

Z przyjemnością informujemy, że portal

reshumana.pl

osiągnął pełną funkcjonalność

Znajdą w nim Państwo:

- Codzienne komentarze o wydarzeniach bieżących
Nazywamy je *spotlights*, bo jak w skoncentrowanym świetle reflektorów dokładnie pokazujemy wszystkie strony analizowanych spraw
 - Wszystkie artykuły z aktualnego wydania dwumiesięcznika „Res Humana”
– w wersjach dostosowanych do lektury w internecie
 - Teksty, które nie będą ukazywać się w papierowej edycji magazynu
 - Treści szczególnie polecane przez redaktorów,
które nie tracą na aktualności
 - Opowiadania, wiersze, rysunki, obrazy, fotografie
– także do pobrania na czytniki e-booków
 - Podcasty i filmy,
- możliwość bezpłatnego udziału w konferencjach online organizowanych przez redakcję
- Archiwalne numery „Res Humana”
 - Pełną listę książek wydanych w serii „Biblioteka RES HUMANA”
wraz z informacją, jak je nabyć i fragmentami do przeczytania
 - Możliwość komentowania
w naszych mediach społecznościowych
 - Zaproszenie do publikowania na naszych łamach

Nie znajdą w nim Państwo:

reklam, wyskakujących okienek i wszystkiego, co przeszkadza w spokojnej lekturze

Roczna
subskrypcja
dla pierwszych
Czytelników*
– tylko **30,00**
złotych

Zapraszamy!
Wiedz co się święci.
Rozumiej

* Pozostałym Czytelnikom, po powstaniu obowiązku zapłacenia podatku VAT, do tej kwoty będziemy doliczać jego wysokość.



Piotr Stefaniuk

Od redaktora

W tym numerze szczególnie dużo o języku. W różnych kontekstach: neutralno-urzędniczym, komunikacyjno-etycznym, kulturowo-społecznym i politycznym.

Zamieszczony fragment komunikatu Rady Języka Polskiego informuje o „uproszczeniu i ujednoczeniu zapisu grup wyrazów i połączeń”. Zmiana najłatwiej lokująca się w pamięci dotyczy pisowni wielką literą nazw mieszkańców miast, dzielnic, osiedli i wsi. To zmiany neutralne wzięwszy pod uwagę emocje rozbudzone przez decyzje analogicznej instytucji w Niemczech.

Ale i u nas zmiany językowe budzą emocje. Grzegorz Walczak, deklarując przyjazne nastawienie do feminizmu, stawia jednak opór feministycznemu fanatyzmowi w inspiracji zmian językowych. Anna Sikorska-Michalak polemicznie cytuje zdanie z komunikatu Rady Języka Polskiego, która: „uznaje, że w polszczyźnie potrzebna jest większa, możliwie pełna symetria nazw osobowych męskich i żeńskich w zasobie słownictwa”. Jednak nie odnosi się do obawy Grzegorza Walczaka o redundantne rozczłonkowanie konstrukcji składniowej w zdaniach z rzeczownikami męskoosobowymi w liczbie mnogiej (nie jestem stronnicza: sama postanowiłam posługiwać się w komunikacji z otoczeniem również żeńskimi końcówkami i czekam na pytanie któregoś ze wnucząt: „czy poszłabyś na lody?”. Wtedy uznam, że wniosłam ziarenko odkupienia win męskiej dominacji. Uwierzcie – nie czyni to żadnego zamieszania).

Tymczasem prezydent dał odpór roszczeniom orędowników języka śląskiego, żądającym własnego kąta w polszczyźnie (artykuł Marcina Melona). Dał odpór, bo przeczytał, że śląskość to zakamuflowana opcja niemiecka. Od dawna przekonuje, że czyta, ale nie mówi co. Wiem, czego nie czyta: na przykład *Pokory* Szczepana Twardocha. Mnie ta książka wyjaśniła, czemu Ślązacy chcieli do Polski, bo nie widziałam w tym niczego oczywistego. Po lekturze już wiem, prezydent nie wie, a ja mu nie powiem. Niech czyta.

Pozostał instytucjonalną reductą formacji przez lata odpierającej rozumność i wciąż zagrażającej demokracji, co budzi niepokój uczestników powyborczej dyskusji, zatroskanych kruchym zwycięstwem nad tą formacją i głęboką polaryzacją społeczeństwa wobec modernizacyjnych wyzwań.

O tej polskiej schizofrenii, gdzie ciało jest już na Zachodzie, a duch nie może przekroczyć progu nowoczesności, pisze Tadeusz Klementewicz.

I cała reszta, którą gorąco polecam.

RADA REDAKCYJNA

Zdzisław SŁOWIK –
Redaktor-Senior

Dionizy TANALSKI

Danuta WANIEK

Jerzy J. WIATR –
przewodniczący Rady

Andrzej ŻOR

REDAKCJA

Mirosław
CHAŁUBIŃSKI
– z-ca redaktora
naczelnego

J. Paweł GIEORGICA

Renata
MIEŃKOWSKA-
-NORKIENE

Zdzisław
A. RACZYŃSKI

Anna SIKORSKA-
-MICHALAK

Robert SMOLEŃ –
redaktor naczelny

Ewa SPYŁA
– sekretarz redakcji

Piotr STEFANIUK
Janusz TERMER

ADRES REDAKCJI

00-102 Warszawa,
ul. Marszałkowska 115
lok. 369A,
tel. 518 292984,
e-mail: redakcja@
reshumana.pl

WYDAWCA

Rada Krajowa
Towarzystwa Kultury
Świeckiej im. Tadeusza
Kotarbińskiego.
www.reshumana.pl.

Zdjęcia autorów

Paweł Wójcik
lub archiwum Redakcji

Foto na okładce
ze zbiorów Narodowego
Archiwum Cyfrowego.



Autor: Stolski

Druk w Drukarni ACAD
w Józefowie.

Spis treści

JĘZYK, KULTURA, TOŻSAMOŚĆ

Marcin MELON – Język jest ważnym elementem śląskiej tożsamości/4

Karol CZEJAREK – O literaturze niemieckiej i wzajemnym poznaniu kultur/8

Grzegorz WALCZAK – Feminatywy – próba językowej
rekompensaty w walce o równouprawnienie kobiet/14

Anna SIKORSKA-MICHALAK – Dlaczego feminatywy (dobrze) są?/20

DOKUMENTY – Komunikat Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN z dnia
10 maja 2024 r./23

POLITYKA

Jan GARLICKI, J. Paweł GEORGICA, Zdzisław RACZYŃSKI, Robert SMOLEŃ,
Piotr STEFANIUK, Jerzy J. WIATR – Polska na rok przed wyborami
prezydenckimi/28

KOŚCIÓŁ I WIARA

Mirosław CHAŁUBIŃSKI – Śmierć Boga i jego okolice/37

Piotr STEFANIUK – Wierzący i niewierzący. Dialog i tożsamość. Nie u nas –
w Ameryce/40

Tadeusz KLEMENTEWICZ – Zagubiony przewodnik. „Prawda” Kościoła
i prawda o Kościele/42

WOJNA I POKÓJ

Robert SMOLEŃ – Czy humaniści, do tego lewicowi, mogą toczyć wojny?/47

Jan SZMYD – Gra i manipulacja wojną. Do czego może to prowadzić?/49

Janusz TERMER – Pacyfizm w literaturze pięknej/56

Adam Paweł OLECHOWSKI – U progę gwiazdnych wojen/61

UNIA EUROPEJSKA

UE i napięcia społeczne: Czy coś poszło nie tak? Czy Unia rozwinie się jako
projekt socjalny?/65

POSTSCRIPTUM

Małgorzata B. JAKUBIAK – Rozum w punktach mierzony/67

KLIMAT I ŚRODOWISKO

Joanna HAŃDEREK – Unia a ekologia/74

Piotr CHAŁUBIŃSKI, Alina POGODA, Rafał RYKOWSKI – Zmierzch czarnego
„El Dorado”/80

FILOZOFIA

Mariola KUSZYK-BYTNIEWSKA – Filozof Znaniecki – filozof kultury/85

ŚWIADECTWA

Jadwiga MIZIŃSKA – Wygnaniec a „kieszonka przynależności”. Dwie biografie
Zygmunta Baumana/91

Jerzy J. WIATR – Hieronim Kubiak w mojej pamięci/96

Danuta WANIEK – Odszedł Hieronim Kubiak.../98

Mikołaj MELANOWICZ – Filmowe fascynacje Stanisława Janickiego/99

Andrzej ŻOR – Zbigniew Szalajda (1934–2024)/101

FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Janusz TERMER – Marginesy/103

Andrzej ŻOR – Tak myślę/105

OPOWIADANIE

Sebastian MARKIEWICZ – Tomaszek Aforysta/108

RECENZJE

Jerzy J. WIATR – Panorama przemian współczesnego świata/114

Andrzej ŻOR – Rafała Skąpskiego opowieści rodzinne/115

Jerzy PAPUGA – O stoliku jako zjawisku/118

Wnioski z czerwcowych wyborów



Jerzy J. WIATR

Wybory do Parlamentu Europejskiego potwierdziły ten obraz polskiej sceny politycznej, który wyłonił się dziewięć miesięcy wcześniej. Koalicja 15 Października uzyskała niewielką przewagę nad obiema formacjami obecnej opozycji – Zjednoczoną Prawicą i Konfederacją. Na trzy listy rządzącej koalicji padło łącznie 50,3 procent głosów, a na dwie listy opozycji – 48,3. Koalicja Obywatelska po raz pierwszy wyprzedziła Prawo i Sprawiedliwość. Zaskakująco dobrze wypadła Konfederacja, a zaskakująco słabo – Trzecia Droga. Oczywiście jest, że gdyby Koalicja 15 Października poszła do wyborów na jednej liście, miałyby nad opozycją wyraźniejszą przewagę. Jest to lekcja na przyszłość. Mam nadzieję, że uwzględnią ją politycy Trzeciej Drogi, których upór uniemożliwił powstanie wspólnej listy w tych i poprzednich wyborach.

Słaby wynik lewicy nie jest zaskoczeniem i potwierdza to, co wielu z nas mówi od dawna. Lewica potrzebuje nowych idei i nowego stylu uprawiania polityki. Jej nadzieją jest to, że znacznie lepiej wypadła wśród najmłodszych wyborców niż w całym elektoracie.

Polskie wybory korzystnie kontrastują z tym, co stało się we Francji i w niektórych innych państwach zachodniej Europy, gdzie wybory pokazały rosnącą siłę skrajnej, antyeuropejskiej prawicy. To wyzwanie dla Polski, której rola w Unii Europejskiej będzie tym większa, im silniejszy będzie obóz polskiej demokracji. Warto patrzeć z optymizmem w przyszłość Polski w zjednoczonej Europie.

ZAPROSZENIE

do czytania i prenumeraty „Res Humana” w 2024 roku

Serdecznie zapraszamy wszystkich przyjaciół myśli niezależnej do czytania „Res Humana”. Koszt rocznej prenumeraty wynosi 90,00 zł + 27,60 zł opłaty pocztowej.

Zamówienie najprościej złożyć poprzez wpłatę należności na konto Redakcji nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146.

Liczymy, że dołączą Państwo do grona naszych stałych Czytelników.

Redakcja

JĘZYK, KULTURA, TOŻSAMOŚĆ

Język jest ważnym elementem śląskiej tożsamości



Marcin MELON

Prezydent Andrzej Duda zawetował język śląski.

A właściwie zawetował uchwaloną przez parlament nowelizację Ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych i języku regionalnym, nadającą śląskiemu etnolektowi status języka regionalnego. Dzięki niej mowa Ślązaków mogłaby cieszyć się statusem, jaki przysługuje obecnie jedynie językowi kaszubskiemu. O ile samo prezydenckie weto w kontekście dotychczasowej polityki obozu, z którego się wywodzi, trudno rozpatrywać w kategoriach sensacji, o tyle jego uzasadnienie wzbudziło reakcje od rozbawienia absurdalnością po oburzenie i wzmożenie antypolskich nastrojów na Śląsku. „Niedające się wykluczyć działania hybrydowe [...] związane z prowadzoną wojną za wschodnią granicą, nakazują szczególną dbałość o zachowanie tożsamości narodowej. Ochronie zachowania tożsamości narodowej służy w szczególności pielęgnowanie języka ojczystego” – stwierdził prezydent. Nie sposób zrozumieć, w jaki sposób kultywowanie regionalnej tożsamości miałyby wpisywać się w kontekst wojny hybrydowej. O wiele łatwiej umieścić to stanowisko wśród wcześniejszych wypowiedzi polityków polskiej prawicy na temat Ślązaków.

Od Długosza do Kaczyńskiego, czyli dzieje śląskiej tożsamości

„Śląskość jest sposobem odcięcia się od polskości i przypuszczalnie przyjęciem po prostu zakamuflowanej opcji niemieckiej” – te słowa Jarosława Kaczyńskiego z 2011 roku na długie lata zdefiniowały stosunek jego partii do Ślązaków (jednostronnie, gdyż PiS wciąż osiąga dobre wyniki wyborcze w gminach etnicznie śląskich). Z pewnością jednak nie on pierwszy mówił o polsko-śląskim antagonizmie. Piętnastowieczny kronikarz Jan Długosz nie miał wątpliwości, że Ślązacy to najbardziej wrogą z narodów sąsiadujących z Polską. Dziś jego słowa budzą zdziwienie większości Polaków. Sąsiadujących? Naród? Wrogi? I nic dziwnego, bo historia Śląska, tak bardzo różna od polskiej, to swoista *terra incognita*.

Zarówno dla Polaków, jak i Ślązaków. Ten region pojawia się w szkolnych podręcznikach dopiero w kontekście powstań śląskich i przyłączenia do II Rzeczypospolitej, zupełnie tak, jakby wcześniej nie istniał. To, co nieznanie budzi lęk i z lękiem Polacy powitali Śląsk (najpierw Górny, Dolny dopiero po 1945 r.) w granicach swojego państwa. Zaawansowana cywilizacyjnie kraina ze swoim przemyśłem była im niezbędną, ale czy ów „powrót do macierzy”, z taką lubością odmieniany przez przypadki przez polskich nacjonalistów, naprawdę był złączeniem dwóch idealnie do siebie pasujących elementów? Górnoślązacy, którzy jeszcze w dziewiętnastym wieku sami uważali, że mówią „po polsku”, nagle zorientowali się, że ich mowa znacząco różni się od tego, co za standard polskości uważano w Warszawie czy Lwowie. Gorzej, powiedziano im, że ich subiektywna polskość to gorsza odmiana tej właściwej, zatem lepiej dla nich, jeśli jak najszybciej dopasują się do większości. To wtedy pojawił się podział na „czystą” polszczyznę i stojącą w opozycji do niej śląszczyznę (w domyśle – „brudną”). Rozczarowanie nową przynależnością państwową rozpoczęło się już w dwudziestoleciu międzywojennym, dobre wyniki ugrupowań proniemieckich w wyborach samorządowych 1926 roku są tego najlepszą ilustracją, a sanacyjny brak poszanowania dla lokalnej odrębności tylko wzmógł te nastroje.

Między gwarą a językiem

Tożsamościowe targia w kluczowym regionie nie leżały w interesie państwa polskiego. Dlatego Śląsk należało zgłajszachtować, ujednoczyć. Oczywiście bardziej nadawała się do tego działalność kulturalna niż odgórne decyzje administracyjne. Stanisław Ligoń, znany na Śląsku jako „Karlik z Kocyndra”, był jednym z działaczy narodowych mających oswoić śląskość dla polskiej opinii publicznej. To on spisał śląskie bery i bojki, które miały „wzbogacić nieliczne wydawnictwa gwarowe, które zaświadczyć winny o naszej tu na ziemi Piastów odwiecznej polskości”. Zwróćmy uwagę, że Ligoń pisze o „gwarze”, a więc o pojęciu, które dziś uznawane jest za uwłaczające randze mowy Ślązaków. „Sądzi się wśród polskiego ogółu, że język śląski jest jakąś kaleczą polszczyzną, popstrzoną wpływami niemieczyzny” – pisał Feliks Koneczny. Jeśli „gwarą” definiowana jest jako mowa niewykształconego ludu wsi, to istotnie definicja ta nijak nie przystaje do współczesnej śląszczyzny, modnej wśród lokalnych elit intelektualnych i mogącej się pochwalić rosnącą z roku na rok liczbą publikacji literackich. Ale czy aby Ligoń nie miał racji i nie pisał rzeczywiście w gwarze?

Weźmy zatem do ręki Ligoniove *Bery i bojki śląskie*, otwierając je na dowolnej stronie. Już na pierwszy rzut oka widać, że zapis znacząco różni się zarówno od współczesnej literatury śląskiej, jak i od dziewiętnastowiecznych śląskojęzycznych tekstów źródłowych. Nie ma tu znaków diakrytycznych, nie ma pochylonego *ō* (jak w wyrazie „wōngel”), nie ma labializacji (jak w słowie „ōkno”, wymawianym „łokno”). Są za to imiesłowy, bardzo rzadkie w śląskim, oraz znaki wskazujące na dźwięki charakterystyczne dla polszczyzny (np. *ą*, *ę*), wykształcone w niej w czasach, gdy Śląsk dawno już leżał poza granicami Królestwa Polskiego.

Nie powinno dziwić, że ktoś mający kontakt jedynie ze śląszczyzną w zapisie, jaki widzimy w *Berach i bojkach...* (pierwsze wydanie w roku 1931, potem wielokrotnie wznawiane) ma prawo pytać: „Co ta «gwarą śląską» wnosi do

polszczyzny, skoro w tak małym stopniu różni się od literackiej normy? I dlaczego mielibyśmy marnować publiczne pieniądze na jej krzewienie?”

Wszystko staje się jasne, jeśli odpowiemy sobie na pytanie: „W jakim celu tworzyli Ligoń i inni «budziciele polskości na Górnym Śląsku»?”. Tym celem było oswojenie obcości ich regionu. Przedstawienie Śląska w sposób bezpieczny dla obu stron.

Przidzie Hanys, wice bydzie godać

Lęk Polaków przed Śląskiem był oczywisty – gdzieś w tle czaiły się potężne Niemcy, z którymi (z polskiej perspektywy) Ślązacy mieli niejasne relacje. Obawy Ślązaków wzmożyły się po II wojnie światowej i, przynajmniej to szczerze, były w pełni uzasadnione. Prześladowania roku 1945, znane dziś pod nazwą Tragedii Górnośląskiej, to wciąż niewyjaśniona czarna karta polsko-śląskich stosunków. Szacuje się, że do przymusowej pracy w ZSRR wywieziono nawet 90 tysięcy osób, z których wróciła jedna piąta. Kolejne tysiące były brutalnie torturowane i umierały w obozach, takich jak ten na świętochłowickiej Zgodzie. Miejscowi musieli przejść upokarzający proces weryfikacji, od którego zależało, czy pozwoli im się pozostać w miejscu, z którym ich rodziny były w wielu przypadkach związane od stuleci. „Godanie” nagle stało się pretekstem do pozbawienia kogoś majątku, wywiezienia bez możliwości powrotu czy też zabicia. Przez kolejne dekady śląskie dzieci były w szkołach bite za używanie mowy przodków, jej znajomość bywała przyczyną blokowania miejscowym awansu zawodowego.

Paradoksalnie to, że homogenizacyjne ciągoty Polski Ludowej nie zniszczyły do końca godki zawdzięczamy właśnie „gwarze śląskiej”, a więc sposobowi „sprzedania” regionalnej tożsamości w sposób bezpieczny, bez wzbudzania podejrzeń o bycie elementem niepewnym narodowościowo. Na wiele dziesięcioleci język śląski (w swojej skarłatej, okaleczonej, bo spolszczonej formie) trafił do skansenu, którego granicami były wypełnione rubaszością, a nieraz i wulgaryzmami, sceniczne występy kabaretowe oraz folklor. Trwało rozwadnianie etnolektu coraz częstszymi polonizmami. Łatwiej było usłyszeć błędnie spolszczone „Kochomicie” niż śląskie „Jo ci przaja”.

Z konsekwencjami tych procesów zmagamy się do dziś. Skojarzenie śląskości z kabaretem jest wciąż żywe, a niezaprzeczalny potencjał komiczny tej mowy tylko je wzmacnia. Tu przed oczami staje mi scena sprzed kilku lat, gdy w katowickim Teatrze Korez prezentowano najlepsze jednoaktówki napisane po śląsku. Akcja jednej z nich rozgrywała się podczas wojny trzydziestoletniej, a w pierwszej scenie autor zawarł opis gwałtów wojennych, tortur i palenia wsi. Mimo to, gdy tylko wybrzmiały pierwsze słowa, na widowni rozległ się śmiech. Mieliśmy do czynienia z najprostszym przykładem warunkowania, do jakiego doprowadziło zamknięcie śląszczyzny na wiele dekad w kabaretowo-folklorystycznym więzieniu.

Mała, zegarek, język i autonomia

Ślązacy przetrwali mroczne czasy PRL dzięki stereotypowi pracowitości (śląski „etos pracy” świetnie wpasował się w polską politykę eksploatacji regionu) i braku większych ambicji tożsamościowych. Wychowa-

ne wówczas polskie elity intelektualne uznały tę wersję śląskości za jedyną możliwą. Jakie było zatem ich zdziwienie, gdy w latach 90. na regionalnej scenie politycznej pojawił się Ruch Autonomii Śląska, którego lider Jerzy Gorzelik otwarcie mówił, że jest co prawda polskim obywatelem, ale narodowości śląskiej, który nie jest winien Polsce lojalności, dziedzictwo zaś Mickiewicza i Sienkiewicza uznawał za zupełnie Ślązacom obce. Jego barwne metafory, jak choćby ta porównująca Polskę do mały, która zepsuła śląski zegarek, nawiązująca zresztą do słów brytyjskiego premiera Lloyd George'a, budziły na początku XXI wieku oburzenie po obu stronach polskiej sceny politycznej. Na spotkaniach z udziałem Gorzelika zbulwersowani uczestnicy pytali, kto dał mu prawo nie czuć się Polakiem. „Półtora miliarda Chińczyków nie czuje się Polakami i jakoś Rzeczpospolita istnieje”, odpowiadał kpiąco i ze stoickim spokojem lider RAŚ. O panice, jaką wzbudzały wypowiedzi Gorzelika świadczy fakt pojawienia się w roku 2000 jego organizacji w raporcie Urzędu Ochrony Państwa jako potencjalnego zagrożenia.

Szok ma jednak to do siebie, że nie trwa wiecznie. Dwadzieścia lat po największych kontrowersjach wzbudzanych przez Gorzelika polityczny *mainstream* oswoił się z większością jego postulatów. Dziś co prawda nie ma dyskusji o politycznej autonomii, na wzór tej, którą region cieszył się w dwudziestoleciu międzywojennym, a głównym postulatem Ślązaków jest autonomia kulturalna. Opierać się ma ona na uznaniu etnolektu śląskiego za język regionalny, a w przyszłości nadanie jego użytkownikom statusu mniejszości etnicznej. Gdy Donald Tusk obiecał w Radzionkowie spełnienie tego pierwszego postulatu, region zareagował nieufnością. Nic dziwnego w kontekście wcześniejszego traktowania Ślązaków przez państwo polskie. Tym razem jednak za słowami poszły czyny i Koalicja 15 Października bez problemów uchwaliła nowelizację, nadającą śląszczyźnie status języka regionalnego. Nowelizację zawetowaną przez Andrzeja Dudę.

Jynzyk jak Berga

„Ślōnski jynzyk je jak berga, co jij niy trza uznanio ôd politykrów, coby istniała. Dejcie pozōr na berga” – takimi słowami prezydenckie weto skwitowała Rada Języka Śląskiego, społeczne ciało składające się z naukowców, literatów i działaczy, zajmujące się kodyfikacją etnolektu. Niemniej jednak nie sposób ukryć, że nowelizacja jest śląskiej kulturze i tożsamości niezbędna. O ile literatura śląska ma się dobrze (największe regionalne wydawnictwo Silesia Progress ma kilkadziesiąt śląskojęzycznych książek w swojej ofercie, zarówno dzieła oryginalne, jak i tłumaczenia światowej klasyki), a etnolekt jest coraz bardziej obecny w przestrzeni publicznej, o tyle nieobecność kwestii tożsamościowych w szkołach budzi obawy, że kolejne pokolenie będzie generacją wykorzenioną. A przecież wykorzenienie idzie w parze z depopulacją, największym obecnie zagrożeniem śląskich miast i wsi. Ostatnie miarodajne badania wiedzy śląskiej młodzieży pokazują, że około 90 procent z nich nie zna żadnych wydarzeń ani postaci z dziejów regionu, mowa przodków jest im coraz bardziej obca. Wydaje się, że śląska tożsamość właśnie teraz dotarła do punktu krytycznego. I to ostatni moment, by ją wesprzeć. Dla dobra obu stron. Aby Śląsk był syty i Polska cała. ■

Marcin Melon – Ślązak, nauczyciel, dziennikarz, działacz regionalistyczny i autor tworzący w języku śląskim.

O literaturze niemieckiej i wzajemnym poznaniu kultur



Karol CZEJAREK

Niemiecka literatura jest przebogata, ciekawa i bardzo wszechstronna. Poza krótkim okresem *Kulturkampf* w czasach Bismarcka, nigdy też nie była antypolska.

Jej początki w formie pisanej w języku niemieckim – jeszcze nie w dzisiejszym *Hochdeutsch*, lecz w języku starogermańskim – sięgają VIII wieku i są związane z procesem chrystianizacji licznych w tamtym czasie plemion germańskich, przede wszystkim Alemanów, Burgundów, Turyngów, Bawarów i Sasów. W literaturze niemieckiej okres ten nosi nazwę *Orbis Christianus*. Związany jest przede wszystkim ze świecką kulturą dworską i rycerską, zdecydowanie mniej – z kościelną. Ten trend trwa do roku około 1400. Do najstarszych zabytków literatury tego okresu zalicza się dzisiaj przede wszystkim tzw. glosy, będące mierzalnymi przekładami słowników łacińskich. To przy ich wykorzystaniu powstała w połowie IX wieku pisana w języku staro-wysoko-niemieckim pieśń *O Hildebrandzie*. W innym utworze, w *Kronice cesarskiej* (*Kaiserchronik*), został ukazany – w tamtych, tak odległych, średniowiecznych czasach – tworzący się nowy *ład światowy* w Europie. Znaczącym zabytkiem ówczesnej literatury jest pierwsza „literacka” historia biblijna – epos *Zbawiciel* (*Heliand*, z r. ok. 830) napisana – uwaga! – podobno na polecenie Henryka Pobożnego dla *pokrzepienia serc wieśniaków*. Jest ona przepełniona germańskimi, znów świeckimi, realiami i wyobrażeniami. Licznie powstające w tamtym czasie opowieści opisywały też powstanie i koniec świata, jak np. w *Pieśni Wessobruńskiej* (*Wessobrunner Lied*), czy w wierszu *Muspilli* (zachowanym z r. ok. 875).

Piśmiennictwo niemieckie rozwijało się w swych początkach przede wszystkim dzięki inicjatywie władców świeckich. Szczególnie w państwie Karolingów było tworzone przez świeckich, jak ich osobiście nazywam, pisarzy-dokumentalistów. Już mniej więcej od XI wieku spotykamy interesujące świeckie poematy satyryczne, a w pierwszych powieściach poetyckich z tego okresu zachowały się m.in. liczne barwne i realistyczne opisy dworów książęcych, jak np. popularne wówczas zabawy i polowania czy wojny między poszczególnymi władcami, księżtwa itp. Utwory te stanowią pierwsze krytyczne oceny świata feudalnego.

Wspominam o tych zabytkach, gdyż jak na tamte czasy cieszyły się dużą poczytnością. Dziś można je przeczytać także po polsku, dzięki przekładom dokonany przez prof. Andrzeja Lama, znakomitego tłumacza, który przełożył niemal całą kolekcję „światowej” niemieckiej poezji klasycznej, to znaczy dzieł należących do korzeni nie tylko nie-

mieckiej, ale i światowej literatury¹. Dodam: literatury postępowej – głęboko humanistycznej, walczącej już w tamtych odległych czasach o równość społeczną. Dość wymienić (z tego okresu) takie perełki niemieckojęzycznej literatury, jak *Pieśń o Nibelungach*, *Pieśni* Wolframa von Eschenbacha czy powstały nieco później *Okręt błaznów* Sebastiana Branta. W tym szeregu należy wymienić także Angelusa Silesiusa (twórca polskiego pochodzenia i jego *Pieśni pasterskie* oraz *Opisanie czterech spraw ostatecznych*). I oczywiście poezje Johanna Wolfganga Goethego, utwory Schillera, Hölderlina, Eichendorffa (w tym jego wspaniałą powieść poetycką pt. *Z życia nicponia*). Do plejady niemieckich autorów-humanistów zalicza się także Waltera von der Vogelweide, z jego *Minnesangiem* – liryką miłosną, opiewającą uczucia ludzi prostych – i wierszami skierowanymi przeciwko ówczesnym politycznym intrygom.

* * *

Przeskoczę kolejne epoki, czyli renesans i reformację – wspomnę tylko o wyróżniającej się w tym okresie literaturze jarmarcznej i tzw. powieściach szelmowskich (obnażających niesprawiedliwości społeczne) – i zatrzymam się nieco dłużej na następującym po nich niemieckim oświeceniu, by podkreślić jego polityczny oraz filozoficzny, kulturowy i literacki kontekst. Był on wyraźny w utworach Georga Lichtenberga – mistrza ciętej pointy, którego podziwiał m.in. Goethe, twierdząc, że: „tam, gdzie Lichtenberg żartuje, ukryty jest poważny problem”. Schopenhauer i Nietzsche zaliczali jego aforyzmy do „najlepszych pozycji prozy niemieckiej”. Wychwalali go też: Hebbel, August Wilhelm Schlegel, a mój niezapomniany profesor z okresu moich studiów Jan Chodera twierdził, że jego pisma były autentycznym krzykiem w walce o prawa człowieka. Są bowiem arcydziełami metafory i ironii, w których ten pisarz kwestionował niemal wszystkie wtedy utarte i wyświechtane poglądy, a zwłaszcza religijne dogmaty. Krótko mówiąc, jak nikt inny przed nim krytykował *tępy obskurantyzm i szowinizm*.

Oceniając literaturę minionych epok nie można pominąć w nich również takiego pisarza, jak Gotthold Ephraim Lessing – niewątpliwie najwybitniejszego w dziejach przedstawiciela dramatu i teatru (nie tylko oświecenia, ale w ogóle w historii literatury niemieckiej).

Nie można też w tej ocenie pominąć epoki zwanej epoką *burzy i naporu*. Z takimi wydarzeniami literackimi jak *Cierpienia młodego Wertera* Goethego czy dramat *Zbójcy* równie młodego Schillera. A zaraz po tych szlagierach w niemieckiej i światowej literaturze następuje u naszego zachodniego sąsiada przewspaniała epoka zwana „klasyką weimarską”, z *Faustem* jako mitem kultury europejskiej, który stał się później symbolem przeciwstawienia zła w postaci faszyzmu i nazizmu. Przy okazji przypomnę, że w XX stuleciu powstało wiele utworów nawiązujących do tego dzieła Goethego, m.in. Tomasa Manna *Doktor Faustus*, Klause Manna *Mefisto* i Michała Bułhakowa *Mistrz i Małgorzata*.

Dla mnie osobiście wielkość Goethego, ale i pozostałych autorów, polega nie tyle na ukazaniu człowieka-geniusza, ile na ukazaniu człowieka zmagającego się nieustannie ze wszechświatem, próbującego nad nim zapanować.

¹ Oczywiście nie tylko prof. Lam przekładał na polski postępową, głęboko humanistyczną literaturę niemiecką. Zajmowali się tym także Leopold Staff, Joachim Lelewel, Robert Stiller czy Kazimierz Brodziński.

Faust jest parodią ich idei. Goethe podniósł legendę o człowieku, który istniał naprawdę, do rangi wielkiego poematu filozoficznego i intelektualnego. Oddał w nim wszystkie realia współczesnego mu niemieckiego życia – nawet gwar zabaw ludowych i studenckich swawoli, bratając je ze światem myśli i idei. Humanistyczny sens *Fausta* – zdaniem piszącego te słowa – wiąże się z odwiecznym marzeniem człowieka o wolnym ludzie i wolnej ziemi. Z ideą, że wszyscy ludzie tworzą ludzkość, którą łączy nieśmiertelna natura, bo wciąż na nowo się odtwarza i kształtuje. Człowiek jest istotą – mówi nam Goethe – która przez całe swoje życie trwa w nadziei i w przekonaniu, że będziemy żyć wiecznie, nawet po śmierci. Literatura niemiecka jest od wieków pełna takich ogólnoludzkich wartości humanistycznych.

Po nim następuje w Niemczech wspaniała epoka, naszpikowana postępowymi ideami, zwana *Junges Deutschland* (Młode Niemcy), niemająca porównania z żadną inną na świecie. Marks i Engels ogłaszają swoje pisma polityczne, a dominującymi gatunkami literackimi, obok tradycyjnej powieści, wierszy i dramatu, stają się: felieton, odezwy i ulotki. To był czas, w którym we Francji odbywa się rewolucja lipcowa, w Polsce – powstanie listopadowe, rozpoczyna się rewolta tkaczy śląskich. W roku 1848 wybuchła Wiosna Ludów. W Niemczech do głosu dochodzą niemal zupełnie nieznanymi (oprócz Eduarda Mörike) autorzy jak np. Christian Dietrich Grabbe, Karl Gutzkow i Heinrich Laube. A na firmamencie literackim pojawia się Heinrich Heine – nazywany „błaznem szczęścia”!

Ale Heine był też mistrzem subtelnej erotyki. Osiem ostatnich lat życia spędził sparaliżowany w łóżku, pisząc jednak i wtedy swoje dalsze ciekawe utwory, z których wiele ukazało się dopiero po jego śmierci. Podkreślę w tym miejscu, że poetycką wirtuozerię Heinego doceniło w Polsce wielu znakomitych tłumaczy, m.in. Adam Asnyk, Maria Konopnicka, Kazimierz Tetmajer, Artur Maria Swinarski, Stanisław Jerzy Lec i Mieczysław Jastrun. Do jego miłośników należeli też Henryk Sienkiewicz i Eliza Orzeszkowa, która w roku 1873 napisała: „był to demokratą aż do szpiku kości, daleko więcej od Byrona, namiętnie kochający naturę i ludzi, choć ci ostatni często wywoływali w nim śmiech gorzki i szyderczy”.

Po Heinem, w II połowie XIX wieku, mamy w Niemczech epokę realizmu, a w polityce niemieckiej zaczyna się tzw. Realpolityk, Kulturkampf, wojna prusko-francuska. Na firmamencie niemieckiej literatury pojawiają się Theodor Fontane, Theodor Storm i Joseph von Eichendorf; także niemieckojęzyczni Szwajcarzy: Gottfried Keller i Conrad Ferdinand Meyer. Wszyscy ci pisarze są – tak to oceniam – fenomenalni, tworząc literaturę od politycznej do popularnej. Taka literatura powstaje w Niemczech do dzisiaj: bo któż z nas nie czytał w swojej młodości powieści pochodzących z tego okresu, jak chociażby Karola Maya?

* * *

Postacią z tamtych lat, której nie wolno pominąć jest też niewątpliwie Gerhart Hauptmann, który w Republice Weimarskiej stylizował się na Goethego i rywalizował z Tomaszem Mannem. Bezsprzecznie należy on do czołowych postaci niemieckiego (światowego) naturalizmu. Dość przypomnieć jego nowelę *Dróżnik Thiel*, dramaty (np. *Przed wschodem słońca*) – a przede wszystkim *Tkaczy (Die Weber)*, opisujących powstanie tkaczy śląskich w 1844 roku, w którym brał udział dziadek pisarza.

Po naturalizmie mamy epokę symbolizmu, z Rainerem Marią Rilkiem na czele i ekspresjonizmu – obfitującą w Niemczech bogactwem zjawisk awangardowych oraz takimi znakomitymi pisarzami, jak Else Lasker Schüler, Georg Heym i Gottfried Benn. Tuż po niej następuje w Niemczech era Tomasza Manna, na czele z jego znakomitymi powieściami *Buddenbrokowie* i *Czarodziejska Góra*. W tym samym czasie tworzą: Henryk Mann, Franz Kafka, a zaraz po nich Alfred Kerr, Egon Erwin Kisch, Robert Musil, Stefan Zweig, Lion Feuchtwanger, Alfred Döblin i Herman Hesse, i... naprawdę jeszcze wielu, wielu innych. A niemal równolegle do nich powstaje przebogata niemiecka literatura emigracyjna. Po spektakularnym w dziejach kultury europejskiej spaleniu ksiązek 250 autorów (nie tylko żydowskich!), wielu znakomitych pisarzy ucieka z Niemiec hitlerowskich, wielu trafia do obozów koncentracyjnych, jeszcze więcej zostaje objętych zakazem publikacji, a jeszcze inni udają się na tzw. wewnętrzną emigrację, odmawiając współpracy z hitlerowskimi wydawnictwami.

W tym okresie pojawiają się w Niemczech kolejne indywidualności piarskie najwyższej miary – jak Bertold Brecht, przede wszystkim ze swoją *Matką Courage*, Klaus Mann. Po kapitulacji Niemiec w 1945 r. na szczególną uwagę zasługują m.in.: Wolfgang Borchert, jako przedstawiciel powojennego nurtu literackiego zwanego *Trümmerliteratur* („literatura zgliszcz”), a także literacka Grupa 47, utworzona przez Hansa Wernera Richtera, w skład której wchodził też Alfred Andersch, Heinrich Böll i inni.

Mniej więcej od roku 1958 pojawia się „gwiazdorstwo” Güntera Grassa i Hansa Magnusa Enzensbergera oraz Ingeborg Bachmann. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku „rodzi” ono jakby drugą fazę niemieckiej literatury powojennej, z takimi znaczącymi pisarzami, jak: Martin Walser, Siegfried Lenz czy dramaturgiem Rolfem Hochhutem.

Z jeszcze późniejszych powojennych znaczących zjawisk literackich występuje u naszego zachodniego sąsiada zauważalna m.in. Grupa Dortmundzka 61 (zwana też Grupą „socjalnego realizmu”), z Günterem Wallrafem na czele. Podjęła ona udaną próbę stworzenia w Niemczech nowoczesnej literatury robotniczej, albo inaczej: literaturę zajmującą się problemami społeczeństwa industrialnego. Jest to literatura obejmująca szeroko zagadnienia m.in. prostytucji, alkoholizmu, gasterbeiterów i im podobne.

Niemal w tym samym czasie pojawia się w Niemczech interesująca twórczość autobiograficzna z wyższej półki (w porównaniu z Grupą Dortmundzką 61), z Elliasem Canettim i Barbarą Frischmut na czele.

Dalsze triumfy w tym czasie odnosi też twórczość Heinricha Bölla, który w Polsce cieszył się dużym uznaniem (szczególnie jego powieści: *Gdzie byłeś, Adamie?*, *I nie poskarżył się ani jednym słowem* oraz *Zwierzenia kłowna*).

W tym kontekście jeszcze parę zdań należy dodać o Günterze Grassie, politycznym moralisście, w 2006 r. uhonorowanym Nagrodą Nobla. Dla mnie osobiście – to jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy charyzmatycznych, nie tylko niemieckojęzycznych. Jego matka była Kaszubką, ojciec – Niemcem. Przyznanie się pisarza do wstąpienia do Hitlerjugend, a potem Waffen SS w roku 1944, wywołało ogromną burzę – nie tylko w Polsce, ale i w Niemczech. Wyszedł z niej jednak obronną ręką. W każdym razie nie tylko jego *Blaszany bębenek* i nowela *Kot i mysz* pozostaną w literaturze światowej na zawsze; z jego twórczości do przeczytania szczególnie pole-

cam również znakomitą powieść *Przy obieraniu cebuli*. Dodając do tego jego uganianie się za własną sławą, angażowanie w politykę, walkę wyborczą o własne sukcesy, powiem tak: bez Grassa nudna byłaby niemiecka literatura powojenna!

Liczą się w niej jeszcze takie nazwiska (choć niektórzy uważają, że to literatura szwajcarska), jak Max Frisch, zwłaszcza z powieścią *Powiedzmy, Gantenbeim*, i Friedrich Dürrenmatt, w szczególności z dramatami: *Wizyta starszej pani* i *Fizycy*; a z literatury austriackiej: Josef Roth, Robert Musil, Herann Broch, Peter Handke, Elfriede Jelinek, Heimito Doderer.

Na zakończenie jeszcze kilka zdań o literaturze NRD, która „kierowana przez państwo” próbowała generować nową niemiecką tożsamość. Oceniając ją, należy uczciwie podkreślić, że mimo wszystko ma do odnotowania sporo utworów (i pisarzy), którzy nie ulegli „produkcyjności wszechwładnemu w tym państwie socrealizmowi” i partyjnym wytycznym. Należą do nich: Erich Arendt, Bruno Apitz, Bodo Uhse, Christa Wolf, Günter Kunert, Stefan Heym oraz Günter de Bruyn, jak np. Hermann Kant i Heiner Müller.

* * *

Podsumowując niniejsze rozważania o literaturze niemieckiej, pragnę zaakcentować, że jest ona (z małymi wyjątkami) mocno zakorzeniona w realiach społecznych i kulturowych. To literatura nastawiona na odbiorcę. Będąca wyrazem czegoś i reakcją na coś, a nie tylko romantyczną fikcją. Literatura od swych początków na wskroś świecka – skierowana na liberalizację i emancypację wobec wcześniejszego klerykalnego monopolu. Jej dominantą jest dążenie do nieustannego reformowania społeczeństwa, w kierunku polepszania warunków życia ludzi na ziemi.

Tym trudniej jej zrozumieć zbrodnie i tragiczne w skutkach zniszczenie dokonane przez nazistów, ich odchylenie od wszelkich norm życia i wartości. Niemcy nadal czują wyraźny niedosyt co do rzetelnego i jednoznacznego rozliczenia tych tragicznych skutków, przede wszystkim z syndromem Holocaustu. Stąd też ta tematyka do dziś nie znika z literatury niemieckiej. Nadal wielu autorów próbuje się rozliczyć z tej przeszłości i ją potępić.

Żywa jest we współczesnej literaturze niemieckiej tematyka zjednoczenia. Widoczny jest także nurt *literatury żydowskiej*; zresztą nie od dzisiaj, lecz w nasilający się sposób co najmniej od czasów Heinego. Braku tolerancji religijnej żarliwie już w roku 1779 przeciwstawił się Lessing w *Natanie mędrцу*.

Do moich – jako literaturoznawcy i tłumacza – ulubionych pisarzy należą przede wszystkim: Hans Hellmut Kirst, Anna Seghers, Georg Heym, oczywiście bracia Tomasz i Henryk Mann, Leonard Frank, Arnold Zweig oraz mniej znani w Polsce antynaziści: Carl Ossietzky i Kurt Tucholsky; ale też i antywojenny i antynazistowski, niezapomniany – a jednocześnie wielki – Erich Maria Remarque, z jego niesamowitą powieścią *Na zachodzie bez zmian*.

Anna Seghers wyemigrowała z Niemiec zaraz po dojściu Hitlera do władzy, za co została pozbawiona obywatelstwa, a jej matkę zamordowano w obozie koncentracyjnym na Majdanku. Jak mało kto z niemiecc-

kich pisarzy przeciwstawiła się nazizmowi niemal całą swoją twórczością i działalnością społeczno-polityczną, wierząc w inne Niemcy. Z emigracji w Meksyku wróciła w 1947 r. do Berlina, wtedy jeszcze do rosyjskiej strefy okupacyjnej. Zmarła w tym mieście w 1983 roku.

Napisała światowe bestsellery *Ocalenie*, *Siódmy Krzyż* i *Tranzyt*. Dokonała w nich analizy, jak doszło do takiego kryzysu człowieka, ludzi i społeczeństwa, że w latach trzydziestych XX wieku w społeczeństwie niemieckim mógł zaistnieć faszyzm – i to w jego najgorszym nacjonalistyczno-nazistowskim wydaniu. Jak doszło do wyobcowania społeczeństwa niemieckiego z wszelkich stosunków międzyludzkich, z wszelkiej świadomości i solidarności klasowej?

Jeszcze wyraźniej widać to w powieściach Hansa Hellmuta Kirsta (1914–1989), takich jak: *Noc długich noży*, *Noc generałów* czy *08–15 w partii*. Ukazuje w nich cały mechanizm zbrodni oraz teorię, na której naziści tworzyli – mającą trwać co najmniej tysiąc lat – wymagowaną przez nich III Rzeszę. To literackie interpretacje *Mein Kampfu* Adolfa Hitlera. Kirst wiedział o III Rzeszy dosłownie wszystko. To, co opisał – aby się nie powtórzyło! – w swoich powieściach wojennych i nazistowskich (a raczej antywojennych i antynazistowskich), jest lustrem tego, co naprawdę działo się w Niemczech w latach 1933–1945. Są to książki oparte na źródłowych, prawdziwych dokumentach. Mimo że zajmowałem się Kirstem ponad dwadzieścia lat (tłumacząc 10 jego powieści, a redagując ponad 30), nie udało mi się ustalić, skąd miał te dokumenty; zwłaszcza że po wojnie archiwa były raczej niedostępne. Dodam do tego z całą mocą, że wszystkie jego książki, a napisał ich ponad 50, są jednocześnie wybitnie literackie. Czyta się je jednym tchem.

* * *

Na zakończenie jeszcze kilka zdań o tym, co zrobić, aby zbliżyć nasze narody, po tym wszystkim, co stało się w latach II wojny światowej.

W tej materii dużo może zdziałać kultura. Potrzebne jest pilne spotkanie obydwu, Polski i Niemiec, rządów – i to na najwyższym szczeblu – i rozważenie z udziałem fachowców takich tematów, jak: • ukazanie roli Polski i Niemiec w Unii Europejskiej • porównanie kultur Polski i Niemiec, aby można było ukazać obu społeczeństwom, a szczególnie młodzieży istotne zbieżności i różnice • rozszerzenie nauki języka niemieckiego w Polsce i polskiego w Niemczech • ustalenie przyczyn, dlaczego kultura polska w Niemczech, a niemiecka w Polsce pozostaje na ogół nieznaną.

Wreszcie, konieczny jest wspólny podręcznik historii, m.in. oceniający zbrodnie dokonane przez Niemców w Polsce w czasie II wojny światowej, oraz znalezienie lepszych sposobów włączenia młodzieży w kształtowanie się partnerskich polsko-niemieckich stosunków obecnie i w przyszłości.

Marzeniem piszącego te słowa od zawsze było, jest i aż do skutku pozostanie stworzenie listy i wydanie 100 książek w ciągu 5 lat (po 50 z każdej strony), po przeczytaniu których współczesny Niemiec i Niemka oraz współczesny Polak i Polka zrozumieją kulturę, historię i współczesny dorobek swego sąsiada! ■

Karol Czejjarek – autor książek, tłumacz m.in. H.H. Kirsta, członek Związku Literatów Polskich, b. prof. nadzw. Akademii Humanistycznej im. A. Gieysztorą i kierownik Zakładu Kultury Stosowanej w Instytucie Lingwistyki Stosowanej UW.

Feminy – próba językowej rekompensaty w walce o równouprawnienie kobiet



Grzegorz WALCZAK

W ostatnim czasie jesteśmy świadkami gwałtownego wzmożenia produktywności nowych nazw żeńskich. Przez to, że jest ono *zadekretoowane* i systemowe, nie wzbudza we mnie aprobaty; tym bardziej, że podważa dotychczasowy semantyczno-syntaktyczny paradygmat nazw zbiorów (rzeczowników) osobowych.

Dyskusja w sprawie feminy toczy się u nas nie od dziś. Przypomnę dość liberalne stanowisko Rady Języka Polskiego z 2012 roku: „Formy żeńskie nazw zawodów i tytułów są systemowo dopuszczalne. Jeżeli przy większości nazw zawodów i tytułów nie są one dotąd powszechnie używane, to dlatego, że budzą negatywne reakcje większości osób mówiących po polsku. To, oczywiście, można zmienić, jeśli przekona się społeczeństwo, że formy żeńskie wspomnianych nazw są potrzebne, a ich używanie będzie świadczyć o równouprawnieniu kobiet w zakresie wykonywania zawodów i piastowania funkcji”.

Kolejne stanowisko Rady Języka Polskiego pojawiło się w 2019 roku: „Większość argumentów przeciw tworzeniu nazw żeńskich jest pozbawiona podstaw”, „dążenie do symetrii systemu rodzajowego ma podstawy społeczne”, „prawo do stosowania nazw żeńskich należy zostawić mówiącym”, a „w polszczyźnie potrzebna jest większa, możliwie pełna symetria nazw osobowych męskich i żeńskich w zasobie słownictwa”.

Warto przy tym zwrócić uwagę na brak kategoryczności rozstrzygnięć Rady, na pewną jej relatywność w podejściu, objawiającą się, chociażby stopniowaniem typu: „większa, możliwie pełna symetria nazw osobowych męskich i żeńskich”. Jak Rada sama przyznaje, „ma [to] podstawy społeczne”, a nie językowe (i językoznawcze); a i to *społeczne* nie jest kompletne lub większościowe, skoro „prawo do stosowania nazw żeńskich należy zostawić mówiącym”. A wśród mówiących, jak wiadomo, w tej materii zgody nie ma. Wielu nie podziela, podobnie jak ja, trafności orzeczenia z 2019 r., że większość argumentów przeciw „jest pozbawiona podstaw”. Podstawy są i to niemałe. Bezwarunkowe i bezrefleksyjne, czyli w każdym wypadku, bez zastrzeżeń, stosowanie nazw żeńskich w opozycji do nazw męskich wydaje mi się podejściem nierozważnym i błędnym. Przyjrzyjmy się przykładowemu materiałowi językowemu. Czy na pewno nie mamy żadnych zastrzeżeń do stosowania feminy w oparach: *kopacz* : *kopaczka*, *węglarz* : *węglarka*, *widz* : *widzka*? Jaką nazwę żeńską przyjąć np. w opozycji do rzeczownika myśliwy? A wobec męskich nazw znaczeniowo negatywnych czy nawet obraźliwych jak *drań*,

szubrawiec, ancymonek? Tu i w wielu innych przykładach przy wymyślaniu nazw żeńskich chyba jesteśmy bezradni. Tendencyjne, sztuczne dążenie do wypełnienia luk w rzeczownikowej opozycji płci prowadzi do śmieszności. Nie dajmy się zwariować w tej nadgorliwości.

Nie znaczy to, że nie możemy wprowadzać nowych nazw żeńskich, zwłaszcza wtedy, gdy nas to nie razi, gdy nie mamy przy tym poczucia rewolucyjnego gwałtu na języku ojczystym. Daje się przecież odczuć, kiedy korzystając z potencjalnych form w nazewnictwie, zgodnie z wykształconym przez wieki obyczajem językowym i przyjętymi regułami, przekraczamy niewidoczną granicę smaku. Oczywiście jest to dość subiektywne i zależne też od następujących po sobie okresów historycznych, wpływających na zmiany językowe. Wiemy, że język przedwojenny w interesującym nas zakresie różnił się od tego, który po II wojnie światowej wykazywał tendencje defeminizacyjne. Chodzi tu jednak o zakres tych zmian, ich gwałtowność, jak dzisiaj, oraz następstwa, jakie pociągają w rozumieniu pewnych kategorii językowych.

* * *

Nie ufając zbyt łatwym analogiom, chciałbym jednakże w porównaniu, którym się posłużę, odnieść się do powszechnie znanego konfliktu w sferze polityczno-społecznej. Pragnę wyrazić swój zdystansowany stosunek do różnego typu bardziej lub mniej oczekiwanych ingerencji w życie społeczne, np. w życie kobiet, przez narzucanie im decyzji w kwestiach dotyczących aborcji przez przedstawicieli określonej partii lub Kościoła, niekompetentnych w zakresie medycyny i prawa. Podobnie nie jestem też zachwycony, kiedy wpływowo w danym momencie historycznym grupy użytkowników języka, niefachowców w dziedzinie, w której usiłują *zadekretować* swoje oczekiwania, zbyt apodyktycznie lansują swoje postulaty dotyczące praktyk lingwistycznych. A z taką sytuacją mamy do czynienia – z dość rewolucyjną ingerencją w dotychczas funkcjonujący system językowy, ingerencją uzasadnioną głównie kryteriami ideologicznymi. Jako językoznawca nie chciałbym się jednak godzić na wprowadzanie do języka sztucznych, tworzonych naprędce, na zasadzie neologizmu, nazw żeńskich, a w dalszej kolejności zdublowanych konstrukcji językowych typu „Sztukę naszą oglądali oczarowani nią widzowie i oglądały oczarowane widzki”.

Realizacja tego typu nie do końca przemyślanych postulatów, sprowadzająca się do próby zniwelowania w języku historycznej dominacji mężczyzn nad kobietami przez radykalne rozszerzenie zakresu nazw żeńskich, wynika z niepełnej świadomości językowej samozwańczych *reformatorów*, inspirowanych tendencyjne zmiany językowe. Właściwie – zgodnie z ich *reformą* – powinienem powiedzieć *reformatorów i reformatorek*, by się posłużyć obligatoryjnym dla nich rozróżnieniem podmiotów osobowych w nazwach zbiorów typu *widzowie, mieszkańcy, reformatorzy*, które w języku zawsze odnosiły się wspólnie do kobiet i mężczyzn, a dziś muszą z osobna. W wyniku tych zabiegów nastąpiło bowiem przesunięcie znaczeniowe, a zarazem ograniczenie zakresu znaczeniowego wymienionych nazw. Do tej pory np. nazwa *mieszkańcy* odnosiła się do wszystkich mieszkańców bez względu na ich płeć. Dzisiaj odnosi się tylko do mieszkańców rodzaju męskiego. I dlatego, aby powiedzieć o wszystkich, wyrażamy już podwojoną osobową nazwę: *mieszkanki i mieszkańcy* Warszawy, Śląska itp.

Tendencyjnym narzucaniem zmian językowych, w rezultacie demowaniem części istniejącego systemu językowego, nie przewyżczy się dziejowej niesprawiedliwości. Część językoznawców nie chce się wtrącać do tej ostatnio tak modnej przemiany językowej, charakterystycznej zapewne nie tylko dla feministek, ale i szerszych grup społecznych. Ja przeciwko nim nic nie mam, rozumiem nawet przyczyny ich rozgoryczenia i wierzę w ich dobre intencje. Uważam jednak, że gwałtownie narzucana społeczeństwu *poprawka* językowa, a dziś już chyba reguła, polegająca na zmianie rozumienia nazw zbiorów niczego nie załatwi w rzeczywistości społecznej, tj. w kwestii równouprawnienia kobiet. Może mieć jedynie znaczenie symboliczne. Tym zaś karmi się głównie polityka i zideologizowana socjologia, a nie naturalny rozwój języka danego narodu. Istotę tego nieporozumienia mogą zilustrować konkretne przykłady.

Problem zaczął się od nagłej potrzeby wypełniania luki w zakresie nazw żeńskich, z których przecież cała masa od dawna funkcjonuje, jak np. *lekarka*, *pacjentka*, *mieszkanka*. Stosowane i odbierane są one jako naturalne, usankcjonowane historycznie. Niektóre jednak są obco brzmiące, są neologizmami, stworzonymi na zamówienie społeczne. Za przykład mogą posłużyć: *widzka*, *gościni*, *ministra* (wobec *minister*), *blacharka* (wobec *blacharz*), *kominiarka* – chyba że kobietę, która zechce czyścić kominy nazwiemy *kominiarzą*!

Gdyby bitwa toczyła się tylko na polu liczby pojedynczej rzeczownika, spór by polegał jedynie na wypełnieniu braków leksykalnych, czyli dodaniu niefunkcjonującej dotąd *widzki*, *ministra*, *premierki* (bo chyba nie *premiery*?), *prezydentki* i *chirurgki*. I здаwać by się mogło, że na tego typu wypełnieniu braków – podkreślam: braków – leksykalnych w zakresie nazw żeńskich rzecz szczęśliwie by się zakończyła. A właśnie, że nie, bo język jest systemem powiązań, budowlą, z której nie zawsze da się wyjąć lub dołożyć jakąś cegielkę, by wszystko było w porządku. Podważenie zasady takiej *niesprawiedliwej* kategorii męskoosobowej i dopełnianie jej w zdaniu zdublowanymi składnikami, które podlegają kategorii niemęskoosobowej, też może mieć destrukcyjne znaczenie. Chociażby w szerszym kontekście – w tzw. obligatoryjnej konotacji składniowej, rozumianej jako otwieranie miejsca dla składników zdania o określonej kategorii gramatycznej lub znaczeniowej. Taka duplikacja podmiotów osobowych i postawienie żeńskiego obok męskiego lub zdań składowych z tymi podmiotami w zdaniu złożonym łącznym wydaje mi się bałamutną uzurpacją.

* * *

Psychologicznie i socjologicznie nawet zrozumiałe jest zjawisko dokonującej się od jakiegoś czasu rewolucyjnej zmiany w podejściu do naszego systemu językowego, zwłaszcza w funkcjonującej w liczbie mnogiej kategorii *męskoosobowej*: *niemęskoosobowej*, np. *To byli młodzieńcy, lekarze, bandyci* wobec: *To były lekarki, malarki, bandytki*. Od dawien dawna faworyzuje mężczyzn kategorię gramatyczną „męskosobowości”, która zdominowała paradygmat gramatyczny, zwłaszcza w odniesieniu do nazw rzeczowników typu: *nauczyciele, rzemieślnicy, mieszkańcy, arystokraci, złodzieje*. Każdy z tych rzeczowników wchodzi

w związku nie tylko z formami przymiotnikowymi: *dobrzy, mądrzy, wysocy*, ale i z odpowiednimi formami czasowników w czasie przeszłym w liczbie mnogiej: *chodzili, myśleli, walczyli* (wobec kobiet, które *chodziły, myślały, walczyły*). Wystarczyło, że w zbiorze nazwanym przez rzeczownik w liczbie mnogiej znalazł się choć jeden mężczyzna, a już czasownik w liczbie mnogiej stosujący się do tego rzeczownika musiał być w odpowiadającej mu formie męskoosobowej (a nie niemęskoosobowej, czyli żeńsko-rzeczowej). I chociaż w grupie uczniów był tylko jeden chłopak, a reszta to były dziewczęta, wystarczający i właściwy był komunikat: *Uczniowie wyszli z klasy*. A może teraz już tak nie będzie wypadało mówić i pisać? Jednego chłopca w takiej klasie może można nie zauważyć albo i tę semantycznie – składniową podstawę też podważyć i wyrzucić do lamusa historii? Już dzisiaj mówimy, podwajając podmioty: *Uczennice wyszły z klasy i uczeń wyszedł z klasy?*

Jeśli w jakimś zdaniu pojedynczym nazwa *mieszkańcy* zostaje rozłożona na dwa osobne elementy, które w liczbie mnogiej muszą być wyrażone nazwą żeńskoosobową – *mieszkanki* i męskoosobową – *mieszkańcy*, zmusza nas to do podwojenia konstrukcji składniowej. W rezultacie powstaje całość będąca zdaniem współrzędnie złożonym łącznym: *nasze mieszkanki zaprotestowały + nasi mieszkańcy zaprotestowali*. Już od dłuższego czasu obserwuję takie podwojone konstrukcje.

Nikt mnie nie zmusi, bym się stosował do nowej mody i mówił: *Najlepsze uczennice klasy czwartej jutro będą miały wolne i najlepsi uczniowie klasy czwartej będą mieli wolne*. Który język, rozwijający się w naturalny, swobodny sposób, a nie sztucznie kodyfikowany, przyjąłby tego typu składniową nowinkę wbrew stałej zasadzie jego ekonomiczności? Wydaje się to niemożliwe lub bałamutne, zwłaszcza w czasach przesadnego dążenia do skrótu, wymuszonego przez wymogi internetu i nowoczesnej ogólnej tendencji do kondensacji i eliminowania rozwlekłego gadulstwa, nadmiaru mowy. Sam w to niestety teraz wpadam ze względu na potrzeby wyrazistości mojego wykładu.

W typie nazw rzeczownikowych, jak np. *uczniowie, mieszkańcy, lekarze*, ze względu na brak formalnego znacznika żeńskości można się dopatrywać niegodziwego źródła niedocenienia płci pięknej w naszym języku. Pominiecie formy żeńskiej, a co za tym idzie nieadekwatność opozycji rodzajowej, a także historyczna przewaga kategorii męskoosobowej nad niemęskoosobową rzeczownikowych nazw zbiorów w liczbie mnogiej w ostatecznym rezultacie musiała zaowocować potrzebą właściwej rekompensaty.

Nawet nie wszystkim kobietom się to podoba. Niektóre z nich dobrze rozumieją, że opór wobec systemu językowego, który się ukształtował przez wieki, i próba wymuszania na nim określonych zmian, nie przełożą się na rzeczywiste przewyciężenie historycznego braku równouprawnienia kobiet. Zamach na język, nie jest w istocie skutecznym zamachem na rzeczywistą społeczną niesprawiedliwość (nierównowagę).

* * *

Jak widać, rzecz dotyczy nie tylko samego nazewnictwa, więc leksyki, ale jak już było mówione, pociąga też za sobą obligatoryjne zmiany w systemie fleksyjno-składniowym. Dając kolejne przykłady, by rzecz uczynić

wyrazistszą i potwierdzić bezkrytyczne przyjmowanie nowych zasad dotyczących nazw żeńskich, odniosę się do szerzących się tego typu praktyk w telewizji. Na przykład redaktor TVN Radomir Wit (którego ze względów merytorycznych oraz za prawdziwe zaangażowanie i ekspresję przekazu wysoko cenię) zamiast dotychczasowego schematu zdaniowego „Kłaniam się widzom, którzy nas dziś oglądali” (nie jest to dosłowny cytat, tylko przykład), chcąc być językowym konsekwentnym neofitą, musiałby wygłosić formułkę: „Kłaniam się widzkom, które nas dziś oglądały i widzom, którzy nas dziś oglądali, studentkom i studentom, które nas oglądały, oglądali”. W ten oto sposób został sztucznie rozbudowany system składniowy – tylko z pozajęzykowych przyczyn. Czy to jednak pomoże kobietom w ochronie ich uzasadnionych praw albo też w poszerzeniu ich zakresu? Bardzo w to wątpię.

W moim odczuciu takie bezsensowne duplikacje składniowe to choroba XXI wieku, polegająca na pomieszaniu zrozumiałych i oczywistych dla współczesnych ludzi kryteriów sprawiedliwości społecznej oraz nie zawsze jasnych dla nich kryteriów zasad funkcjonujących w danym języku. Nie zdobywa się okopów Świętej Trójcy przez wysadzenie w powietrze jej historycznej nazwy.

Dzisiaj jesteśmy zmuszani, by z nazw zbiorów osobowych (np. grup narodowych, zawodowych itp.) *Polaków, chirurgów, ministrów*, z ich wspólnego dla mężczyzn i kobiet zakresu znaczeniowego wyodrębnić nazwy żeńskie, co w wypowiedzeniu implikuje rozszerzanie, podwajanie całych konstrukcji zdaniowych. W konstrukcjach tych wyrażamy *expressis verbis* podmioty rodzaju żeńskiego (*mieszkancki, polityczki*), by zestawiać je jako byty osobne w ciągu zdaniowym, równolegle wobec zdegradowanej co do zakresu znaczeniowego, do niedawna samowystarczającej nazwy wyrażonej rzeczownikiem typu *mieszkańcy, politycy*. Tak zaczyna się przemiana całego fleksyjno-składniowego paradygmatu, gdyż musimy konsekwentnie, obligatoryjnie stosować nie tylko wyrażone w zdaniu odróżnianie rzeczowników (w liczbie mnogiej) według kategorii męskoosobowej wobec niemęskoosobowej, ale i innych wyrazów z nimi powiązanych, takich jak przymiotniki, imiesłowy, zaimki, np. *nasi mieszkańcy : nasze mieszkancki, nasi widzowie : nasze widzki*. Podlegają temu także czasowniki w czasie przeszłym, np. *poszli : poszły, zostali zwolnieni : zostały zwolnione*.

Jest oczywiste, że pomysłodawcom i pomysłodawczyniom tej językowej naprawy (inni powiedzą – demolki) zależy na równoprawnym traktowaniu podmiotów ludzkich, to znaczy kobiet i mężczyzn, czyli na opozycji rodzajów naturalnych. Nie zastanawiają się oni nad tym, że rodzaj gramatyczny nie zawsze się pokrywa z naturalnym i że jest on z zasady kwestią przyjętej w danym języku konwencji. Nie ma bowiem żadnej naturalnej właściwości, żadnej koniecznej, poza konwencjonalnie przyjętą, podstawy do tego, by stół w naszym języku był rodzaju męskiego, a drzewo nijakiego. Po niemiecku *drzewo – der Baum* jest rodzaju męskiego. Zatem, czy w realnym życiu społecznym warto nadawać takie znaczenie konwencjom językowym i z nazw zbiorów z natury wspólnotowych wydobywać nazwy żeńskie, by ustawiać je równolegle, zatem

równoprawnie wobec nazw męskich, aby w ten sztuczny sposób nadawać im równoprawny status?

Tego typu znaczeniowa opozycja w rzeczywistości *mieszkańcy* : *mieszkancki*, *chirurdzy* : *chirurżki*, *widzowie* : *widzki*, przeniesiona do metajęzyka, nie jest w pełni adekwatna z opozycjami kategorii lingwistycznych (męski : żeński, męskoosobowy : niemęskoosobowy). W języku relacje te są znacznie bardziej skomplikowane. Przeniesione z rzeczywistości dosłownie jeden do jednego rozpoczynają całe to zagmatwanie, generują powstawanie całych ciągów z konstrukcją dodaną w wyniku zbytecznej dla języka duplikacji. Jako efekt następczy, a zarazem uboczny, doprowadza to do niezamierzonej redundancji językowej, czyli nadmierności, czegoś, co zbyteczne. Wystarczy powiedzieć: *Polacy to mądry naród*. Przejawem redundancji natomiast jest wypowiedź: *Polki i Polacy to mądry naród*. W *Pieśni 5* (Księgi wtóre) Jana Kochanowskiego czytamy: „Nową przypowieść Polak sobie kupi, że i przed szkodą, i po szkodzie głupi”. Dlaczego z tego Kochanowskiego był taki paskudny antyfeminista?! Dlaczego zapomniał o Polkach? Oczywiście, że nie zapomniał. Tylko niektórzy, nawet językoznawcy z tolerancji sławni, gotowi są zapomnieć, jak brzmiał nasz język. A gdyby trzeba było w analogicznym zdaniu zastosować czas przeszły? „Nową przypowieść Polki sobie kupiły i Polacy sobie kupili, że i przed szkodą Polki były głupie, i po szkodzie głupie, i przed szkodą Polacy byli głupi, i po szkodzie głupi”. Od tego można osiwieć, co już na szczęście mi nie grozi.

Krótko mówiąc, mimo że szczerze popieram długotrwałą walkę o równe prawa kobiet i sam bez kobiet żyć nie mogę, uważam, że w rozstrzygnięciu językowych problemów istotna jest nie poprawność społeczno-polityczna, lecz językowa. Oczywiście język nie jest tylko synchronicznym systemem znaków, ale i procesem historycznym. Każdy wyraz znaczy to, co znaczy, bo taką miał historię w wielowiekowym rozwoju języka – jak twierdził mój Mistrz, profesor Witold Doroszewski, wybitny językoznawca. Wiem to, bo byłem przez wiele lat jego sekretarzem osobistym, asystentem, a później adiunktem. Nie trzeba mi więc tłumaczyć, że język jest procesem. Z czasem język się zmienia i może się zmieniać, ale szanujemy jego ewolucyjność, zmiany wynikające z wielowiekowej praktyki językowej, a nie czynione na jeden rewolucyjny pstryk decydentów – przepraszam – decydek i decydek, niekoniecznie znających teorię zbiorów i adekwatność przyjętego wobec tych zbiorów nazewnictwa. Wiadomo, język jest nasz, jest konwencją, na którą myśmy się umówili.

Zawsze możemy się umówić inaczej. Papier wszystko przyjmie, tak jak *ministrę*, której się już nie wypłeni, *gościńię* pewnie też już nie, ale *myśliwą* czy *myśliwkę* razem z *widzką* radziłbym jeszcze trzymać od nas z daleka. Taką, a może bardziej zmyślną grę lingwistyczną zostawcie raczej poetom. Koledzy językoznawcy, a przede wszystkim Wy, użytkownicy języka, nie gódźcie się tak łatwo, bezrefleksyjnie na bylejąkość kształtowanego przez stulecia języka, pielęgnowanego przez naszych przodków. Niech nowi dyktatorzy mód zmieniają naszą polszczyznę niespiesznie i z umiarem, a przede wszystkim z wszechstronnym rozmysłem. ■

Grzegorz Walczak – poeta, prozaik, dramatopisarz, satyryk, tłumacz literatury serbskiej i chorwackiej. Doktor nauk humanistycznych, b. wykładowca akademicki.

Dlaczego feminatywy (dobre) są?



Anna SIKORSKA-MICHALAK

Dyskusja na temat żeńskich form osobowych trwa w najlepsze. Zajmuje naszą uwagę, zyskując (czy potrzebnie?) rangę tematu politycznego. Może dlatego, że wszyscy jesteśmy po trochu właścicielami języka ojczystego i – jak to właściciele – chcemy porządzić. Warto zastanowić się, jak chcielibyśmy, by język polski brzmiał na co dzień, wyglądał na papierze, w jaki sposób moglibyśmy się nim nie tylko poprawnie, ale zrozumiale posługiwać – jednym słowem: porozumiewać. Oczywiście przy zachowaniu norm językowych i wspólnych zasad, ale także z szacunkiem dla tych, którzy chcą pewnych odstępstw, wychodząc z założenia, że język jest żywy i żywo reaguje na zmiany społeczne, gospodarcze, wszystkie inne.

Nowomowa. Czyżby?

„Modna nowomowa”, „sztuczne wyrażenia”, „niepotrzebne neologizmy”, „potworki językowe” – to często spotykane określenia, które mają zamknąć usta tym, którzy feminatywów używają i których wcale nie razi w rozmowie *adwokatka*, *psycholożka* albo *ministra*. Rozczaruję internetowych (głównie) specjalistów od języka: ani to nowomowa, ani neologizmy.

Nowomowa to – jak wiemy – wymyślony przez Orwella język władzy, który służył do manipulowania ludźmi i nastrojami społecznymi. Zmienił rzeczywistość i był elementem opresji. Trudno doszukać się jakichkolwiek działań w sprawie feminatywów. Chyba że podanie nazwy swojego stanowiska w formie żeńskiej przez nieżyjącą już ministram Izabelę Jarugę-Nowacką lub ministram Joannę Muchę uznać za przejawy opresji wobec kolegów. Dajmy spokój! Jedynym kłopotem jest to, że słowo to zostało utworzone nieprawidłowo, ale czy *ministerka* (poprawna forma) brzmiałaby mniej „feminatywnie”?

Neologizmy natomiast powstają po to, aby nazwać coś, co wcześniej nie istniało. A także aby zastąpić wyrazy obce w języku rodzimym albo nadać wyjątkowego stylu wypowiedziom artystów. Z żadną z takich sytuacji nie mamy tu do czynienia.

Co się zaś tyczy potworków i sztuczności – z tym dyskutować nie sposób, to kwestia gustu, a o nim się przecież nie dyskutuje.

Ekspertyzy vs poglądy

Jeśli chcemy podejść do sprawy fachowo i wyrobić sobie jakiś rozsądny pogląd, odwołajmy się do ekspertów w dziedzinie, na której sami się specjalnie nie znamy, ale interesujemy się nią, korzystamy z jej osiągnięć i uznajemy za ważną w życiu naszej wspólnoty.

Wielki słownik języka polskiego PAN podaje następującą definicję słowa „feminatyw”: wyraz nazywający kobietę wykonującą określony zawód lub pełniącą określoną funkcję, traktowany jako pochodny słowotwórczo od wyrazu mającego rodzaj gramatyczny męski, nazywającego mężczyznę lub w ogóle osobę pełniącą tę funkcję lub wykonującą ten zawód.

Skoro tak, to nic prostszego – nazywajmy kobietę wykonującą zawód lekarza *lekarką* (jeśli o specjalności z chirurgii, to nawet *chirurgką*), zawód piekarza – *piekarką*, a zawód monterka – *monterką*. Możemy nawet nazwać kogoś *pilotką* (*pilotem* nazywamy także coś, a nie tylko osobę). Osoby hołdujące bardziej tradycyjnemu podejściu powinny się tu ucieszyć – słownik pozwala taki wyraz utworzyć od rodzaju gramatycznego męskiego, czyniąc w ten sposób zadość uznaniu, że znów „panowie przodem”.

Bliższe naszej polskiej tradycji jest podejście: lubię, bo znam, przyzwyczaiłem się i czuję się z tym dobrze. Naukowczynie i prezeska... jakoś nam nie brzmią! Tu dotykamy istotnej kwestii – zwyczajów językowych, z których rezygnacja budzi niepokój. Faktycznie, użycie określenia *naukowczynie* lub *gościni* dla niektórych jest trudne, czasem wręcz nieakceptowalne. Czy zatem feminatywy to kłopotliwa nowość? I tak, i nie.

Maciej Makselon – językoznawca, redaktor i popularyzator wiedzy o języku polskim mówi podczas swojego wystąpienia na TEDx w Koszalinie: „To, że jesteśmy przyzwyczajeni do czegoś, nie stanowi problemu. Problem zaczyna się wtedy, kiedy zaczynamy traktować, jakby świat narodził się razem z nami, jakby przed nami nie było niczego. A to, co znamy, było punktem odniesienia dla wszystkich i wszystkiego”. I przytacza przykład słowa *gościni*, obecnego już w tzw. słowniku warszawskim z 1927 roku, a także wielu innych używanych wówczas form, podawanych przez słowniki w latach 1807–1927, co skrupulatnie prześledził: *preferansistka, wajdelotka, delegatka, prezydentka, doktorka, bankierka* lub *kojarzycielka*¹.

Bądźmy jednak obiektywni – nie zawsze można mówić o tym, że mamy do czynienia z powrotem popularnych dawniej form. „Ich istnienie w słownikach nie musi oznaczać tego, że były one powszechnie używane – zauważa z kolei Marek Łoziński z Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. – *Gościni* była formą sztuczną w okresie międzywojennym. Nie znaczy to, że mamy jej nie używać; to bardzo dobrze utworzony wyraz. Natomiast nie mówmy, że do niego wracamy, bo to nieprawda” – zaznacza².

Możemy mieć różne oceny, ale *gościni* już u nas gościła – to pewne!

Ekonomia w języku

Feminatywy są dobre tak samo, jak maskulatywy i formy neutralne. Ani lepsze, ani gorsze. Pozwalają od razu rozpoznać, że mówimy o *niej*, a nie o *nim*. Są najkrótszym i najprostszym, a więc najbardziej ekonomicznym sposobem przedstawienia osoby rodzaju żeńskiego. A język dąży do prostoty i ekonomiczności wypowiedzi. *Pani doktor* w stosunku do krótszej *doktorki* nie broni się, tak samo jak *pani chemik* albo *pani prezydent*. Krót-

¹ <https://www.youtube.com/watch?v=MYH2qGScEVk>.

² *Feminatywy – nowy wymysł czy wiekowy środek językowy?*, <https://trojka.polskieradio.pl/artukul/3375508,feminatywy-nowy-wymysl-czy-wiekowy-srodek-jezykowy>.

sze formy trafiają w sedno, a dłuższe mogą nawet wprowadzać zamieszanie. Jak w tekście nieodżałowanej Stefanii Grodzieńskiej, wspaniałej pisarki, aktorki i satyryczki z tytułowanym *Dałam listonosz*, opublikowanym w Przekroju w 1960 roku³. Mistrzyni satyry wyraziła w nim dowcipnie i dobitnie swoją niezgodę na kojarzenie męskich nazw zawodów z profesjonalizmem, a żeńskich nie. Dzisiaj, po sześćdziesięciu latach większość społeczeństwa tym bardziej nie chce takich skojarzeń i posługuje się bez oporów słowami: *astronomka, matematyczka, redaktorka, informatyczka, piłkarka czy burmistrzynie*.

W odpowiedzi na tę narastającą tendencję, obserwowaną u nas od lat, w 2019 roku ukazał się stosowny komunikat Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN. Zawiera on poniekąd replikę wobec opinii tych, którzy uważają, że symetria rodzajowa w języku to nagła, rewolucyjna ingerencja w funkcjonujący od wieków system językowy, ingerencja uzasadniona jedynie kryteriami ideologicznymi.

„Rada (...) uznaje, że w polszczyźnie potrzebna jest większa, możliwie pełna symetria nazw osobowych męskich i żeńskich w zasobie słownictwa. Stosowanie feminatywów w wypowiedziach, na przykład przemienne powtarzanie rzeczowników żeńskich i męskich (*Polki i Polacy*) jest znakiem tego, że mówiący czują potrzebę zwiększenia widoczności kobiet w języku i tekstach. Nie ma jednak potrzeby używania konstrukcji typu *Polki i Polacy, studenci i studentki* w każdym tekście i zdaniu, ponieważ formy męskie mogą odnosić się do obu płci”.

Znak tego, że mówiący czują potrzebę... Jeśli dobrze to rozumiem – można uznać, że język to żywy i pulsujący organizm, zmieniający się w czasie i przestrzeni. A jego kodyfikatorzy (językoznawcy) mogą jedynie badać go, obserwować życzliwie i uwzględniać zmiany, jakie w nim zachodzą. Pilnować wzorców i bronić zasad – tak, ale raczej jak troskliwi rodzice, a nie żandarm i sędzia.

Językowe łamańce

Na koniec argument ostatniej linii, często używany przez przeciwników niektórych form żeńskich: „Kto to słyszał – *chirurgka, adiunktka* albo *architektka*? Nie da się tego wymówić!”. Trzeba przyznać – faktycznie łatwo nie jest. Ale można być raczej spokojnym o to, że ci, którzy potrafią wypowiedzieć (z mniejszym lub większym trudem) polskie słowa: *źdźbło, zmarzlina, garść, zmarszczka i krztusić* – poradzą sobie zapewne ze wszystkimi innymi, nawet bardzo trudnymi, wyrazami.

Szczególnie, gdyby miały one dotyczyć bliskich im osób, czyli dziewczyn i kobiet, z których każda może sama zdecydować, jak nazywać jej stanowisko w pracy lub zawód, który wykonuje. I jak się do niej zwracać w tym kontekście. Jeśli chce być *panią adiunkt* lub *panią doktor* – proszę bardzo! Ale jeśli marzy o tym, żeby zostać astronautką, psycholożką lub prezydentką, pozwólmy jej na to.

Zapytajcie kobiety o zdanie, one wiedzą, czego chcą! ■

³ S. Grodzieńska, *Dałam listonosz*, „Przekrój” 1960, nr 05; <https://przekroj.pl/archiwum/artykuly/5657>.

DOKUMENTY

W związku z dbałością naszych Czytelników o piękno – nie wspominając o poprawności – języka, prezentujemy ostatnie zmiany zasad pisowni polskiej, które zaczną obowiązywać od 1 stycznia 2026 roku.

Komunikat Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN

z dnia 10 maja 2024 r.

I

Rada Języka Polskiego przy Prezydium PAN ogłasza, że na posiedzeniach w dniach 7 listopada 2022 r., 3 lutego 2023 r. oraz 22 stycznia 2024 r. uchwaliła zmiany zasad ortografii (z mocą obowiązującą od 1 stycznia 2026 r.), których wykaz podano w załączniku nr 1.

Rada uznała, że wprowadzenie tych zmian, dotyczących wyłącznie tzw. konwencjonalnych zasad pisowni, przyniesie korzyść w postaci uproszczenia i ujednoczenia zapisu poszczególnych grup wyrazów i połączeń, eliminacji wyjątków, a także likwidacji przepisów, których zastosowanie jest z różnych powodów problematyczne, np. wymaga od piszącego zbyt drobiazgowej analizy znaczeniowej tekstu. To zaś przyczyni się do zmniejszenia liczby błędów językowych oraz – być może – umożliwi piszącym skupienie się na innych niż ortograficzne aspektach poprawności tekstu. Rada zaznacza, że większość z wprowadzonych zmian była postulowana już wiele lat temu, jednak z najrozmaitszych powodów nie udało się wcześniej nadać im mocy obowiązującej.

Aby dać wszystkim osobom oraz instytucjom, zwłaszcza wydawcom, autorom słowników i programów szkolnych, czas na przygotowanie się do nowej sytuacji, Rada postanowiła, że uchwalone zmiany zaczną obowiązywać od 1 stycznia 2026 r.

Należy przypomnieć, że kompetencje Rady Języka Polskiego do ustalania zasad ortografii i interpunkcji są potwierdzone w art. 31 ust. 1 Ustawy z dnia 7 października 1999 r. języku polskim (z późn. zmianami) i nie ma innej instytucji czy instancji, która by takie kompetencje posiadała.

II

Jednocześnie Rada ogłasza dokument pt. *Zasady pisowni i interpunkcji polskiej*, zbierający wszystkie przepisy, zarówno te obowiązujące od dawna, jak i uchwalone ostatnio, będący załącznikiem nr 2 do tego komunikatu.

Z dniem 1 stycznia 2026 r. dokument ten stanie się jedynym ważnym źródłem zasad ortograficznych i interpunkcyjnych. Tym samym utracą moc uchwały ortograficzne Rady z lat 1997–2008 oraz wszelkie inne dokumenty i uchwały wcześniej podejmowane, dotyczące pisowni i interpunkcji, niezgodne z wspomnianym dokumentem.

Rada wyraża przekonanie, że tak zaplanowane działanie doprowadzi do wznowienia ciągłości polskiej kodyfikacji ortograficznej, przerwanej w 1963 roku, a to będzie spełnieniem postulatów płynących z różnych środowisk, nie tylko językoznawczych.

Załącznik nr 1

Zmiany zasad pisowni polskiej, obowiązujące od 1 stycznia 2026 r.

1. Pisownia wielką literą nazw mieszkańców miast i ich dzielnic, osiedli

i wsi, np. *Warszawianin, Zgierzanin, Ochocianka, Mokotowianin, Nowohucianin, Chochołowianin*.

Dopuszczenie alternatywnego zapisu (małą lub wielką literą) nieoficjalnych nazw etnicznych, takich jak *kitajec* lub *Kitajec*, *jugol* lub *Jugol*, *angol* lub *Jugol*, *żabojad* lub *Żabojad*, *szkop* lub *Szkop*, *makaroniarz* lub *Makaroniarz*.

2. Wprowadzenie pisowni wielką literą nie tylko nazw firm i marek wyrobów przemysłowych, ale także pojedynczych egzemplarzy tych wyrobów (*samochód marki Ford* i *pod oknem zaparkował czerwony Ford*).

3. Wprowadzenie rozdzielnej pisowni cząstek *-bym, -byś, -by, -byśmy, -byście* ze spójnikami, np. *Zastanawiam się, czy by nie pojechać w góry*.

4. Ustanowienie bezwyjątkowej pisowni łącznej nie- z miesłowami odmiennymi (bez względu na interpretację znaczeniową: czasownikową lub przymiotnikową), tj. zniesienie wyjątku zezwalającego na „świadomą pisownię rozdzielną”.

5. Ujednolicenie zapisu (małą literą) przymiotników tworzonych od nazw osobowych, zakończonych na *-owski*, bez względu na to, czy ich interpretacja jest dzierżawcza (odpowiadają na pytanie *czyj?*), czy też jakościowa (odp. na pytanie *jaki?*), np. *dramat szekspirowski, epoka zygmuntowska, koncert chopinowski, koncepcja wittgensteinowska, wiersz miłoszowski*.

Przymiotniki tworzone od imion (rzadziej od nazwisk), zakończone na *-owy, -in(-yn), -ów*, mające charakter archaiczny, będą mogły być zapisywane małą lub wielką literą, np. *jackowe dzieci* lub *Jackowe dzieci*; *poezja miłoszowa* lub *poezja Miłoszowa*; *zosina lalka* lub *Zosina lalka*; *jacków dom* lub *Jacków dom*.

6. Wprowadzenie łącznej pisowni członu pół- w wyrażeniach:

półzabawa, półnauka;

półzartem, półserio;

półspał, półczuwał

oraz pisowni z łącznikiem w połączeniu typu: pół-Polka, pół-Francuzka (odniesionym do jednej osoby).

7. Dopuszczenie w parach wyrazów równorzędnych, podobnie lub identycznie brzmiących, występujących zwykle razem, trzech wersji pisowni:

– z łącznikiem, np. *tuż-tuż; trzask-prask; bij-zabij;*

– z przecinkiem, np. *tuż, tuż; trzask, prask; bij, zabij;*

– rozdzielnie, np. *tuż tuż; trzask prask; bij zabij.*

8. W zakresie użycia wielkich liter w nazwach własnych:

a) w nazwach komet wprowadzenie zapisu wszystkich członów wielką literą, np. *Kometa Halleya, Kometa Enckego;*

b) wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów wielowyrzowych nazw geograficznych i miejscowych, których drugi człon jest rzeczownikiem w mianowniku, typu *Morze Marmara, Pustynia Gobi, Półwysep Jukatan, Wyspa Uznam;*

c) w nazwach obiektów przestrzeni publicznej wprowadzenie pisowni wielką literą stojącego na początku wyrazu *aleja, brama, bulwar, osiedle, plac, park, kopiec, kościół, klasztor, pałac, willa, zamek, most, molo, pomnik,*

cmentarz (przy utrzymaniu pisowni małą literą wyrazu *ulica*), np. *ulica Józefa Piłsudskiego, Aleja Róż, Brama Warszawska, Plac Zbawiciela, Park Kościuszki, Kopiec Wandy, Kościół Mariacki, Pałac Staszica, Zamek Książ, Most Poniatowskiego, Pomnik Ofiar Getta, Cmentarz Rakowicki*;

d) wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów (oprócz przyimków i spójników) w wielowyrzowych nazwach lokali usługowych i gastronomicznych, np. *Karczma Słupska, Kawiarnia Literacka, Księgarnia Naukowa, Kino Charlie, Apteka pod Orłem, Bar Flisak, Hotel pod Różą, Hotel Campanile, Restauracja pod Żaglami, Winiarnia Bachus, Zajazd u Kmicica, Pierogarnia Krakowiaczy, Pizzeria Napoli, Trattoria Santa Lucia, Restauracja Veganic, Teatr Rozmaitości, Teatr Wielki*;

e) wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów w nazwach orderów, medali, odznaczeń, nagród i tytułów honorowych, np. *Nagroda im. Jana Karckiego i Poli Nireńskiej, Nagroda Nobla, Nagroda Pulitzera, Nagroda Templetona, Nagroda Kioto, Literacka Nagroda Europy Środkowej Angelus, Nagroda Artystyczna Miasta Lublin, Nagroda Literacka Gdynia, Śląska Nagroda Jakości, Nagroda Rektora za Wybitne Osiągnięcia Naukowe; Nagroda Newsweeka im. Teresy Torańskiej; Nagroda Wielkiego Kalibru, Mistrz Mowy Polskiej; Ambasador Polszczyzny; Honorowy Obywatel Miasta Krakowa*.

9. W zakresie pisowni prefiksów:

a) uzupełnienie reguły ogólnej: W języku polskim przedrostki – rodzime i obce – pisze się łącznie z wyrazami zapisywanymi małą literą. Jeśli wyraz zaczyna się od wielkiej litery, po przedrostku stawia się łącznik, np. *super-Europejczyk*;

b) dopuszczenie rozdzielnej pisowni części takich jak *super-, ekstra-, eko-, wege- mini-, maxi-, midi-, mega-, makro-*, które mogą występować również jako samodzielne wyrazy, np.

miniwieża lub *mini wieża*, bo jest możliwe: *wieża (w rozmiarze) mini*;
superpomysł lub *super pomysł*, bo jest możliwe: *pomysł super*;
ekstrazarobki lub *ekstra zarobki*, bo jest możliwe: *zarobki ekstra*;
ekożywność lub *eko żywność*, bo jest możliwe: *żywność eko*.

10. Wprowadzenie jednolitej łącznej pisowni części *niby-, quasi-* z wyrazami zapisywanymi małą literą, np.

nibyartysta, nibygotyk, nibyludowy, nibyorientalny, nibyromantycznie;
nibyblona, nibyjagoda, nibykłós, nibyliść, nibynóżki, nibytorebka;
quasiopiekun, quasinauka, quasipostępowy, quasiromantycznie,

przy zachowaniu pisowni z łącznikiem przed wyrazami zapisywanymi wielką literą, np. *niby-Polak, quasi-Anglia*.

11. Wprowadzenie łącznej pisowni *nie-* z przymiotnikami i przysłówkami odprzymiotnikowymi bez względu na kategorię stopnia, a więc także w stopniu wyższym i najwyższym, np.

nieadekwatny, nieautorski, niebanalny, nieczęsty, niezyciowy;
niemiły, niemilszy, nienajmilszy;
nieadekwatnie, niebanalnie, nieczęsto, niezyciowo;
nielepiej, nieprędzej, nienajlepiej, nienajstaranniej.

Załącznik nr 2, Zasady pisowni i interpunkcji polskiej (79 stron) dostępny jest w zakładce „Dokumenty” na portalu reshumana.pl.

Nowe rysunki Marka Chaczyka

Nasz rysownik przyniósł do redakcji paczkę swych nowych prac, niekiedy z odmienną od wcześniejszej kreską, niekiedy wyrażających nowe emocje. W tym numerze „Res Humana” publikujemy kilka z nich.





POLITYKA

Polska na rok przed wyborami prezydenckimi

Wnioski z wyników wyborów w latach 2023 i 2024 wyciągają, i na tej podstawie prognozują przyszłość, redaktorzy „Res Humana” oraz jeden z zaprzyjaźnionych autorów – profesor Jan Garlicki, politolog i socjolog związany z Uniwersytetem Warszawskim, właściciel i prezes Centrum Badań Marketingowych „Indicator”.



Jan GARLICKI



J. Paweł GIEORGICA



Zdzisław RACZYŃSKI



Robert SMOLEŃ



Piotr STEFANIUK



Jerzy J. WIATR

Robert Smoleń: Zastanówmy się, jak wygląda polska polityka po ośmiu miesiącach nieustannych kampanii i serii głosowań – na posłów i senatorów, władze lokalne i ostatnio przedstawicieli naszego społeczeństwa w Parlamencie Europejskim. Chodzi o to, żebyśmy popatrzyli na scenę polityczną z większego dystansu, również w kontekście przyszłorocznej elekcji prezydenta RP, która zwieńczy ten wyborczy maraton. To będzie moment, w którym ta scena ułoży się w kształcie, który potrwa przynajmniej przez jakiś czas. Na dzisiaj, po 9 czerwca, wydaje się, że mamy do czynienia z pewną stabilizacją: dwie duże formacje zdominowały system partyjny, cztery mniejsze ugrupowania (z tym że dwie z nich jak do tej pory współtworzą jeden blok, Trzecią Drogę; inaczej widzę sytuację na lewicy, gdzie małe stronnictwa, włącznie z Razem, nie są moim zdaniem zdolne do samodzielnej egzystencji) mają dość niestabilne notowania, nawet jeśli fluktuują w ramach wąskich widełek. Mnie zastanawia to, że Prawo i Sprawiedliwość cały czas utrzymuje mniej więcej trzydziestoprocentowe poparcie, mimo że z jego rąk zostały wytrącone instrumenty, które wydawały się decydujące dla jego siły, np. publiczne media przekształcone w narzędzie wyjątkowo tępej propagandy, czy hojne programy socjalne – bo te są kontynuowane (a nawet poszerzane) przez obecny rząd. Tłumaczę to sobie tym, że postawy społeczne nie zmieniają się tak szybko, jak byśmy chcieli. Bo jednak cały czas obserwujemy stopniowy spadek poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości.

Jan Garlicki: Prawdopodobnie jest pewna stała grupa wyborców, która przynajmniej do pewnego stopnia będzie głosować na Prawo i Sprawiedliwość niezależnie od tego, co się wydarzy. Jest to być może smutne z punktu widzenia patrzenia na przyszłość kraju. Nawet różne-

go rodzaju afery i aferki, jakie zostały teraz odkryte, nie kruszą – jak widać – tego żelaznego elektoratu. Liczy on może trzydzieści, może dwadzieścia kilka procent (to zależy też od frekwencji odnotowywanej w kolejnych wyborach). Widziałem mem, że jakby snopek słomy wystawić na pierwszym miejscu na Podkarpaciu, to też by został wybrany do Europarlamentu. Coś w tym jest. Chociaż z drugiej strony trzeba zauważyć, że zostały tylko trzy województwa, w których w ostatnich wyborach kandydaci PiS zdobyli pierwsze miejsce (najwięcej głosów), a we wszystkich pozostałych na miejscu pierwszym znaleźli się kandydaci Koalicji Obywatelskiej. To pokazuje, że elektorat PiS do pewnego stopnia kruszeje, nie uczestniczy, inni zdobywają więcej głosów.

Jerzy J. Wiatr: Podstawowa lekcja z tych wyborów jest taka, że polska scena polityczna wyraźnie się ustabilizowała i stabilizuje się coraz bardziej w wariacie dwóch wielkich biegunów. Częścią tego jest przesuwanie się Koalicji Obywatelskiej na lewo w rozmaitych ważnych kwestiach. Przez to dla wielu wyborców stała się swą bardziej atrakcyjną wersją – lewicową w planach i na tyle silną, że gwarantującą możliwość ich realizacji. Tym w pierwszym rzędzie jest w moim przekonaniu spowodowany katastrofalny wynik Lewicy, nie jej jakimiś szczególnymi błędami – chociaż nie twierdzę, że ich nie było. Natomiast jeżeli chodzi o Prawo i Sprawiedliwość, to kluczem do zrozumienia, dlaczego zachowuje ono silną (choć już nie tak silną, jak w przeszłości) pozycję jest pewnego rodzaju anatomia jego elektoratu. Z czym się korelują istniejące podziały? Z wykształceniem (PiS wygrywa w cuglach wśród ludzi z wykształceniem podstawowym), miejscem zamieszkania (wieś) i wiek (ludzie po sześćdziesiątce). Przy takim podziale elektorat nie reaguje na bieżącą politykę. Nie da się tego zmienić na zasadzie, że rząd przeprowadzi parę słusznych i potrzebnych posunięć społecznych, bo to nie zatrze w świadomości tej biedniejszej i mniej wykształconej części społeczeństwa pewnego rodzaju pamięci historycznej. Biedniejsza i mniej wykształcona część społeczeństwa czuła się osierocona, opuszczona. Żeby się zmieniło, musiałaby przyjść pamięć kolejnych pokoleń.

Dlatego sądzę, że mamy do czynienia ze sceną stabilną. Przy czym cechą tej stabilności jest jednak to, że obóz demokratyczny, obecnie rządzący, ma pewną przewagę. Z tym że wyraża się ona bardziej w procentach oddanych głosów niż w zdobytych mandatach. Gdyby na przykład w wyborach europejskich te trzy główne ugrupowania koalicji demokratycznej poszły razem, to przewaga tak zbudowanej listy nad listą Zjednoczonej Prawicy wynosiłaby nie jeden mandat, tylko 3–4 mandaty. To jest lekcja na wybory za 3 lata. Jeżeli ten obóz chce wygrać wybory, a na pewno chce, to do wyborów parlamentarnych powinien iść jednak ze wspólną listą.

Z wyborami prezydenckimi sprawa jest o tyle prostsza, że przy obowiązującej ordynacji to, co się dzieje w pierwszej turze ma w gruncie rzeczy bardziej psychologiczne niż polityczne znaczenie. Także w przyszłym roku decydująca będzie druga tura. Z jednym zastrzeżeniem! Ugrupowaniom demokratycznym nie wolno powtórzyć błędu, jaki popełniono w 2020 roku. Wtedy kandydat lewicy, Robert Biedroń, opowiadał głupstwa typu, i tu cytuję niemal dokładnie: „Nie jest ważne, kto wygra: Duda, Trzaskowski czy jakkolwiek inny kandydat prawicy”. Jak się opowiada takie głupstwa, to nic dziwnego, że się potem dostaje mniej głosów niż Magda Ogórek. Tego nie

wolno oczywiście powtórzyć. Wystawieniu własnego kandydata powinno towarzyszyć jasne i wyraźne powiedzenie: „W drugiej turze wszyscy popieramy tego kandydata obozu demokratycznego, który się w niej znajdzie”. A ponieważ jest oczywiste, kto wejdzie do drugiej tury z tej strony, więc praktycznie biorąc, jest to złożenie jeszcze przed wyborami jednoznacznej deklaracji, że głosowanie na kandydata lewicy czy na kandydata Trzeciej Drogi nie oznacza zwiększenia szans na zwycięstwo kandydata Prawa i Sprawiedliwości.

J. Paweł Gieorgica: Tak to się dzieje w czasie ostatniej dekady, że lewica odchodzi, a świat skręca na prawo. To, co się stało w tych wyborach w innych krajach pokazuje, że ten proces nawet przyspiesza. Pod pewnymi względami ma to miejsce również w Polsce. Jeżeli coś nowego się wydarzyło, to alternatywna możliwość tworzenia przyszłego rządu złożonego z PiS-u i Konfederacji. Na razie czysto matematycznie, na papierze. Jak to będzie wyglądało w przyszłości, zależyć będzie od tego, jak długo ten prawicowy trend się utrzyma. Nie można wykluczyć, że do takiej koalicji dołączy PSL, które jest od zawsze ugrupowaniem konserwatywnym obyczajowo, a obecnie skłóconym programowo z lewicą. W drugiej kolejności – centrowa partia marszałka Hołowni, któremu do nominacji na urząd prezydenta niezbędne będzie (w II turze) poparcie elektoratu PiS. To oczywiście nie znaczy, że lewica zniknie ze sceny. Ale potrzebuje lidera, który umiałby jej wielki potencjał wyborczy skutecznie podnieść i aktywować. Do tej pory były tylko sondażowe oraz kolejne wyborcze porażki, aż lewica doszła do strefy granicznej. Dalej może ją czekać już tylko otchłań, w której rozdrobni się do końca i przestanie się liczyć w grze politycznej.

Moja wizja rozwoju sytuacji jest, niestety, pesymistyczna. Rząd Tuska – co już wyraźnie widać – idzie ostro na prawo. Wcześniej widoczny był przechył na lewo, ale teraz, kiedy PO stała się partią wiodącą, jej niekwestionowany lider zmierza do tego, ażeby bardziej przypodobać się prawej stronie elektoratu. Mówię tu o nowej taktyce, odpowiedniejszej dla sprawowania rządów partii władzy. Dla mnie takim koronnym argumentem na wsparcie tej hipotezy był przygotowany projekt nowelizacji ustawy regulującej użycie broni przez żołnierzy, który w pierwotnej wersji był realną, a nie filmową *licencją na zabijanie*.

Mało się mówi o finansach państwa po wyborach. Zapewne zaczniesz mówić już niedługo, kiedy w górę wystrzelą koszty życia. Kiedy także władze unijne narzucą nam dotkliwe rygory po rozrzutnym przekroczeniu poziomu deficytu budżetowego. Nadchodzą konieczne podwyżki związane ze wzrostem cen paliw i energii, ograniczone zostanie finansowanie projektów socjalnych itd. Niepokój niższych sfer, jakies rozchwianie, mogą przynieść znaczące polityczne skutki w postaci zachwiania stabilnością systemu. Trudno będzie uznać je za nieistotne. Będzie więc odreagowywanie społeczeństwa – może manifestacje, strajki, jak przed wyborami, podjudzające rolników? A może jakaś inna poszkodowana warstwa społeczeństwa stanie się kolejną twarzą protestów?

Jeżeli w Polsce ma nastąpić pożądana trwała stabilizacja, to widziałbym ją na takiej platformie: że udział w rządzeniu będą miały nie tylko na przemian dwie największe partie, lecz także inne ugrupowania. Zwraca-

cam uwagę, że rządząca koalicja demokratyczna w ostatnich wyborach nie otrzymała swoistej nagrody, która zwykle przynależy się zwycięzcom wyborów. To jest 10–15 procent głosów wyborców, które specjalnie się polityką nie interesują, ale poprzez szacunek dla werdyktu demokracji przenoszą swoje zaufanie na stronę wygranych. W tych wyborach tacy nie wystąpili. Ciekawe, czy czasem nie jest tak dlatego, że postanowili ukarać w szczególności rządzącą koalicję, która właściwie nic ze swoich kluczowych obietnic nie dokonała. Ani w *sto dni*, ani w pół roku.

Jerzy J. Wiatr: W dwóch kwestiach mocno się nie zgadzam. Po pierwsze z ostatnią tezą. Można się spierać, czy wyborcy w wystarczającym stopniu wyróżnili obecną koalicję, ale nie można twierdzić, że tego nie zrobili. Koalicja Obywatelska w poprzednim Parlamencie Europejskim miała 16 posłów, teraz ma 21. Zjednoczona Prawica miała 27, teraz ma 20. Oczywiście można mówić, że to nie jest gigantyczna różnica, ale nie można twierdzić, że jej nie ma. Druga teza, z którą się nie zgadzam – to ta, że obecny rząd przesuwają się na prawo. Moim zdaniem – nie! Możemy się spierać, czy jest wystarczająco przesunięty na lewo – i oczywiście chętnie bym widział bardziej energiczne przesunięcie w tym kierunku. Ale po raz pierwszy na agendę wszedł projekt ustawy o związkach partnerskich (jak to się skończy, nie wiadomo, bo w tej sprawie jest znaczny opór). Po raz pierwszy od lat pojawiła się sprawa rewizji ustawy antyaborcyjnej. Tu znowu wiadomo, że droga jest wyboista, ale czym innym jest powiedzenie, że na tej drodze są wielkie trudności, a czym innym, że rząd się przesunął na prawo. Bo się nie przesunął. Natomiast wyborcy w tych sprawach dali mniejsze poparcie tej agendzie progresywnej, niż by to wynikało z sondaży. I ostatnia sprawa – kwestia granicy. Wsłuchuję się uważnie w różne głosy protestu przeciwko stosowanemu środkom. Ale zadaję sobie pytanie: gdyby krytycy odpowiadali za państwo, jak zapewniliby jego bezpieczeństwo wobec oczywistej agresji rosyjsko-białoruskiej? Na napływ agresywnych pseudouchodźców, używających siły (w końcu z ich ręki zginął żołnierz), nie można odpowiedzieć łagodną perswazją. Na to trzeba odpowiedzieć siłą. Niestety. Z łagodną perswazją można dyskutować z tymi, którzy w dobrej intencji chcą się dostać do Polski. Ale nie z bojówkami, przygotowywanymi specjalnie do czegoś, o czym mówimy jako o wojnie hybrydowej. Jeżeli to jest *wojna*, to ma ona, niestety, swoje brutalne prawa.

Robert Smoleń: Rząd jednak wycofał się z tak radykalnego, jak pierwotnie planował, rozszerzenia prawa do użycia broni przez żołnierzy w czasie pokoju, czym przyznał, że była to propozycja nienajlepiej przemyślana. Są różne sposoby rozwiązywania trudnych problemów. Ich dostrzeżenie i wybór jest pewną sztuką. Na przełomie 2015 i 2016 roku Unia Europejska zakończyła ówczesny kryzys migracyjny, choć dzięki środkom wątpliwym moralnie (zapłacono prezydentowi Turcji, która ten kryzys faktycznie wywołała). Powstrzymanie napływu uchodźców i imigrantów uznano za ważniejsze. W sprawie kryzysu na polsko-białoruskiej granicy rząd jest równie nieporadny i nieskuteczny jak wcześniej PiS. A strzelanie do ludzi tam przebywających musi zostać uznane za niedopuszczalne.

Piotr Stefaniuk: W czasie dyskusji po ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych zastanawiałem się, o ile mniej głosów uzyskałoby PiS, gdyby nie kontrolowało mediów publicznych. Oceniałem, że mogłoby to być 10 do

15 procent. Wykazałem się żenującą naiwnością (nie mówię „niekompetencją”, bo nie uważam się za analityka bieżącej polityki). Co to znaczy, że tak ważny czynnik nie wpływa na postawę wyborców? To znaczy, że mamy do czynienia z podziałem tożsamościowym. A to taki podział, który każe głosować na „swojego”, choćby był złodziejem. To znaczy, że sytuacja nie zmieni się szybko i dwubiegunowa polaryzacja, o której mówił Jerzy Wiatr, będzie trwała charakterystyką sceny politycznej. Kruche zwycięstwo w ostatnich wyborach każe poważnie obawiać się recydywy PiS, a tutaj stawką jest projekt modernizacyjny kraju. Biorąc pod uwagę wyborczy potencjał prawicy, należy ze szczególną determinacją przeprowadzić rozliczenie wszystkich nadużyć PiS-u. Procesy będą trwały wiele lat, ale prokuratura musi wykonać swoją pracę możliwie najszybciej. Liczę na to, że ujawnienie skali nieprawości choć o kilka małych procent uszczupli ich elektorat, a tych kilka procent może mieć kluczowe znaczenie w przyszłorocznych wyborach prezydenckich.

Zdzisław Raczyński: Właściwie od początku transformacji, od wyborów prezydenckich w 1995 roku, gdy na Kwaśniewskiego głosowały, generalnie, środowiska opowiadające się za modernizacją, proeuropejskie, lewicowe, postępowe, w Polsce utrzymuje się praktycznie przepoławiający nasze społeczeństwo podział elektoratu na promodernizacyjny i antymodernizacyjny, zachowawczy. Gdy przyjrzymy się rezultatom wyborów parlamentarnych w 2005 roku, to widzimy, że ten podział utrzymuje się mniej więcej niezmiennie, łącznie z poparciem dla skrajnej prawicy; wcześniej – dla Ligi Polskich Rodzin, dzisiaj – dla Konfederacji. W wyborach do Parlamentu Europejskiego przed pięcioma laty PiS uzyskało 27 mandatów, Koalicja Europejska łącznie z partią Wiosna – 25. W tym roku koalicja demokratyczna łącznie zdobyła 27 mandatów, PiS z Konfederacją – 26. Przesunięcia są nieznaczące.

Mniej więcej jedna trzecia wyborców stale popiera tę antymodernistyczną, antylewicową i antyliberalną opcję. Zaproponowana przez PiS rewolucja narodowo-tradycjonalistyczna, wzmocniona przez ofertę socjalną, nie była odgórnym zabiegiem socjotechnicznym, lecz autentycznie wyrażała interesy dużej części naszego społeczeństwa. Ta grupa nigdzie się nie podziela. Ci wyborcy zawsze będą głosowali na antyliberalną prawicę, a ich liczebność będzie zmniejszała się powoli, w miarę zmian w strukturze demograficznej i w miarę, okreśmy to ogólnie, postępu cywilizacyjnego. Tę grupę charakteryzuje tradycjonalizm, oczekiwanie na paternalistyczną, opiekuńczą rolę państwa i – swojskość. Przez swojskość rozumiem zarówno przywiązanie do tradycji, narodowych i katolickich, jak i lęk przed zmianami, przed otwarciem na nowości, na wpływy zewnętrzne, w których to oddziaływaniu widzi się zagrożenie dla dotychczasowego sposobu i stylu życia. Podobne postawy dotyczą nie tylko Polski, lecz także tych krajów, w których skrajna prawica odnotowała sukces. Tam również ludzie boją się nieznanego, nowych wyzwań i dają posłuch tym, którzy obiecują powrót do przeszłości, do traconych korzeni.

Niebezpieczeństwo obecnej sytuacji, według mnie, tkwi w tym, że Koalicja Obywatelska, największa partia bloku demokratycznego, nie proponuje wyrazistej, konsekwentnie liberalnej platformy ideowej.

Staje się typową partią władzy. Wypchnęła wprawdzie, na użytek kampanii wyborczej, najbardziej konserwatywnych polityków takich jak Ryś czy Zalewski, lecz nadal doskonale mieści w sobie i Kowala, i Nowacką. Koalicja Obywatelska nie tyle przesuwają się na prawo, ile jej lider, Tusk, będąc technokratą władzy, wchodzi na pole populizmu, przygotowane wcześniej i uprawiane przez PiS. Uważam, że Tusk liczy na to, że zdola zapanować nad populizmem, że go osiodła i okiełzna. Istnieje niebezpieczeństwo, że może się srodze zawieść.

Populistyczny trend w polityce Koalicji Obywatelskiej oraz jej liberalizm gospodarczy otworzyły pole dla programu i działań Lewicy. Tak, aby pozostać wyrazicielem tendencji konsekwentnie liberalnej kulturowo, socjalnej, proeuropejskiej i promodernizacyjnej. Lewica wszakże tej możliwości albo nie dostrzegła, albo nie była w stanie jej wykorzystać. Lewica nie przemówiła własnym, oryginalnym i atrakcyjnym głosem. Chociaż jako jedyna chyba partia przedstawiła program przed wyborami do PE. Polityka jest teatrem. Lecz aby aria przyciągnęła, uwiódła odbiorców, trzeba nie tylko mieć dobry tekst, trzeba jeszcze mieć chwytliwą melodię i dobrych, wiarygodnych wykonawców, którzy nie fałszują. Lewica miała tylko libretto.

Robert Smoleń: We współczesnych społeczeństwach jeden *główny* podział, jak kiedyś między pracą a kapitałem, został zastąpiony mozaiką wielu różnych, nieustannie się zmieniających, sporów i konfliktów. Tworzą się nieformalne *partie jednego tematu*, które po załatwieniu swoich postulatów się „rozwiązują”. Jeśli w Polsce utrzymuje się jakiś podział w miarę trwały, to jest to podział – zgoda – na tradycjonalistów i zwolenników modernizacji. Tylko że moim zdaniem proporcje między tymi grupami wynoszą nie 50:50, lecz 80:20, może 85:15. Sztuczka, jaką sprytnie stosuje PiS jest zamazywanie tego metapodziału poprzez koncentrowanie uwagi opinii publicznej na wzbudzających emocje szczegółach, w oderwaniu od istoty głównego dylematu.

Ale chciałem teraz zadać pytanie o to, co wydarzy się za rok? Mniej w kontekście liczb i faktów – bo to chyba jest dość łatwe do przewidzenia. Ja bym powiedział, że prezydentem zostanie Rafał Trzaskowski, bo PiS nie znajdzie „drugiego Dudy”, a nikt z obecnych polityków tego obozu nie zdobędzie zaufania umiarkowanych, centrowych wyborców. Nikt poza tymi dwoma wielkimi obozami nie ma szans na wygranie tych wyborów. Włącznie z Szymonem Hołownią. Nie mówiąc już o Konfederatach czy Lewicy, która pewnie skończy tak, jak Magdalena Ogórek i Robert Biedroń. Ale co to będzie znaczyło? Czy wtedy obóz demokratyczny uzna, że ma już pełną legitymację do przeprowadzenia tych wszystkich zmian, jakie obiecywał w kampanii 2023 roku i których nie realizuje, powołując się na prawdopodobne weta Andrzeja Dudy? Czy nastąpi odbudowa państwa demokratycznego, praworządnego i sprawnego? Czy też będzie to, co jest – brak konsekwencji, rozmywanie się zamiarów, taka właściwie bylejakość, nic przełomowego się nie wydarzy? A jeśli tak, to czy są powody do obaw, że nawet jeśli najbliższe wybory wygra obóz demokratyczny to finalnie może dojść do renesansu populizmu i autorytaryzmu?

Jan Garlicki: Pierwsza rzecz, którą trzeba uwzględnić w naszej analizie, jest taka, że – powołuję się tu na wyniki badań – około połowy Polaków nie ma partii, z którą się w pełni identyfikuje, na którą po prostu chce głosować. Jest więc poszukiwanie umownej „trzeciej drogi”; nie mówię tu

oczywiście o koalicji o tej nazwie, tylko o poszukiwaniu jakiegoś innego bytu. Było ich kilka i każdy odwoływał się do innej części elektoratu niezadowolonego: Samoobrona, Ruch Palikota, Kukiz'15, Nowoczesna. Teraz mamy Polskę 2050, która – jak sądzę – też przekona się o prawdziwości powiedzenia, że lepiej wybierać oryginał niż podróbkę. Teoretycznie istnieje duży potencjał dla nowej formacji, natomiast żadnemu z dotychczasowych ugrupowań nie udało się zagospodarować tego elektoratu na dłużej. Kierowały się też raczej do pewnego wycinka, a nie do wszystkich wyborców. W końcu jak przychodzi do wyboru, to na zasadzie „albo akceptacja, albo odrzucenie”, ludzie głosują na dwie najistotniejsze partie. Albo na PiS, albo na Platformę Obywatelską z przystawkami. Czy to się za rok może zmienić? Wątpię. Wybory prezydenckie prawdopodobnie wygra kandydat Koalicji Obywatelskiej. Chociaż może być problem, jeśli się okaże, że do drugiej tury przejdą na przykład Trzaskowski i Hołownia. Tu mogłyby być różne zachowania. Nie jestem taki pewien, że wtedy na pewno w cuglach wygrałby Trzaskowski.

Następna rzecz: wspomnieliśmy o lewicy. Została ona w pewnym sensie pozbawiona jej głównych elementów programowych. PiS zabrało jej kwestie socjalne. Teraz zresztą idzie w tę stronę Platforma Obywatelska, też gwarantując różne benefity i przywileje. Platforma zawłaszczyła jej postulaty światopoglądowe – kwestie aborcji, wolności, związków partnerskich itd. I lewica zostaje w pewnym sensie – przepraszam za określenie, nie chcę ich obrazić – taką trochę wydmuszką, której różne inne partie rozdrapały postulaty i zabrały ważne hasła wyborcze. Na marginesie: nie jestem pewien, czy sytuacja po eurowyborach, gdzie tylko trzy osoby otrzymały mandaty i wszystkie trzy wywodzą się z dawnej Wio-sny, zadowala elektorat dawnego SLD. Mam co do tego poważne wątpliwości. Dodam jeszcze, że z badań wynika, iż duża część wyborców lewicy przynajmniej w ostatnich wyborach przełożyła swoje poparcie na Koalicję Obywatelską. To samo zresztą zrobili wyborcy Trzeciej Drogi, a zwłaszcza Polski 2050.

Jerzy J. Wiatr: Mówimy o podziale na linii lewica – prawica. Ten podział jest istotny, ale niejedyny. W tej chwili w Polsce nakładają się na siebie trzy, moim zdaniem, podstawowe wybory: jednym jest ten tradycyjny (lewica – prawica), drugim – orientacja europejska i antyeuropejska, trzecim – demokratyczny czy autorytarny sposób sprawowania władzy. Czy PSL w obecnej postaci jest częścią lewicy, czy nawet centrolewicy? Nie. Natomiast z całą pewnością jest częścią obozu demokratycznego, bo jest antyautorytarny. Z tego wynikają pewne konsekwencje. Gdyby cały podział był wyłącznie na linii lewica – prawica, to nie byłoby takiej sytuacji, że w społeczeństwie, w którym większość opowiada się na przykład za liberalizacją ustawy antyaborcyjnej, w Sejmie nie ma dla tej liberalizacji większości. Cała sztuka rządzenia polega teraz na tym, że trzeba doprowadzić do pewnego rodzaju stopienia się w jedno tych trzech elementów programowych, tzn. generalnie progresywna orientacja, proeuropejska i antyautorytarna. To nie jest rzecz prosta, ale moim zdaniem – wykonalna. Jedno jest bezsporne, jeśli chodzi o te wybory: mamy do czynienia z przesunięciem się sceny politycznej w kierunku

nam bliskim. Jeżeli porównamy sytuację dzisiejszą z sytuacją sprzed pięciu lat, to nie ulega wątpliwości, że Polska jest dzisiaj w znacznie lepszej sytuacji. Szczególnie ciekawe jest to, że Polska poszła w odwrotną stronę niż Europa. W stosunku do Europy jako całości uzasadniona jest teza o wroście sił antyeuropejskich, autorytarnych i konserwatywnych. W Polsce mamy do czynienia z odwrotnym trendem. My uważamy, że on nie jest dostatecznie silny, ale nie możemy negować, że on jest.

Zdzisław Raczyński: Oczywiście, możemy dokonywać ekstrapolacji naszych oczekiwań i wyobrażeń na czas za rok. Proponuję jednak, abyśmy przyjrzeni się temu, co mamy, co dokonał, a ściślej – czego nie dokonał rząd Koalicji 15 Października w ciągu sześciu miesięcy. Tusk zasadnie, a nie tylko taktycznie, stwierdził, że w wyborach do PE Trzecia Droga zapłaciła cenę za swój swoisty symetryzm, za niejednoznaczny stosunek do rozliczeń. Faktycznie w czasie od powołania obecnego rządu nie przeprowadzono żadnej istotnej naprawy zepsutych elementów państwa. Nie przeprowadzono dogłębnego przeglądu, nie zmieniono zasadniczo reguł i procedur w administracji, która jest rdzeniem sprawności państwowej. Militaryzacja języka i wszystko, czego jesteśmy świadkami w kwestii ochrony granicy, świadczy raczej o tym, że idziemy dalej w stronę *pisizacji* państwa. Można zrozumieć zniecierpliwienie Tuska, który ponaglił i dopinguje swoich ministrów, rozumiejąc, jakie są oczekiwania elektoratu Koalicji 15 Października. Używając bardziej radykalnych sformułowań, Tusk na czele swoich koalicyjnych ministrów rządu jawi się jako wilk na czele stada baranów, które nie potrafią podążać samodzielnie drogą. Dlatego patrzę w przyszłość z dużą dołą pesymizmu, twierdząc, że nic nie zmieni się diametralnie w ciągu następnego roku. Utkniemy w miałkości sporów, w nijakości działań, w braku sprawności i braku sprawności państwa. Dlatego nie można wykluczyć recydywy i powrotu do władzy opcji narodowo-tradycjonalistycznej. Wówczas nawet wybór na stanowisko prezydenta Rafała Trzaskowskiego, zdecydowanie na wyrost zaliczanego do lewicującego skrzydła koalicji, nie przełamie niepokojącego trendu rewolucji konserwatywnej.

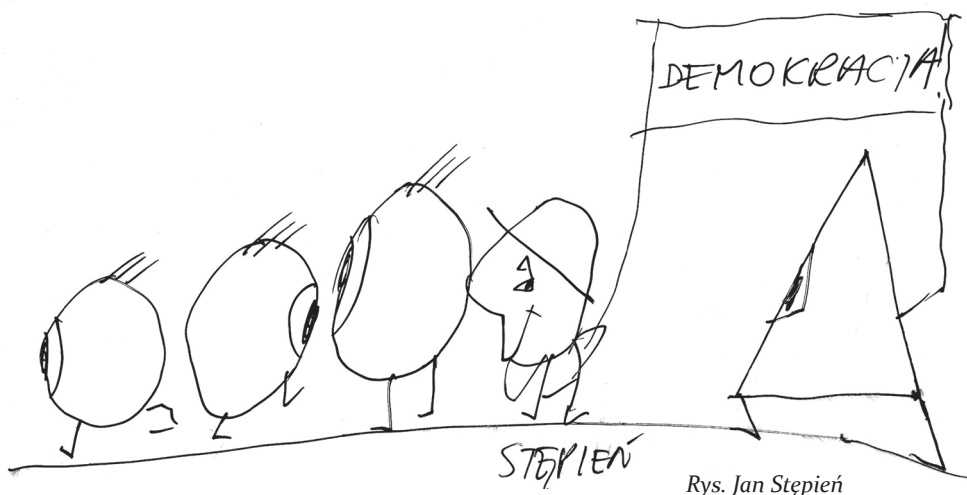
J. Paweł Gięrgica: Dużo jeszcze byłoby do powiedzenia w tej sprawie. Moim zdaniem jest już za późno, żeby skosztować oczekiwań wobec rządu Tuska, że w sposób prawidłowy dokona rozliczeń choć niektórych polityków poprzedniego obozu rządzącego za łamanie Konstytucji, przestępstwa, nadużycia budżetu, malwersacje itd. Teraz tak naprawdę pierwsze procesy i wyroki mogą być zrealizowane do końca nie szybciej niż za 4–6 lat.

Kampania prezydencka już trwa, dlatego że cechą sceny politycznej po ostatnich trzech wyborach jest to, że na skutek niemal antagonistycznego rozwarstwienia społecznego partię w sposób płynny wkraczają w kolejną kampanię. W następnych wyborach dojdzie do bardzo ciekawego pojedynku. Moim zdaniem jest jeden podział, który w ogóle tutaj nie był brany pod uwagę. Można spekulować, że osłabione PiS doprowadzi do jeszcze jednego rozłamu społeczno-politycznego: podziału na *prawdziwych Polaków-katolików* i całą resztę, resztę świata. „Jesteś prawdziwym patriotą itd... – głosujesz na naszego kandydata”. Pewnie będzie to jakiś ewangelista, może np. gładki Tobiasz, który stanie do pojedynku z Trzaskowskim, który będzie przedstawiany jako totalny nihilista.

Nie wiem, czy zauważyliście, ale w polskim systemie nigdy nie zrodziła się partia chadecka, która funkcjonuje chociażby w Niemczech, czy w wielu innych krajach. Niewątpliwie inklinacje w tym kierunku zdradza Hołownia, także Kosiniak-Kamysz, który będzie zapewne ostatnim już liderem partii ludowców przed jej ostatecznym zniknięciem ze sceny politycznej. No cóż, rolnictwo stało się bardzo małą gałęzią przemysłu w gospodarce bloku, stanowiącą zaledwie około 1,4 procent PKB UE i nie więcej niż 5 proc. PKB w żadnym z 27 krajów Unii. Ale na razie, jest to taki projekt *in statu nascendi* – trochę podobnie do współczesnej lewicy: niby jest bardzo duży potencjał, ale nie może on skryształizować się w jedną silną partię. Być może czeka nas, jeżeli miałbym przewidywać, początek drogi ku precyzowaniu tego kierunku budowy także innych partii opartych na realnych interesach kluczowych zbiorowości społecznych...

Piotr Stefaniuk: Powstanie chadecji w Polsce jest nierealne, w Polsce to się rozbije o episkopat! Przy takiej charakterystyce instytucjonalnego Kościoła katolickiego, w Polsce chadecja jest niemożliwa. Musiałaby mieć pewien stopień autonomii. A zobaczcie: chadecja – to jest „Znak”, „Tygodnik Powszechny”, tego typu środowiska – zupełnie wyplute poza Kościół. Chadecje są formacjami liberalnymi, a liberalizm to w oczach Kościoła najgroźniejszy wróg polskiej tożsamości.

J. Paweł Giorgica: Trzeba jednak uwzględnić aktualne silne tendencje osłabienia instytucji Kościoła. Wiadomo jakie: odpiływ wiernych – laicyzacja, rezygnacja z uczestnictwa w uroczystościach religijnych, nauki religii w szkołach itd. Można przewidywać, że jeżeli wartości religijne staną się orężem i paliwem do walki politycznej w wyborach prezydenckich, to ten ważny podział stanie się kluczowy. Nie wiem, czy i kiedy tak się stanie, ale wskazuję na bardzo duże prawdopodobieństwo, że może tak być. Trudno jest przewidywać, jak się ta sytuacja będzie rozwijała. Jeszcze raz podkreślam, że jestem w tej sprawie pesymistą. Nie spodziewam się, że do czasu wyborów prezydenckich zmieni się coś na lepsze. Może się zmienić tylko na gorsze – z tych powodów, o których mówiłem. ■



Rys. Jan Stępień

KOŚCIÓŁ I WIARA

Śmierć Boga i jego okolice



Mirosław CHAŁUBIŃSKI

Współczesna publicystyka społeczna i polityczna, piśmiennictwo naukowe w Polsce – i nie tylko – obszernie eksploatuje problematykę relacji państwo-Kościół. Do tematów żywo dyskutowanych w tym kontekście należą też: kwestia dopuszczalności aborcji, zakresu dofinansowania instytucji kościelnych przez państwo, nauczania religii w szkołach czy też skandali obyczajowych wśród duchowieństwa. Dyskutuje się – i to nader krytycznie – o współrządach (duumwiracie) Zjednoczonej Prawicy i Kościoła w latach 2015–2023 w Polsce. Ważnym tematem są też próby reformowania Kościoła katolickiego podczas pontyfikatu papieża Franciszka i spadek liczby wierzących oraz ogólnego poziomu praktyk religijnych i wyświęceń kapłańskich.

Nie wymieniłem bynajmniej wszystkich problemów, jakie nasuwają się przy analizach form religii w świecie i poszczególnych państwach. Dlatego z satysfakcją witamy ambitne próby (zwłaszcza udane) głębszej penetracji tej problematyki na polskim gruncie. Do owych udanych, bardzo świeżych prób zaliczę Tomasza P. Terlikowskiego *Arcybiskup. Kim jest Marek Jędraszewski* oraz *Bóg umarł. Dlaczego odchodzimy od religii* Michała Jędrzejka¹.

Pierwsza z nich, opierająca się na bogatych i różnorodnych źródłach przedstawia karierę (22 czerwca 2024 roku ustąpił ze swego urzędu) Marka Jędraszewskiego. Trudno nazwać tę książkę biografią wysokiego hierarchy, gdyż jej autor ciekawie (choć czasem pośrednio) podnosi temat specyfiki polskiego katolicyzmu i przyczyn jego kryzysu.

Z kolei M. Jędrzejek próbuje (z sukcesem) odpowiedzieć na pytanie, które pojawiło się już w podtytule pracy: Dlaczego odchodzimy od religii? Inaczej mówiąc, autor penetruje procesy sekularyzacji zachodzące w obszarze cywilizacji euroamerykańskiej (czyli Zachodu) zaś ze względu na tę szeroką perspektywę badawczą, połączoną z odwagą i ostrożnością, książkę tę można uznać za wybitną.

Opinię tę – którą w pełni podzielam – zdążyli już wyrazić różni recenzenci pracy.

Potrzebne jest w tym miejscu kilka uzupełniających zdań o autorze.

Michał Jędrzejek jest doktorem filozofii i redaktorem „Znaku”. Z pewnością śmiało nazwać go można interdyscyplinarnym uczonym, demonstrują-

¹ M. Jędrzejek *Bóg umarł. Dlaczego odchodzimy od religii*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2024, 267 stron.

cym erudycję w różnych dziedzinach humanistyki m.in. w historii idei, socjologii, religii.

*

Z pewnością warto jest się przyjrzeć założeniom metodologicznym i pojęciowym, które przyjął autor *Bóg umarł*:

– Zaczniemy od kluczowego dla analizy pojęcia *sekularyzacji*. Jego literacko-filozoficznym bliskoznacznikiem jest „Bóg umarł” – metafora wylansowana przez Fryderyka Nietzschego lub też weberowskie „odczarowanie świata”. Michał Jędrzejek, nawiązując do koncepcji filozofów kultury (Charles Taylor) i socjologów religii (Peter L. Berger) dostrzega różne aspekty tych procesów:

a. obserwujemy emancypację sfer publicznych od religii i Kościoła;
b. upadek wiary i praktyk religijnych oraz ich indywidualizacji w różnych grupach społecznych. Polega to na wzroście liczby ateistów, agnostyków i obojętnych, a także rozroście różnych form synkretyzmów religijnych i religii indywidualnych;

c. kontekst wypowiedzi, w którym przyjmujemy różne przekonania, w tym także o religijnym charakterze. Dla „nowoczesnych” i „ponowoczesnych” czasów pierwszorzędne znaczenie ma rozwój nauki, jej prestiż oraz jej konflikty z dogmatami kościoła i jego instytucjami.

– Autora cechuje historyczno-socjologiczne ujmowanie Kościoła i zjawisk religijnych, z czym wiąże się samoograniczenie się w badaniu sekularyzacji do euroamerykańskiego kręgu kulturowego. Oczywiście jest on świadom, iż procesy te mają zasadniczo odmienne, mniejsze natężenie w Afryce, Azji, Ameryce Południowej, a nawet w Stanach Zjednoczonych – zaliczanych przecież bezdyskusyjnie do Zachodu. Nie wolno ekstrapolować Zachodu na cały współczesny świat i wszystkie epoki. Trzeba dostrzegać religię w laicyzującym się świecie.

– Autora wyróżnia też rezygnacja z jednoczynnikowych wyjaśnień i jednokierunkowej ewolucji, odwołanie się tylko do jednego wybranego czynnika, np. traktowania sekularyzacji jako skutku rozwoju nauki i jej technicznych zastosowań. Potrzebne jest jego zdaniem uwzględnianie innych czynników: pluralizmu kulturowego, łatwości komunikacji między państwami (R. 6 i Zakończenie).

– Ten pluralizm ma teoretyczne, jak i strukturalne aspekty. Chodzić może o uwzględnienie wielu teorii m.in. M. Webera, Ch. Taylora, P.L. Bergera, i oczywiście F. Nietzschego, któremu poświęca dwa rozdziały (3 i 4), co stanowi w pracy podstawy merytoryczne prowadzonej analizy.

– Można powiedzieć, że analizy pism Nietzschego ogólnie rzecz biorąc, nadają ton religioznawczym koncepcjom autora *Bóg umarł*. Ma on oczywiście świadomość, że pewne wątki charakterystyczne dla *Wiedzy radosnej*, *Tako rzecze Zaratrustra*, *Z genealogii moralności* – a więc późnego okresu jego twórczości – są składnikami europejskich procesów sekularyzacji przynajmniej od późnego średniowiecza, poprzez Oświecenie brytyjskie i francuskie do XIX w. (G.W.F. Hegel, H. Heine, M. Stirner, A. Schopenhauer, F. Dostojewski).

W późnym okresie twórczości F. Nietzschego dostrzegam rozbudowane – choć były one jakoś obecne wcześniej – dwa wątki: „diagnoza” i „postulat”.

Pierwszy z nich to analizy procesów ewolucji społecznej (zwłaszcza chrześcijaństwa), które prowadzą do rozwoju sekularyzacji polegającej na spadku religijności w świecie. Teologia okazuje się fałszem, co poświadcza rozwój nauk przyrodniczych (Karol Darwin) i historycznych (Ernest Renan i Dawid Friedrich Strauss).

Drugi zaś (można go też nazwać „normatywnym”) polega na krytyce religii żydowskiej i chrześcijańskiej, ponieważ jest ona „tworem szkodliwym”, ograniczającym ludzką egzystencję, możliwości twórcze, godność. Religia to twór zaspokajający potrzeby ludzi słabych, dostarczający fałszywych pocieszeń. Dlatego można powiedzieć, że jej krytyka to doniosłe wydarzenie emancypacyjne w dziejach, dające ludzkości szanse rozwojowe.

*

Dla badaczy zjawisk sekularyzacji (i ogólniej mówiąc) procesów religijności najważniejsze – moim zdaniem – są ostatnie fragmenty książki M. Jędrzejka, gdyż stanowią podsumowanie wcześniej zebranych faktów i analiz pojęciowych. I jest to odnoszone do współczesnej sytuacji społeczeństw zachodnich. Autor wraca tam do pytania, co skłania ludzi do wątpliwości i niewiary? Czy Bóg naprawdę umarł w naszych społeczeństwach i jakie formy przybiera jego agonia? Autor nawiązuje tu do Taylora i Bergera.

Ogólnie rzecz biorąc, religia staje się jedną z opcji, a kiedyś była czymś bezwarunkowo oczywistym, a życie ludzkie staje się skupione na celach osobistych.

Rozwój nauki i jej praktycznych zastosowań sekularyzuje nam świat. Przynajmniej w pewnym stopniu. Lecz nie następuje pełne „odczarowanie świata”. Posługuję się pojęciem często używanym przez Webera, który rozumiał przezeń powszechny zanik przekonań związanych z działaniem w świecie sił nadprzyrodzonych.

Skutki sekularyzacji są różnorodne, lecz nieprawdą jest, że musi ona prowadzić do demoralizacji – tak jak religia do humanitaryzmu. Nieprawdą jest też to, że musi dawać utratę, deficyt sensu życia.

Religia może – nie zapominajmy o tym – generować przemoc i nietolerancję. Poświadczają to dobitnie ludzkie dzieje.

Istnieją różne źródła wartości. Nie muszą one jednak mieć religijnego charakteru.

Można powiedzieć, iż żyjemy w świecie tylko częściowo zsekularyzowanym, postsekularnym, mimo współczesnego renesansu religijności w pewnych obszarach i okresach; np. w PRL w końcowym jego okresie obserwowano wyraźny wzrost religijności różnych grup społecznych. Fundamentalizm islamski stanowi też dobitny przykład obecności religii w życiu politycznym.

Powiem na koniec, iż wylansowana w znacznym stopniu za sprawą aktywności filozoficznej Nietzschego metafora „Bóg umarł” nie zostanie z pewnością łatwo zapomniana – tak konkluduje autor książki (s. 249). Być może nowe fakty i możliwe choćby lokalne nawroty religijności mogą zaprzeczać teoriom śmierci Boga. W każdym razie teorie globalnej sekularyzacji nie wystarczają do wyjaśnienia wielorakich przemian religijności we współczesnym świecie. ■

Wierzący i niewierzący. Dialog i tożsamość. Nie u nas – w Ameryce



Piotr STEFANIUK

Wydawnictwo STAPIS opublikowało nową pozycję w swojej serii „Bez bogów”: Philip Kitcher, *Życie po wierze. Pochwała świeckiego humanizmu* (tłum. Andrzej Dominiczak), Katowice 2024, 208 stron. Czytamy ją razem z wcześniejszą książką Katherine Ozment *Dusza bez Boga*. W poszukiwaniu sensu, celu i wspólnoty w świeckim życiu (tłum. Piotr W. Cholewa).

Jednoznaczne tytuły i idące krok dalej podtytuły mówią jasno, z jaką literaturą mamy do czynienia.

Obie książki dotyczą przemian religijnych społeczeństwa amerykańskiego i potrzeby dialogu między wierzącymi a tymi, którzy od wiary odchodzą. Autorem pierwszej jest filozof, drugiej – dziennikarka, która chce zgłębić problemy świeckiego wychowania własnych dzieci w religijnym otoczeniu. Korzyścią z lektury jest zetknięcie się z kręgiem kulturowym, w którym dialog na ten temat może przyjąć formę rozmowy. Refleksją zaś to, że my w tym kręgu nie tkwimy.

Dwoje autorów chce wykazać, że świecki świat nie jest czymś, czego należy się obawiać. Nie jest światem, przed którym ostrzega Dostojewski i nad którym lituje się Tołstoj. To ważna misja tam, gdzie przyznanie się do ateizmu jeszcze niedawno wymagało szczególnej determinacji, gdyż ateista zajmował najniższe miejsce na drabinie zaufania społecznego, zapewne z powodu apriorycznie przypisywanej mu *aspoleczności*.

Kitchner szuka sposobu porozumienia z tymi, którzy twierdzą, że jego świeckie życie jest *płytkie*. Rozumie pokusę zakończenia rozmowy przez świeckiego humanistę, gdy ten słyszy, że płycizna jego światopoglądu czyni go głuchym na muzykę wieczności. On sam jednak zamierza oprzeć się tej pokusie, wierząc w możliwość dialogu (s. 174). Kwestia temperamentu: dla mnie to sytuacja adialogiczna (choć po lekturze rodzi się wątpliwość, czy to wyłącznie kwestia temperamentu, czy być może faktu, że jestem *stąd*). Swoją postawę Kitchner określa jako „miękki ateizm” (s. 49); to znaczy, że mimo niewiarygodności doktryn religijnych nie należy traktować ich, jak to ujmuje dominująca narracja ateistyczna, jako „wysoce toksycznego odpadu, który należy zakopać tak głęboko, tak szybko i tak dokładnie, jak to tylko możliwe” (s. 17). Taka postawa może przynieść owoce, jeżeli *miękki ateista* ma za interlokutora przedstawiciela *wyrafinowanej religii*, szukającego oparcia dla wartości w transcendencji, a nie w dogmacie.

Mnie rozważania Kitchnera czytało się trudno, ale może spełni się nadzieja Stanisława Obirka, autora wstępu do omawianej książki, że sięgną po nią osoby wierzące, zmuszone „porzucić błędne przekonanie, że ety-

ka i moralność mają jakikolwiek związek z religią czy Bogiem” (s. 10). Obirek wskazuje na powinowactwo koncepcji Kitchnera z pojęciem świeckiej etyki Tadeusza Kotarbińskiego i relacjonuje, że Karol Wojtyła był jej przeciwny, stojąc na stanowisku teonomicznego podporządkowania człowieka bogu, odmawiającym jednostce autonomii moralnej. Pisze też, że jego jezuicki nauczyciel Sergio Bastianel omawiając stanowiska Kotarbińskiego i Wojtyły stanął po stronie filozofa. Gdy Karol Wojtyła został papieżem, jego pogląd stał się dla katolików obowiązujący. Zapewne ta niemożność dialogu i brak miejsca dla *wyrafinowanej religijności* sprawiły, że Obirek zrzekł się kapłaństwa (dzięki czemu może swobodnie dialogować z Kitchnerem).

O ile w Polsce jest on absolutnym wyjątkiem, to w Stanach Zjednoczonych poglądy Jana Pawła II zniechęciły wielu wiernych do Kościoła katolickiego. Nie ma tam zbyt wiele przestrzeni dla religijnego fundamentalizmu. To już obserwacja Katherin Ozment. Dla niej impulsem do sięgnięcia po pióro było pytanie synka „kim jesteśmy?”, zadane przy okazji trwającej za oknem prawosławnej procesji, która – siłą nieprzynależności – była uroczystością *innych*. Zapytał więc: „Kim jesteśmy My?” Odpowiedziała machinalnie *none*, nikiem, i natychmiast zrozumiała problem.

W formularzach amerykańskich badań socjologicznych zawsze umieszczano pytanie o wyznawaną religię. Kto nie widział tam siebie, odpowiadał: „nie jestem żadnym z powyższych; niczym nie jestem”. *None: none of the above*. Ozment postanowiła zsynchronizować tę narzuconą i własną tożsamość. Wiadomość, że należy do znaczącej kategorii społecznej przyjęła z ulgą – dlatego że procesy, które tę grupę wykreowały, są świeżej daty. Dotarła do osoby szczególnie kompetentnej, do Roberta Putnama, i to on naszkicował genezę jej *społecznej tożsamości*. Mówił tak: należysz do pokolenia, które osiągało dojrzałość na przełomie lat 70. i 80. i które przyniosło pierwszą falę masowych odejść od religii. W sensie historycznym był to wręcz niewiarygodny przyrost, większy niż wszelkie dotychczasowe zmiany religijności, ze względu na jego tempo. Trudno przecenić historyczne znaczenie tego fenomenu, to ogromne przesunięcie kulturowe. Do lat dziewięćdziesiątych odsetek „*nonów*” wynosił około 7 procent, później zaczął gwałtownie rosnąć. Ok. 2015 roku trzecia część dorosłych w wieku poniżej 30 lat nie wyznawała żadnej religii. Świecka Ameryka prawie na pewno będzie rozrastać się wykładniczo. O ile w Europie sekularyzacja trwała przez 150 lat w tempie 1 procent na 10 lat, to teraz Amerykanie porzucają religię w tempie 1 procent rocznie. Ten spadek wyznawców spowodowany był wstrząsami społecznymi w latach 60., kiedy odrzucenie religii stało się elementem powszechnego ruchu kulturowego wyzwolenia szerzącego się niezależnie od rasy, płci i seksualności (s. 32). Trzydzieści pięć procent małżeństw zawartych w pierwszej dekadzie obecnego stulecia to związki międzywyznaniowe, w porównaniu do 20 proc. w latach 60. zeszłego wieku. To do tej grupy należy autorka (jak i sam Robert Putnam).

Przytaczam statystyki z myślą o tych, którzy po tę książkę nie sięgną. Ci, którzy sięgną, będą zaproszeni przez Ozment na „dziedzinię pogan”: król Herod przebudowując w dwudziestym roku naszej ery Świątynię w Jerozolimie kazał wyznaczyć oddzielny dziedziniec, gdzie Żydzi i nie-Żydzi mogliby gromadzić się z szacunkiem oraz zrozumieniem. Bo w kwestii religii – można usłyszeć na „dziedzińcu pogan” – mniej chodzi o to, *czym jest bóg*, niż o to, *kim jesteśmy w relacjach między sobą nawzajem*. ■

Zagubiony przewodnik. „Prawda” Kościoła i prawda o Kościele

Tadeusz KLEMENTEWICZ

Kościół katolicki od czasu kontrreformacji jest kustoszem tradycyjnej świadomości zbiorowej polskiego społeczeństwa i bastionem konserwatywnego obyczajowego. Ciałem, tj. gospodarczo podłączyliśmy się do Zachodu, duch natomiast nie może przekroczyć bramy nowoczesności. Niedojrzała, zdzieciniała, mitomańska to diagnoza nadwiślańskiej mentalności, dokonana przez zmagających się z jej brzemieniem (od Norwida do Ledera). Kościół jako przewodnik duchowy rezerwuje dla siebie ostatnie słowo w rozstrzygnięciu dylematów moralnych, zwłaszcza związanych ze sferą seksualną człowieka. Na dodatek przemawia w języku władzy zwierzchniej, usurpując sobie uprawnienia do „prawdy” o moralności i „wartościach”. Jest to jednak religijność rytualna. Prowadzi ona co niedzielę 37 procent Polek i Polaków do parafialnego centrum duchowego. Bogoojczyźnianą narrację wzmacnia rodzina, teraz też szkoła. Rodzina reprodukuje stosunki społeczne i utrwała miejsce religii w życiu jednostki i całej wspólnoty. Tu dokonuje się zrytualizowany przekaz pamięci kulturowej. Obie te instytucje pozostają autorytetami, przynajmniej dopóty, dopóki władzy nad młodym człowiekiem nie obejmie grupa rówieśnicza. Ważnym zabiegiem jest obrzęd uroczystego przyjmowania do wspólnoty religijnej. To wtedy wspólnota wdrukowuje emocjonalne symbole swojej religii. Trzeba później dużej samodzielności sądu, by przebić ten kokon. Tak powstaje porządek symboliczny, który ma podtrzymywać wysoką temperaturę wspólnotowych emocji, zapewniać lojalność i współpracę Polek i Polaków. Jest on odporny na czas, stanowi nie do końca uświadomiany zestaw reguł życia zbiorowego. To sfera *sacrum*, świętości porządku. Ten sposób legitymizacji ładu społecznego różni się od umowy społecznej, tak chętnie używanego wytrycha do analizy społeczeństwa przez myśl liberalną.

Religia sprawą prywatną. Dlaczego w gronie społeczeństw, które osiągnęły już wysoki poziom rozwoju gospodarczego, powszechna religijność cechuje tylko irlandzkie (do niedawna), amerykańskie i polskie? W społeczeństwach o wysokim poziomie życia materialnego i utrwalonej demokracji spada religijność, rośnie za to odsetek niewierzących bądź tylko obojętnych religijnie. Można sądzić, że w istocie mamy tu do czynienia nie z zanikaniem religijności, lecz z procesem przemieszczania się religii do prywatnej sfery własnych przekonań i obyczajów, porzucania instytucjonalnych form religii. U podstaw tej tendencji leży kilka okoliczności. Względnie wysoki dochód społeczny rodzi konsumpcjonizm i związany z nim hedonistyczny stosunek do życia (życie jako użycie). W tej sytuacji śmierć staje się tylko kresem konsumpcji. Wielkie miasto

ery industrializacji uwolniło jednostkę z gorsetu tradycji, jej biografie w coraz większym stopniu zaczynają kształtować własne preferencje i wartości, rośnie swoboda interpretacji religijnych nakazów w sprawie antykoncepcji, aborcji, rozwodów czy homoseksualizmu. Na dodatek, znikły w skali masowej plagi, które dziesiątkowały dawne populacje, zniknęły tym samym trwoga i lęk. Specjalne instytucje przynoszą pomoc, asekurują w sytuacjach nadzwyczajnych klęsk. Codziennosc kręci się wokół pracy i rodziny, a przed domokrążcą z dalekiego świata chroni wódz narodu. Niepokój o przyszłość ma charakter praktyczny, dotyczy troski o najbliższe środowisko, czyste powietrze, piece grzewcze piątej generacji. Potrzebę wspólnotowych działań mogą zaspokajać happeningowe manifestacje w sprawie reformy sądownictwa, ścieżek rowerowych czy jakości usług publicznych.

Te obserwacje potwierdza pozornie paradoksalna prawidłowość, że to właśnie laicyzacja społeczeństwa (mierzona odsetkiem niewierzących) koreluje z wysokim poziomem rozwoju społecznego (HDI). Jak stwierdza badacz kultów religijnych Phil Zuckerman, „kraje najbardziej zlaicyzowane, z największym odsetkiem ateistów i agnostyków, zaliczają się do najbardziej stabilnych i zdrowych, a ich obywatele cieszą się największymi swobodami”. Mylą się więc kościelni hierarchowie i ich polityczni promotorzy, kiedy utożsamiają laicyzację z rozpadem więzi społecznych.

Ale odczarowanie świata, które przyniosła nauka, nie zaszkodziło religii. Ta bowiem operuje na innym poziomie świadomości, inną potrzebę zaspokaja. Jej podstawową funkcją w życiu jednostki jest dostarczanie nadziei eschatologicznej, nadziei, jak mówi psalmista, że „nie wszystek umrę”. W jakiejś innej postaci – duchowej – będą trwał nadal. Rdzeniem religii jest śmierć, ziemski kres egzystencji biologicznej. Kościół oferuje specyficzną usługę, mianowicie osłonę przed śmiercią, utrzymując ponadto cały czas jednostkę w poczuciu winy. Jest ona bowiem niepełnosprawna moralnie: podejrzana, nieczysta, wydrążona. Uzyskuje status osoby, godność, dzięki temu, że jest obrazem Boga. Jednak dopiero Kościół dzięki objawieniu i nauczaniu pozwala jednostce żyć według prawa naturalnego, co zwiększa jej szanse na zbawienie.

Ale w Polsce muszą występować jakieś specjalne okoliczności, skoro prywatyzacja religii toczy się powoli, choć w przewidywanym kierunku. Do tych okoliczności z pewnością można zaliczyć dziedzictwo kontrreformacji (demonstracyjna religijność szlachty, jej niechęć do bawienia się naukami, *Kmicic versus Kartezjusz*), później wiara przed rozumem romantyków. Podczas zaborów Kościół stał się namiastką państwa, a przecież w fazie powstawania nowoczesnych narodów odgrywało ono dużą rolę. W historycznym rozwoju polskiej mentalności i etosu brakowało też racjonalności myślenia i działania, które gdzie indziej wносиło mieszczaństwo. W Polsce stosunkowo duży odsetek ludności zamieszkuje obszary wiejskie i małomiasteczkowe. Religia w takich tradycyjnych społecznościach ma głównie charakter rytualny, podtrzymuje więź społeczną. Silna jest tu wciąż sankcja rozsiana wobec *outsiderów*. Polskie społeczeństwo przejawia duży konformizm w myśleniu i w debacie publicznej. Wiąże się to z brakiem odwagi cywilnej. To efekt koniecznej lojalności w oporze przeciw zaborczej władzy, zwierania szeregow przeciwko wspólnemu wrogowi. Zarzut zdrady sprawy narodowej był wyjątkowo hańbiący (stąd „zdradzieckie mordy”). Długie tradycje ma też masowe oddziaływanie religijne kościoła, zwłaszcza po 1945 roku (millenium chrztu, ruch

pielgrzymkowy, oazowy). W czasie rewolucji 1904–1905 świadomość klas ludowych na wsi i w mieście przeorała ideologia endecji, silnie kojarząca polskość z katolicyzmem. W ostatnich dekadach dużą rolę odgrywa zorganizowany kult Papieża-Polaka, darzonego powszechnie uczuciem wzniosłości. Kościół podtrzymuje wizerunek męczennika, który przechował przez „ciemną noc komunizmu” depozyt wiary i tożsamości narodowej. Na dodatek polskie elity polityczne szukają pomazania w kościele niczym średniowieczni królowie. Za ten stan prawny odpowiedzialny jest postsolidarnościowy obóz rządzący. Wykreowane przez media pokolenie JP II jest teraz w PiS-ie, PO, Nowoczesnej, Kukiz'15, ONR. Okazało się ono masą niesamodzielnych intelektualnie, hołdujących paternalizmowi i hierarchiom społecznym konserwatorów polskiego zaścianka.

Kościół narodowy. Z tej historycznej wirówki wyłonił się polski Kościół instytucjonalny i polski katolik. W jego świadomości religia splata się z narodem, służąc mu pomocą w ciężkich czasach i dostarczając symbolicznej ikonosfery, np. Jasna Góra, Matka Boska Częstochowska bez tęczy, Polska jako Chrystus narodów. Organizuje polską tożsamość, instrumentalnie traktując religię. W tym celu powstały różne krzepiące mity. I tak mit nadnaturalnej opieki nad narodem polskim pozwalał przetrwać traumę „ciężkich terminów”, których nie brakowało. Mit narodu wybranego, który z poświęceniem strzegł Europę przed wschodnim barbarzyństwem (przedmurze chrześcijaństwa, Chrystus narodów). Klęski powstań narodowych oswajał emocjonalnie terapeutyczny mit ofiary patriotyzmu na „ołtarzu Ojczyzny” (powstanie warszawskie 1944 r. moralnym zwycięstwem). Dzięki tym symbolom odbywa się komunikacja między rządzącymi a narodem: 1 sierpnia, później 15 sierpnia, później 17 września itd. Obraz świata społecznego, który buduje religia, oparty jest na fundamencie prawicowych wartości, homofobii, patriarchalnej rodzinie, autorytecie tradycyjnej hierarchii społecznej. Kościół też chciałby mieć monopol wrażliwości na cierpienia, niedostatki i frustracje ludu bożego, choć nie słyhać, by gorszyły go ekscesy wolnego rynku w Polsce, np. by upominał się o sprawiedliwą płacę. Sam zaś zastępuje pomoc ubogim dobroczynnością, bo Caritas finansuje budżet państwa. Kościół zażyczył sobie od państwa, by wpisało do kodeksu karnego ściganie obrazy uczuć religijnych. Jego funkcjonariusze głoszą wartości wyższe, ale nie gardzą dobrami niższego rzędu. Mają też dobre relacje z biznesem, często sponsorem kościelnych przedsięwzięć. Na dodatek, po uchyleniu rąbka sutanny, ujawnił się patologiczny skrzep celibatu, homoseksualizmu i homofobii.

Sobiepaństwo. Kościół stał się wyniosłym udzielnym księstwem w pejzażu demokratycznego społeczeństwa. Koszty funkcjonowania instytucji pokrywa budżet państwa, „na wiarę” rozliczając publiczne fundusze i ukrywając je w różnych wydatkach budżetu (Fundusz Kościelny, ordynariaty). W konsekwencji doszło, jak pisze Stanisław Obirek, do „splotu upolitycznionej religii z ureligijnioną polityką”. Budżet finansuje wydziały teologii na uczelniach, emerytury, zwalnia z podatków i darowizn. Kościół uzyskał mienie z tytułem własności lub tylko z chęcią posiadania, jako największy posiadacz ziemski, otrzymuje dopłaty unijne, prawdopodobnie ponad 100 mln złotych rocznie. Polscy proboszczo-

wie otrzymali dotychczas z Unii Europejskiej łącznie ok. 8 mld zł. Środki te umożliwiły odnowę wielu zabytkowych parafii, ale również szkół katolickich, przedszkoli, domów pielgrzyma czy świetlic, słowem, bazy. Dofinansowania te pochodzą z programów „naprawczych” dla Polski. Kościół kosztuje społeczeństwo trudną do oszacowania liczbę kilku lub nawet kilkunastu mld zł rocznie, w tym prawie 2 mld dotacji budżetowej, 800 mln na współfinansowanie przez państwo katechezy, zabytków, transfery ministerialne, utrzymanie Caritasu, dopłaty unijne. Bilans nie jest prosty, ponieważ religia ma janusowe oblicze. Pomaga trwać wspólnocie niespokrewnionych ludzi, ale może tłamsić innowacje, adaptację do nowych warunków historycznych także dlatego, że promuje irracjonalizm i wierność tradycji np. małego plemienia żyjącego przed tysiącami lat na pustyni.

Korzyści w perspektywie wspólnotowej. Ale Kościół oferuje też wspólnocie możliwość integracji na podstawie uroczystych rytuałów, wspólnych uniesień, uwznioślenia odpowiednim obrzędkiem i odpowiednią oprawą, także muzyczną, ważnych momentów w życiu każdego. Religia według Immanuela Kanta jest wehikułem moralności, ta z kolei ma za zadanie temperować egoizm i oliwić grupową współpracę. Religia zatem jako ewolucyjna adaptacja pomaga funkcjonować wielkim grupom społecznym na gruncie wspólnej moralności. Na przykład monogamia służy obu stronom, ponieważ ułatwia maksymalizację przekazu rodzicielskich genów, m.in. dzięki opiece nad potomstwem, które długo pozostaje niesamodzielne. Religia tylko utwierdza w swojej dogmatyce to rozwiązanie ewolucji gatunku. Przede wszystkim pomaga rozwiązywać problem długotrwałej współpracy między członkami wielkich zbiorowości, którzy nie są spokrewnieni. Taka grupa dzięki większej spójności mogła odnosić sukcesy w rywalizacji z innymi, np. w wojnach plemiennych, w rywalizacji o terytoria łowieckie. Z tego punktu widzenia Kościół polski wpisał się we wcześniejsze słowiańskie obyczaje i wierzenia. Na współczuciu i trosce oparty jest także przekaz nauki Chrystusa: gotowość poświęcenia się dla innych, obdarzanie ich szacunkiem, potępienie gromadzenia bogactwa jako celu życia, poszanowanie prawdy i prawdomówności, umiejętność wybaczenia, nawet wrogom, pacyfizm. Cnoty te mają charakter uniwersalny. Dlatego spoiwo zbiorowej egzystencji, które wytwarzała religia, mimo irracjonalnych podstaw z punktu widzenia racjonalności poznawczej, jest cenne dla trwania wspólnoty. Ale z kolei wspólnota zespolona węzłem religii, jak wskazywał Bertrand Russell, narażona jest na skostnienie, jeśli partia ładu wymusza zbyt dużą dyscyplinę i silne przywiązanie do tradycji. Z kolei liberalni reformatorzy, obdarzający jednostkę zbyt dużą autonomią, odpowiedzialni są za dezorganizację i atomizację społeczeństwa, jego sproszkowanie jak mówi Andrzej Szahaj. To rezultat za daleko posuniętego indywidualizmu i egoizmu.

Koszty poznawcze. Narracja narodowo-religijna utrwałała się w kontrze do emancypacji obyczajowej i intelektualnej, którą przyniosło Oświecenie, z jego ideą uniwersalnych praw człowieka i obywatela, z nadzieją „wyjścia człowieka z niepełnoletności”. Specyfika religii polega na pozaempirycznej akceptacji przekonania, że istnieje „nadprzyrodzony czynnik sprawczy”. Religia, wprowadzając wątek ponadnaturalnych bytów, wchodzi w konflikt z nauką. Doktryny religijne oferują krzyżówki mitów i alegorii (wygnanie z raju, dzieworództwo). Kościół od czasów Konstantyna uczynił wrogiem

racjonalizm kultury grecko-rzymskiej. Wysięk Kościoła na tym polu przez tysiąclecie był na szczęście tylko częściowo skuteczny: w kulturze umysłowej Europy silniejsze jest dziedzictwo grecko-rzymskie i oświeceniowe, niż chrześcijańskie. Ostatecznym źródłem sukcesu europejskiej nauki stała się niekwestionowana metanorma, nakazująca ciągłe kwestionowanie jej wyników. Stąd podkreślany przez filozofów stan „niepewności i niepokój”, towarzyszący Europejczykom. Kultura europejska poddaje się nieustannemu kwestionowaniu i ten relatywizm przesądza o jej wyższości, sądził Ernest Gellner.

Ale są wyjątki. Polski Kościół stał się producentem mitów na temat dziejów. Chrzest Polski ograniczał się do najbliższego kręgu władcy, sieć parafii powstawała kilka wieków; św. Stanisław to zdrajca stanu, skazany na karę główną-główną, czyli dekapitację; obrona Częstochowy dokonana się bez świętego obrazu, z przewagą ognia obrońców, z krajanami walczącymi po obu stronach itd. itd. Dopiero od czasów Oświecenia świeckość państwa prowadziła do coraz większej niezależności nauki, szkolnictwa, debaty publicznej, rozstrzygania dylematów moralnych na gruncie dorobku nauki i etyki niezależnej od ingerencji kościołów. W rezultacie w ciągu dwóch, trzech wieków wiarę zastępowały stopniowo racjonalne przekonania, kontrolowane ostatecznie przez różnorodne wyniki eksperymentów i obserwacji. Kosztowny poznawczo jest też podwórkowy ogląd świata prezentowany w narodowych mediach. Dominuje w nim obraz polityki z punktu widzenia polskiego katolika. Z tej perspektywy tylko sokole oko może dostrzec związek ograniczenia przyrostu naturalnego w skali świata z likwidacją luki rozwojowej, z awansem materialnym i kulturowym kobiet w biednych regionach.

Istniejące dwa stulecia nowoczesne narody, oparte na wspólnej kulturze, języku, religii, często mające za przodków wychodźców z Eurazji odchodzą stopniowo w przeszłość. Wspólnoty współczesne to wspólnoty obywatelskie, organizmy pracy zbiorowej. Łączy je to, że każdy może zaspokoić swoje rozliczne potrzeby tylko wtedy, kiedy korzysta z wytworów pracy innych. Nikt tu nie jest samotną wyspą, chociaż zachowuje autonomię wyboru strategii życiowej. Bywa, że takie wspólnoty – jak w Skandynawii – dodatkowo spaja emocjonalna więź wyrażająca się we wzajemnym szacunku, solidarności, trosce. To zatem przede wszystkim wspólnoty życia i pracy, każdy z jej członków może decydować na równych prawach o wartościach, które razem warto, a niekiedy trzeba realizować. Dopiero wtórnie mogą się one różnicować na wspólnoty religijne, etniczne, obyczajowe, rasowe itd. Sprowadzanie członkostwa w takiej wspólnotcie do wyznawania określonej religii, do kryteriów etniczno-religijnych powoduje, że coraz więcej Polek i Polaków zmuszonych jest do wewnętrznej emigracji, czują się bowiem jak obcy we własnym kraju. Nowym wyzwaniem w Europie jest budowa republikańskiej wspólnoty ponad członkostwem w lokalnych i narodowych, małych i dużych ojczyznach. Wspólnoty takie integruje realizowanie wspólnych celów i wartości, np. utrzymanie jakości życia, zrównoważonego środowiska czy zachowanie eksponowanego miejsca w nowym wielobiegunowym ładzie światowym. ■

Tadeusz Klementewicz, prof. senior Uniwersytetu Warszawskiego, politolog, badacz przemian współczesnej cywilizacji.

WOJNA I POKÓJ

Czy humaniści, do tego lewicowi, mogą toczyć wojny?



Robert SMOLEŃ

Tytuł jest oczywiście prowokacją. Humanisci są dalecy od prowadzenia wojen; czynią to, niejako w ich imieniu, generałowie. W gruncie rzeczy jednak to intelektualiści tworzą konstrukty myślowe, które prowadzą do wojen lub je skreślają z katalogu dopuszczalnych zachowań. Konflikty interesów i spory między wielkimi grupami społecznymi, narodami, państwami są nieuniknione. Współcześnie nauczyliśmy się je rozwiązywać za pomocą rozmowy, negocjacji. Najlepszym tego uosobieniem jest Unia Europejska, która po to właśnie powstała i znakomicie się z tego obowiązku wywiązuje. Nikomu dziś nie przyjdzie do głowy, że Francuzi, Niemcy, środkowi Europejczycy, Włosi, Hiszpanie – którzy do połowy ubiegłego stulecia nieustannie między sobą wojowali – mogliby chcieć sięgnąć po oręż. A wszystko zaczęło się od myśli, refleksji; moim zdaniem tyleż z technokratycznego projektu Jeana Monnet, co z wcześniej spisane na bibułkach od papierosów i przemyczonego z internowania na wyspie Ventotene humanistycznego manifestu Altiero Spinello.

Idea wiecznego pokoju, uznania przez wszystkich ludzi i wszystkich przywódców politycznych, że lepiej jest współpracować niż gromadzić coraz większe zapasy coraz bardziej śmiercionośnych broni i później się nimi zabijać, jest pociągająca. Jest też – przynajmniej – nierealistyczna. W dającej się wyobrazić przyszłości zawsze znajdą się liderzy, wodzowie, najczęściej dyktatorzy, którzy będą dążyć do uzyskania korzyści drogą groźby, a jeśli to nie wystarczy, realnego użycia siły. W takich przypadkach zalecenie Wegecjusza: *si vis pacem, para bellum* jak dotąd sprawdzało się lepiej niż polityka *appeasementu*.

A co począć w sytuacji, gdy wojna przestała być abstraktem i trwa tuż za naszymi granicami? Czy byłoby odpowiedzialnym apelowanie o *pokój za wszelką cenę*, faktycznie na warunkach agresora? Trudno sobie wyobrazić, by państwo, które rozpętało awanturę zupełnie bez powodu, powściągnęło swoje dalsze ambicje terytorialne. Znamy to z historii. Już dawno państwa wspólnie zgodziły się, jak mają wyglądać stosunki między nimi, by nie powtórzyły się najgorsze okropności Wielkich Wojen. Zapisaly to w Karcie Narodów Zjednoczonych, w Europie potwierdziły na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Zakaz agresji i niedopuszczalność anek-

towania fragmentów terytorium sąsiada stanowią kamień węgielny tego systemu.

Zadaniem humanistów jest przecież także sprzyjanie ochronie wartości, które ludzkość wytworzyła bazując na greckiej filozofii, rzymskim prawie, dorobku Oświecenia i rewolucji francuskiej. Wolność, poszerzające się prawa człowieka i mniejszości, demokracja powiązana z prymatem prawa nad wolą przywódcy, państwo gwarantujące społeczną harmonię (a nie będące aparatem opresji) – to wszystko mogłoby być utracone w zderzeniu z przynoszoną na bagnietach alternatywną koncepcją organizacji społeczeństwa, jeśli bylibyśmy niezdolni do przeciwstawienia tym bagnietom wystarczającej siły. To też znamy z dawnych dziejów. Po upadku Rzymu musieliśmy czekać na Odrodzenie tysięcy lat.

Z lewicowymi politykami rzecz jest prostsza. Ci stąpają mocno po ziemi. Kanclerz Olaf Scholz zaraz po rozpoczęciu rosyjskiej interwencji w Ukrainie wygłosił w Bundestagu przemówienie zapowiadające *kopernikański przewrót* we wschodnioeuropejskiej polityce jego kraju. Niemcy zaczęły się zbroić i stały się głównym europejskim dostarczycielem sprzętu i pieniędzy Ukrainie. Josep Borrell, hiszpański socjalista, jako Wysoki Przedstawiciel UE do spraw polityki zagranicznej śmiało wkroczył na nieznany dotąd Unii obszar wspólnych zakupów zbrojeniowych, z przeznaczeniem dla Kijowa.

Fundacja im. Friedricha Eberta, bliska SPD, zaprosiła grupę ekspertów z Niemiec, Polski, krajów bałtyckich i Skandynawii, Czech oraz Węgier do przemyślenia tego zwrotu w polityce europejskiej socjaldemokracji. W efekcie powstał raport „*Shaping the Zeitenwende*” (niełatwo ten tytuł przełożyć na polski, *Zeitenwende* to „przełom czasów”). Chodzi o zaproponowanie modelu nowej polityki lewicy wobec całego regionu na wschód od UE, teraz i w przyszłości. Miałem przyjemność uczestniczyć w tych pracach. Niepodważalne i niekontrowersyjne było w nich przyjęcie imperatywu niedopuszczenia do rosyjskiego zwycięstwa w trwającej wojnie, akceptacja tego, że Rosja w najbliższym czasie się nie zmieni oraz przyjęcie konieczności oparcia relacji z *tą Rosją* na znanych zasadach powstrzymywania, ograniczania i odstraszania. Logiczną konsekwencją – także w obliczu możliwego powrotu Donalda Trumpa do Białego Domu – jest budowa europejskich zdolności obronnych (wraz ze zgodą na ponoszenie niezbędnych kosztów) i świadomość potrzeby długotrwałego utrzymywania sankcji, zwłaszcza na dostęp rosyjskich firm do zachodnich technologii i kapitału. Takie czasy! Europa musi w końcu stanąć na własnych nogach, przestać się oglądać na sojusznika zza Oceanu. Socjaldemokraci godzą się też na wzmocnienie tzw. kompleksu wojskowo-przemysłowego – nie jako przygotowanie do przyszłej agresji, lecz dla ochrony naszych społeczeństw przed zewnętrznym zagrożeniem.

Raport trafia właśnie do politycznych decydentów europejskiej lewicy; będzie też przedstawiany i dyskutowany z progresywnymi środowiskami w krajach Starego Kontynentu. ■

Gra i manipulacja wojną Do czego może to prowadzić?



Jan SZMYD

Chaos w aktualnych opowieściach o wojnie

Mówi się, że żyjemy w „czasie przedwojennym” albo że tkwimy w „oparach zimnej wojny” i że niepokojąco nabrzmiewa alternatywa „wojna czy pokój”; że coraz bardziej rozlewa się wokół nas „eskalacja przemocy” i nabiera na znaczeniu „bezpieczeństwo”; że „znowu górę biorą interesy – broń i pieniądze – a nie piękne idee, tak żarliwie głoszone”.

Wypowiedzi o podobnym brzmieniu przytaczać dziś można niemal bez końca – jest ich zdumiewająco wiele i prawdopodobnie w najbliższym czasie będzie ich jeszcze więcej. Są one wymownym i złowieszczym znamieniem czasu, ale niewiele wyjaśniają. Poszerzają je rozliczne teksty publicystyczne, ale i one nie tłumaczą należyście współczesnego problemu „wojny i pokoju”. Trochę lepiej mają się w wypełnianiu swego zadania w zakresie tego problemu „obrazowe” przekazy medialne, wiele z nich jest bezspornie poznawczo-oceniających i poruszających (chodzi obecnie przede wszystkim o „obrazy” wojny w Ukrainie i na Bliskim Wschodzie).

Jakie są więc największe niedomogi i słabości aktualnej społecznej komunikacji, dotyczącej newralgicznych kwestii współczesnych wojen i zbiorowego bezpieczeństwa?

A więc najczęściej i najmocniej dociera ona do nas w zróżnicowanych, nie dość z sobą zsynchronizowanych, językach – zwłaszcza w stroniczym i na ogół tendencyjnym języku doraźnej polityki, ideologii czy dyplomacji – rzadziej zaś, i znacznie słabiej, w dostatecznie zobjektywizowanym i rzetelnie funkcjonującym przekazie informacyjnym. Ta swoista „językowo-wojenna” okoliczność jest jedną z istotnych przyczyn narastającego zamętu i niedoinformowania o arcyważnej dziś sprawie wojny i pokoju. Natomiast przyczyną czegoś jeszcze gorszego, bo powszechnego niedostatku głębszego rozumienia, a zarazem osobistego wyczuwania ogromu zła aktualnie prowadzonych lub realnie możliwych, niejako „na włosku wiszących” wojen, jest tematyczna jednostronność docierającego do nas obrazu współczesnej wojny. Mianowicie ukazuje się w nim przeważnie przedmiotową, rzeczową, emocjonalnie i moralnie obojętną, a osobowo bezbolesną jej stronę finansową, technologiczną, planistyczną, militarną, strategiczno-taktyczną i efektywnościową (niszczyielską, ilościowo śmiertcioną itp.). Rzadziej natomiast i jakby tylko w uzupełnieniu do owej przedmiotowej (rzeczowej) strony wojny, ukazuje się w tym obrazie stronę podmiotową – antropologiczną, osobowościową – najistotniejszą każdej wojny. Stronę, w której ujawnia się jej esencja, istota i uniwersalna o niej prawda, tzn. masowe zabijanie, okaleczanie, cielesne i psychiczne wyniszczanie ludzi, zadawanie im potwornego bólu i cierpienia, gwałtu i zniewolenia, powodowanie dogłębnego

lęku i przerażenia, wewnętrznego napięcia i roztrzęsienia, zmuszanie do widoku i osobistego doświadczenia skrajnego okrucieństwa i barbarzyństwa, porażającego smutku i osamotnienia, wojennej potworności i katastrofy, częstego „patrzenia w oczy śmierci”, oglądu przerażającej maszynierii niszczenia wszystkiego, nierzadko całego „dorobku życia”.

Istotną też trudnością i poważnym kłopotem jest tu i to, że „mowę” o właściwej wojnie dopełnia się nadmiernie terminami oznaczającymi różne *quasi*-wojny czy niby-wojny albo po prostu pewne swoiste niewojenne konfrontacje i starcia międzyludzkie oraz międzypaństwowe. Coraz bardziej zagęszcza się „mowę” o wojnie takimi terminami jak „wojna handlowa”, „wojna informacyjna”, „wojna internetowa”, „wojna pokoleń”, „wojna kultur”, „wojna cywilizacji”, „wojna światopoglądów”, „wojna psychologiczna”, „wojna propagandowa”, „wojna ideologiczna”, „wojna kognitywna”, „wojna religijna”, „wojna obyczajowa”, „wojna klimatyczna”, „wojna technologiczna”, „wojna sportowa”, a nawet „wojna męsko-damska” itp. Nasilanie się tego natrętnego, a nawet modnego współczesnego proceduru lingwistycznego znacznie zaciemnia rzeczywiste i złowrogie „oblicze” wojny „właściwej” („prawdziwej”) i swoiście rozmywa jej głębszą recepcję, znaczeniową wyrazistość; sprawia, że wojna właściwa powszednieje w mentalności ludzkiej, niebezpiecznie się „uzwyczajnia”, że oddala pożądaną tu sprzeciw.

Meandry manipulacji wojną

O wiele gorszą od przypomnianego wyżej zamętu w językowej „opowieści” o wojnach dzisiejszych są nagminne i cynicznie prowadzone przez głównych, pośrednich lub bezpośrednich, sprawców owych wojen (rządy, prezydentów, premierów, dyktatorów, lobby militarno-przemysłowe niektórych krajów), różne formy manipulacji wojną; manipulacji w sprawie jej rzeczywistych przyczyn i uwarunkowań, celów i skutków, źródeł finansowania i beneficjentów zysków wojennych.

Główną formą stosowanej obecnie manipulacji wojną jest ukrywanie albo po prostu przemilczanie w oficjalnym języku polityki i dyplomacji oraz w zależnych od głównych central władzy i biznesu mass mediów, rzeczywistych przyczyn, pobudek i motywacji działań na polu przygotowywania (zbrojenie i finansowanie), legitymizowania (prowojenna ideologia i propaganda), a w końcu i wywoływania współczesnych wojen. Najczęściej są to przyczyny czysto polityczne, biznesowe, gospodarczo-finansowe, imperialne albo – ciągle jeszcze – nacjonalistyczne i egoistycznym interesem oraz zachłanną chciwością, bywa też, że i nienawistną głupotą i pychą podszyte, nastawienia i dążności współczesnych „rycerzy wojowania”. Pisze o nich dosadnie i jakże celnie hiszpański pisarz i reportażysta wojenny Arturo Pérez-Reverte: „wojna jest jedna: jakieś nieboraki w rozmaitych mundurach strzelają do siebie, umierając ze strachu, w dziurach pełnych błota, a ważny sukinyś siedzi i pali cygaro w klimatyzowanym biurze, gdzieś bardzo daleko, wymyśla flagi, hymny narodowe i pomniki nieznanego żołnierza, nie brudząc się krwią ani gównem. Wojna to biznes dla sprzedawców i generałów, drogocenie dzieci. Cała reszta to bałach”. Do wysoko zaś dziś cenionych i ochoczo angażowanych projektantów „inteligentnej”, coraz bardziej niszczycielsko

i śmiertocionśnie wyrafinowanej broni, bez wahania odnosi ten bezsporny „znawca wojny” określenie „morderca” (*Terytorium Komanczów*) – z czym pewnie trzeba się zgodzić.

Kluczową pozycję w aktualnej okołowojennej manipulacji, zadziwiająco cynicznie i oszukańczo uprawianej przez zaangażowane w główne dzisiejsze konflikty wojenne państwa i rządy, jest przemilczanie albo zasłanianie atrakcyjną i chwytliwą społecznie frazeologią niepodległościowo-patriotyczną i ideową, fundamentalnych i „pierwszych” przyczyn owych konfliktów. Tkwią one – jak wiadomo – w zaawansowanej, ostrej, choć w znacznej mierze zakamuflowanej, rywalizacji o pozycję w świecie, a nawet o dominację w nim dwóch światowych „bloków” czy „metaukładów” społeczno-gospodarczych i państwowo-politycznych, a mianowicie układu „euroazjatyckiego” (Chiny, Rosja) i „euroatlantyckiego” (USA, UE, GB).

Wojna w Ukrainie, na Bliskim Wschodzie i „wisząca na włosku” wojna na Dalekim Wschodzie (m.in. o Taiwan) to militarne przejawy tej geopolitycznej rywalizacji.

Jasno i „bez ogródek” pisze o tym m.in. wybitny badacz i znawca ekonomiczno-politycznych przemian współczesnego świata – Grzegorz W. Kołodko: „Na powierzchni zjawisk słyszymy wciąż, a to o obronie przed wrogią agresją, a to o chlubnej walce w imię niepodległości, suwerenności i demokracji, ale przecież te starania wiążą się z tektonicznymi zmianami geopolitycznymi, które bynajmniej nie wszystkim są na rękę. Rosja wciąż nie potrafi pogodzić się z utratą – po rozpadzie Związku Radzieckiego – swojej wcześniejszej silnej pozycji. USA nie chce przyjąć do wiadomości faktu, że globalna hegemonia jest *passé*. Nostalgia za czasami kolonialnej potęgi wciąż kładzie się długim cieniem na Wielkiej Brytanii i Francji. Niektórzy obawiają się, że Chiny od asertywności przejść mogą do zewnętrznej agresywności”. (G. W. Kołodko: *W oparach zimnej wojny*, „Przegląd”, Nr 12 (1263) s. 10.

Wbrew zafalszowanej a „obowiązującej” poprawności politycznej dobitnie uzupełnia powyższe wypowiedzi jeden z korespondentów „Przeglądu”, pisząc: „USA i ich wasale, w tym Polska, chcąc utrzymać świat jednobiegunowy, potrzebują wojny. Irak i Afganistan to dla USA historia, a Ukraina i Gaza to ciąg dalszy, ale w innym wykonaniu. Nie wystali własnych wojsk, ale dla Ukrainy robi się wszystko, aby broni nie zabrakło. Unia Europejska nawet w to działanie prowadzone przez USA wchodzi z wielkim rozmachem. Pieniądzy nie brakuje, byle Ukraina walczyła do ostatniego żołnierza w imię wolnego świata. Kasa na zbrojenia pochodzi z podatków, ale podatnik w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia, tak samo nie będzie miał nic do powiedzenia, gdy bomby zaczną spadać na jego dom. Życie nie jest ważne. Ważne, aby wielcy tego świata byli zadowoleni”. (Andrzej Kościański).

Ale wojny potrzebują nie tylko Stany Zjednoczone, lecz także – niestety – wiele innych krajów. To, że obecnie na świecie toczy się kilkadziesiąt różnej wielkości wojen, tę demaskatorską tezę wyraźnie potwierdza. Przecież nie wszystkie z nich są wojnami obronnymi! Jak zauważa ceniony badacz globalnych stosunków ekonomiczno-politycznych „znowu górę biorą interesy – broń i pieniądze – a nie piękne idee, tak żarliwie głoszone”. (G. W. Kołodko).

Te „piękne idee”, o których mówi się w przytoczonym spostrzeżeniu, to przede wszystkim „wartości Zachodu”, „demokracja”, „solidarność”, „rozwój

gospodarczy”, „suwerenność”, „niepodległość”, „integralność terytorialna”, „bezpieczeństwo”, „wolność”, „dobrobyt” itp. Są one wbudowywane w aktualnie konstruowaną przez polityków świata zachodniego, także naszego kraju, ideologię bezpieczeństwa i wojny „obronnej”, ale nie są jej jedynym składnikiem.

Ideologiczna promocja wojny

W przyjętej obecnie ideologii wojny nadużywa się słowa „musi”. Słowo to w kontekście realnej wojny (Ukraina, Strefa Gazy) może mieć bardzo złe, wręcz ludobójcze konsekwencje; może „posyłać” rozliczne rzesze ludzkie na bezmyślną rzeź i niepotrzebne masowe cierpienia. Przykładem artykulacji takiej wysoce nieracjonalnej, a potencjalnie bardzo niebezpiecznej ideologicznej narracji, zawierającej słowo „musi” może być natrętne powtarzanie nie dość przemyślanego przez polityków stwierdzenia: „Ukraina musi tę wojnę wygrać”; „Wojna w Ukrainie musi być wygrana”; „Ukraińcy muszą pokonać Rosjan”; „Rosja musi tę wojnę przegrać”; „ Hamas musi być pokonany” itp.

O wiele rozsądniej i z potrzebną tu wyobraźnią oraz z większym szacunkiem dla dzielnych walczących stron, a mniejszym samolubnym ich uprzedmiotowianiem, słowo „musi” winno być, z uwagi na elementarną uczciwość i odpowiedzialność, zastąpione słowem „może” lub zwrotem „jest nadzieja” itp.

Negatywną i wielce niebezpieczną cechą omawianej ideologii wojennej jest też i to, że z jednej strony potęguje się w niej prawdopodobieństwo możliwych jednych wydarzeń, a z drugiej strony umniejsza się, a nawet wyklucza możliwość spełnienia innych. Przykładem tej pierwszej tendencji jest dowolne uznawanie za prawie pewne, że Rosja i Chiny wcześniej czy później zaatakują Zachód, przykładem zaś tej drugiej orientacji jest pomniejszanie, a nawet wykluczanie wybuchu wojny termojądrowej. Słyszymy i czytamy np., że „Putin nie zatrzyma się na Ukrainie” (Aktualny dowódca wojsk NATO); „Rosja może zaatakować NATO” (Andrzej Duda – prezydent Polski); „Rosja może zaatakować NATO w ciągu trzech do pięciu lat” (Troels Lund Poulsen – duński minister obrony); „Kreml przygotowuje się do wojny na dużą skalę z państwami NATO” (Instytut Badań nad Wojną) itp. „Jeśli doszłoby do wojny między Rosją a Sojuszem Północnoatlantyckim, to zakończyłaby się ona nieuniknioną porażką Moskwy” (Radosław Sikorski – minister spraw zagranicznych Polski).

Bardzo trudno jest określić stopień prawdopodobieństwa tych wątpliwych prognoz, jednak przyjmowane są one bezdyskusyjnie do lansowanej struktury aktualnych uzasadnień bezpieczeństwa zewnętrznego świata zachodniego i naszego kraju.

Za niemal pewnik uchodzi też i to, że broń termojądrowa ponoć służy obecnie już tylko wyłącznie jako „straszak” wojenny, a nie jako realna groźba totalnej katastrofy. Nasuwa się uprawnione pytanie, na czym opiera się to iluzyjne i nieodpowiedzialne, można też powiedzieć lekko-myślne przeświadczenie?

Symptomatyczną i wprowadzającą w uzasadnione zdumienie cechą omawianej tu ideologii wojennej jest prawie zupełna rezygnacja z obec-

ności w niej takich ważnych i w gruncie rzeczy nie do pominięcia pojęć jak „pokój”, „negocjacje pokojowe”, „kompromis”, „porozumienie”, „zrozumienie »racji« przeciwnika”, „odpowiedzialność” itp. A w konsekwencji zupełne zignorowanie, szydercze ośmieszanie, a nawet oskarżanie o brak patriotyzmu i narażanie państw na niebezpieczeństwo, pacyfizmu, jako bardzo istotnej i – wbrew szerszym opiniom – w pełni uprawnionej alternatywy dla każdego praktykowania wojny, nie mówiąc już o jego prawdziwie proludzkim i prożyciowym obliczu. Jakże odosobniony jest w dzisiejszym świecie papież Franciszek, kiedy w związku z konfliktem Izraela z Iranem desperacko apeluje: „Niech wszystkie kraje staną po stronie pokoju” (wypowiedź papieża Franciszka z 14.04.2024).

Chciałoby się powiedzieć, że to arcyłudzkie i arcymądre zawołanie czy tę humanistyczną prośbę należałoby uporczywie wypowiadać, nawiązując do każdej współczesnej wojny lub w sytuacji grożącej jej wywołaniem.

Na obrzeżach psychozy wojennej

Z tą pokrętną, a po części też i zafalszowaną ideologią wojenną łączy się, jako jej intencjonalnie zamierzony bądź też kształtujący się żywiołowo w „czasie przedwojennym” skutek w postaci swoistej zmiany w sferze mentalnej i zachowaniowej niektórych środowisk społecznych oraz czołowych postaci „świata politycznego” – z obydwu stron „frontu wojennego”. Chodzi m.in. o znaczny wzrost zainteresowania wojną, postaw, nastrojowości okołowojennej, pojawianie się wyraźnych zaczątków pewnej psychozy wojennej. Można przypuszczać, że wadliwości ideologii wojennej oraz psychologiczne mechanizmy owej psychozy niekorzystnie wpływają na postawy i decyzje rządzących w naszym kręgu geopolitycznym elit politycznych. Na przykład, że znacząco wpływają one na nazbyt „rozgorączkowane”, nieadekwatne do realnego zagrożenia starania o zabezpieczenie się przed atakiem wojennym wyolbrzymionego w swej agresywności wroga (głównie z Rosji i Chin) – np. premier Wielkiej Brytanii Rishi Sunak niedawno oświadczył (23.04.2024), że „przestawimy przemysł obronny na stan wojenny”, a prezydent Stanów Zjednoczonych, Joe Biden, w pełnym przekonaniu swej racji podpisał olbrzymią, bijącą rekordy wielkości, „pomoc finansową” dla Ukrainy w wysokości ponad 60 mld dolarów! (20.04.2024), a nazajutrz po podpisaniu tego „wojennego daru” dowiadujemy się, że naziemne i powietrzne transporty z najnowocześniejszą bronią i amunicją w jego kraju zakupioną z tego „daru” masowo zdążają w stronę swego przeznaczenia. Przy czym pomoc ta, jak i wiele do niej podobnych, jest tak biznesowo skalkulowana, że walnie przyczynia się do rozwoju gospodarczego i nadzwyczajnych zysków finansowych „darczyńcy” (Jakub Dymek: *Do kogo naprawdę trafiają środki na pomoc Ukrainie*, „Przegląd”, 29.04–5.05.2024). Prezydent ochoczo podpisał przekaz tej ogromnej kwoty militarne go wsparcia dla Ukrainy, mimo że jest rzeczą niemal pewną, iż bezprecedensowo obficie wspierana wojna prawdopodobnie nie zakończy się zgodnie z oczekiwaniem i żadnej ze stron tego bezsensownego i krwawego konfliktu wojennego. Takie czy inne zaś wspieranie jej prowadzi tylko do absurdałnego przedłużania ogromu ludzkich cierpień, masowego uśmiercania i kaleczenia żołnierzy i cywilów, niepowetowanej dewastacji i niszczenia wielkiego i pięknego kraju. Chciałoby się tu jeszcze dodać globalne spojrzenie na ten „dar” wybitnego ekonomisty:

„Gdyby tylko połowę tych środków – czytamy – trafnie zaadresować na walkę ze skrajną biedą, w której wciąż żyje aż 630 mln ludzi – co 13 z nas! – to można byłoby ją prawie wyeliminować” (G. W. Kołodko). Podobnych decyzji i działań innych krajów z zakresu „wojennego animuszu”, czy „militarnej szczodrości” nie trzeba tu przytaczać, bo są one dobrze znane z medialnego przekazu. Wystarczy może tylko przypomnieć „gorączkowe” starania naszego prezydenta o podwyższenie w krajach UE budżetów zbrojeniowych do 3, a może i 4 procent budżetów narodowych i o rozmieszczenie broni jądrowej na terytorium naszego kraju.

To pewne „zachłyśnięcie się” czy nawet swoiste „opętanie” mirażem wojny przez czołowych polityków obecnego „czasu przedwojennego” wymagałoby odrębnego omówienia. Tu zaś zaznaczmy tylko, z nieukrywana ulgą to, że w szerszych środowiskach społecznych i w kręgach zwykłych ludzi na ogół – na szczęście – nie występuje większe „podniecenie” czy to nadzwyczajne „poruszenie” wojenne, ale że, niestety, daje o sobie znać naturalny w takich okolicznościach pewien lęk przed wojną, lęk o siebie i bliskich, lęk o własną i najbliższych przyszłość oraz naturalne pragnienie pokoju i spokoju.

Paradoksalna i niebezpieczna perspektywa technologicznego rozwoju wojen współczesnych

Mówimy tu o wojnach szybko zmieniających się zarówno w sposobie, „sztuce” ich prowadzenia, jak i – w szczególności – w technologii wojennej oraz „mocy śmiertelności” i niszczyielskiej. Zmiana ta – jak niemal wszystkie inne zmiany współczesnej cywilizacji¹ – podlega stałemu przyspieszeniu, prowadzącemu do ekstremalnych i nieoczekiwanych rozwiązań i coraz bardziej paradoksalnych skutków. Skutków sprawiających, że wojny współczesne stają się coraz wyraźniej wojnami bezsensownymi i antyludzkimi; wojnami niemożliwymi do jakiegokolwiek racjonalnego i moralnego uzasadnienia (traci m.in. na swym znaczeniu ważny i do niedawna dość powszechnie uznawany podział wojen na „sprawiedliwe” i „niesprawiedliwe”). Chodzi tu przede wszystkim o to, że dzięki nadzwyczajnie przyspieszonemu rozwojowi technologii wojennej śmiertelność i niszczyielska „moc przerobowa” wojny współczesnej sięgają zacyfrowanych szczytów i nie ma żadnej pewności, że nie „rozleje się” ona w wojnę totalną i termojądrową (mimo dziwnie nierozumnemu i krótkowzrocznemu, można nawet powiedzieć – naiwnemu i życzeniowemu, przesądzeniu wielu współczesnych czołowych decydentów politycznych, w tym przedstawicieli polskiego życia politycznego, że taka możliwość ponoć nie wchodzi w rachubę, że ktoś tylko nas tu „straszy”. Otóż wbrew tym płytkim i nieodpowiedzialnym, ale medialnie z powodzeniem rozpowszechnianym zapatrywaniom współczesnych „rycerzy wojowania”, w resztkach trzeźwości myślenia i wyobraźni przyjąć należy, że mamy tu, niestety, do czynienia z realną możliwością, potwierdzającą nie tylko tradycyjny paradoks wojny – że nie ma w niej zwycięzców, że „każdy jest w niej przegrany”, ale ukazującą, można tak powiedzieć, ostateczny

¹ Jan Szymd: *Przekroje cywilizacyjnych przemian współczesnego świata i człowieka. Epokowa transformacja wszystkiego – szansa i zagrożenie*, 2023.

paradoks wojny, tzn. totalne unicestwienie zarówno tych, którzy prowadzą wojnę napastniczą („niesprawiedliwą”), jak i tych, którzy zmuszeni zostali do wojny obronnej („sprawiedliwej”).

W ramach tego dziejowego wojennego paradoksu stracić mogą swój dotychczasowy sens niemal wszystkie zjawiska powiązane integralnie dotąd z wojną, w tym dobrodziejstwo pokoju i bezpieczeństwa. Możliwe jest, niestety, stwierdzenie, że na obecnym etapie rozwoju naukowo-technicznego i cywilizacyjnego ludzkości wojna nie może już być stawiana w historycznej jedności z pokojem. Nie może być tak sytuowana dlatego, że z zakresu pojęcia współczesnej wojny nie da się wyłączyć koncepcji wojny termojądrowej. Ta zaś wojna ma fundamentalne znaczenie z punktu widzenia życia i śmierci nie tylko poszczególnych ludzi, określonych zbiorowości ludzkich, klas, warstw i narodów, ale, być może, całej ludzkości, a w każdym razie znacznej jej części. Po takiej wojnie czas pokoju oznaczać może już tylko czas postludzki i postkulturowy, a może nawet postzyciowy – czas wyzbyty antropologicznego i witalnego odniesienia, czyli niedający się zestawić z jakąkolwiek ludzką rzeczywistością, że możliwa nowoczesna wojna totalna (czytaj – termonuklearna) przestaje być jakąkolwiek alternatywą dla pokoju i dla rozwoju ludzkości, że w erze rewolucji naukowo-technicznej i sztucznej inteligencji możliwe jest i jedynie racjonalne z punktu widzenia podstawowego, tzn. bytowo-egzystencjalnego i rozwojowego interesu ludzkości planowanie i organizowanie świata bez wojen i bez konfliktów zbrojnych na szerszą skalę.

W podobnie absurdalnej i tragicznej perspektywie można by rozpatrywać kwestię bezpieczeństwa ludzkiego. W wyniku ewentualnego ciągle realnego kataklizmu termojądrowego owo bezpieczeństwo ze sfery priorytetowych starań i zabezpieczeń oraz z wysokiego szczebla najwyższych wartości takich jak życie, zdrowie, wolność, godność itp. spaść może na poziom dziejowo bezwartościowego stanu rzeczy.

Nie bez kozery nasuwa się więc tu może krytycznie przesadne, ale bardzo aktualne stwierdzenie, że funkcjonowanie człowieka w ramach cywilizacji pierwszej połowy obecnego stulecia obnaża znaczną niedojrzałość intelektualną i moralną *homo sapiens*. Niedojrzałość ta przejawia się przede wszystkim w tym, że nie może on – przynajmniej jak dotąd – rozwiązać podstawowych sprzeczności, w które się uwikłał w systemach własnego bytowania zbiorowego. Chodzi przede wszystkim o sprzeczność między tym, czym człowiek mógłby i powinien być a tym, czym jest w rzeczywistości; między dużymi osiągnięciami cywilizacyjnymi a racjonalnym kształtowaniem własnego losu i własnej historii oraz sprawowaniem skutecznej kontroli nad procesami społecznymi i politycznymi. Wśród szczególnie ważnych obecnie sprzeczności *homo sapiens* znajduje się sprzeczność między wiedzą teoretyczną i empiryczną (*scientiā*) a głębiej pojętą wiedzą życiową i praktyczną (*sapientiā*), innymi słowy – między nauką a mądrością. Tej pierwszej mamy – jako ludzkość – imponująco wiele, tej drugiej – żenująco mało. Dramatycznym poświadczeniem tego stanu rzeczy jest m.in. to, że nie potrafimy kształtować swych dziejów bez nieustającego pasma wojen i konfliktów, opartych na prymitywnych koncepcjach „myśliwych”, na niskich emocjach i instynktach, czy źle pojętych interesach politycznych i biznesowych. „Zadufani w sobie – pisze jeden ze współczesnych polskich

uczonych – nazwaliśmy się gatunkiem *homo sapiens*, wciąż jeszcze nie zdając sobie sprawy, że jesteśmy dopiero *in statu nascendi* i kiedyś może w przyszłości staniemy się *sapiens*. Wpierw jednak musimy przekroczyć fazę, w której obecnie tkwimy jako ludzie okrutni – *homo crudus et crudentus*” (J. Aleksandrowicz). ■

Autor, związany z „Res Humana” od początku jej istnienia krakowski profesor, jest humanistą, filozofem, historykiem idei, psychologiem religii, pedagogiem.

Pacyfizm w literaturze pięknej



Janusz TERMIER

W trzechsetną rocznicę urodzin Immanuela Kanta (1724–1804) przypominamy esej członka redakcji „Res Humana” i naszego głównego krytyka literackiego, pierwotnie opublikowany na łamach e-Dwutygodnika Literacko-Artystycznego *Pisarze.pl* w 2014 roku. Odnosi się on głównie do powieści Józefa Wittlina *Sól ziemi, korzeniami sięga* jednak do myśli wielkiego filozofa z Królewca.

Poglądy i idee, ruchy społeczno-polityczne, określane mianem pacyfizmu, wyrażające pradawne marzenia ludzkości o pokoju, częstokroć radykalnie potępiające wszelkie wojny, bez różnicowania ich charakteru czy przyczyn, pojawiły się – na większą skalę – dopiero pod koniec XIX wieku. Jakby w przeczuciu tego, co ma dopiero nadejść – w przeddzień największej dotąd wojennej hekatombi, jaką stały się wydarzenia sprzed stu lat związane z historią Wielkiej Wojny, 1914–1918, nazwanej potem I wojną światową.

Wiadomo jednak, że idee pacyfistyczne wcale nie były wynalazkiem tych czasów i że „nie spadły z nieba” – jak pisał Antonio Gramsci. Głosili je już bowiem filozofowie, myśliciele społeczni i pisarze najdawniejszych epok historycznych; były one ważnymi elementami wielu doktryn społecznych oraz religijnych jak np. w buddyzmie, konfucjanizmie, chrześcijaństwie (wczesnym zwłaszcza, wracali do nich potem m.in. bracia polscy, arianie). Bywały twórczym i kanwą wielu utworów literackich wszelkich rodzajów i gatunków wszystkich czasów, począwszy od starożytnych komediowych ujęć: Arystofanesa – *Lizystrata*, Plauta – *Żołnierz samochwał* aż po czasy współczesne z nieśmiertelnym *Szwejk*iem Jarosława Haszka na czele, *Matką Courage* Bertolda Brechta, *Solą ziemi* Józefa Wittlina czy *Paragrafem 22* Josepha Hellera...

Nasilenie tendencji pacyfistycznych i powstawanie pierwszych organizacji pacyfistycznych obserwujemy właśnie w Europie już na początku XIX wieku, co wiązać można chyba zarówno z realiami i doświadczeniami ówczesnego życia milionów ludzi wciągniętych w orbitę wojen napoleońskich, jak i powstaniem inspirującego – zarówno praktyków społecznych, jak i teoretyków – kantowskiego dzieła poświęconego

uzasadnieniu poglądu (idei), „projektu” mówiącego o realnej i praktycznej możliwości oraz wielkiej potrzebie dążenia do osiągnięcia przez ludzkość, racjonalnie uzasadnianej przez niego potrzeby „wiecznego pokoju”... Wydaje się, że wpływ owej kantowskiej myśli jest znacznie głębszy i poważniejszy, niż mogłoby to wynikać z prostych konstatacji o elitarności kantowskiej filozofii, niewielkich nakładach i zasięgu odbioru jego dzieł, rzeczywistość ogromnych barier i trudności ich rozumienia przez czytelników. Ale wpływ ten jest niezaprzeczalny. Tu wystarczy musi tak naprawdę intuicyjne przekonanie (w bergsonowskim rozumieniu), chociaż oparte także na pewnych, może nawet i nielicznych, świadectwach o znaczącym wpływie tej idei kantowskiej na rzeczywistość społeczną i kulturą Europę.

Oto bowiem pewne poglądy, myśli, czy idee krążą w obiegu społecznym, żyją i oddziałują nawet wówczas, gdy funkcjonują w szerszym odbiorze tylko jako hasła, jako wręcz częstokroć anonimowe, „mityczne”, jak mówi Claude Levi-Strauss, mające jeden tylko sens, na który składają się wszystkie jego wersje – nie muszą być łączone z nazwiskiem konkretnego twórcy autora – znaki symbolizujące pewne istotne dla epoki i jej „ducha” rzeczywistości potrzeby ludzkie; najczęściej te ogólne, uniwersalne, o charakterze ponadczasowym, ponadnarodowym, ponadklasowym... Tutaj mamy do czynienia z tego typu zjawiskiem oddziaływania pewnej wielkiej idei, która „sama przez się”, bez potrzeby uzasadnień szczegółowych, staje się w określonych okolicznościach czasu i miejsca czymś w rodzaju „powszechnika” – idei ważnej i pożądanej. Dzieje się tak zazwyczaj wtedy, gdy owa idea (mit) trafia na podatny grunt, na społeczne i historyczne podglebie – zdolne tchnąć w nią życie, wyhodować i wydać owoce...

Czyż w czasie obejmujących ówczesną Europę wojen napoleońskich, a potem wydarzeń I wojny światowej, nie były one tym podglebieniem, na którym – jak i potem po jeszcze okrutniejszych doświadczeniach II wojny światowej – nie tylko mogły, ale i musiały wyrastać i zdobywać wielki odzew idee antywojenne, zwłaszcza iż wcześniej znalazły swego wybitnego teoretyka – formułowane i głoszone przez tak cenionego filozofa z Królewca jak Immanuel Kant? Czyż literatura piękna mogła pozostać obojętna na to sprzężenie społecznej świadomości idei „wiecznego pokoju” oraz tragicznych i traumatycznych doświadczeń czasów wojennych przeżyć, jakie stały się udziałem milionów ludzi na całym świecie? Pytanie retoryczne. Oto znamienity przykład. Pisarz polski, Józef Wittlin, pisze wprost w jednym ze swoich esejów z lat 20. XX wieku *Wojna, pokój i dusza poety* (wydanie Zamocść, 1925): „Niegdyś wielki Kant opracował już ściśły, prawniczy plan urządzenia świata na zasadzie wiecznego pokoju. Przekonywał, że zwycięstwo, odniesione na wojnie, nie jest dowodem tego, że słuszna sprawa wygrała. Jest co najwyżej świadectwem fizycznej przewagi i talentów strategicznych. Czas skończyć z uwielbieniem munduru. Ustanowiony został trybunał przy Lidze Narodów do rozstrzygnięcia sporów między poszczególnymi państwami. Może niedługo cały świat wróci do cywila i na całej kuli ziemskiej nie będzie już ani jednego żołnierza. Ale póki choć jedno państwo posiadać będzie składy amunicji, tak długo istnieje konieczność zbrojenia się wszystkich jego sąsiadów”.

I nie jest najważniejsze, czy pisarze europejscy – poddani przecież tym wszystkim wspólnym doświadczeniom historycznym, inspirowali się bar-

dziej pokojowymi ideami powstającymi pod wpływem myślicieli i publicystów czy też bardziej traumatycznymi wydarzeniami zewnętrznymi. Literatura o charakterze pacyfistycznym stawała się faktem coraz bardziej znaczącym. Także w polskiej literaturze całego XX wieku – w prozie (np. trylogia *Żółty krzyż* Andrzeja Struga czy *W polu* Stanisława Rembeka), ale i w poezji (np. słynny wiersz Juliana Tuwima *Do prostego człowieka* czy poemat Tadeusza Różewicza *Dezerterzy*) czy dramaturgii (tenże Różewicz sztuka *Do piachu*) – staje się jednym z najważniejszych nurtów....

Pośród pisarzy, których warto przywrócić dzisiejszej świadomości kulturowo-literackiej znajduje się Józef Wittlin¹, przede wszystkim jego *Sól ziemi*. Ta powieść bliska była – w swej ogólnej wymowie pacyfistycznej – europejskiej literaturze lat 20. i 30. (m.in. głośne powieści: Jarosława Haszka, Henri Barbusse'a (*Ogień*) czy Ericha Marii Remarque'a (*Na zachodzie bez zmian*) oraz niektórym dziełom ekspresjonizmu niemieckiego (jak np. słynna powieść Alfreda Döblina *Berlin Alexanderplatz*, 1929, I wyd. pol. 1959, niestracąca po dziś dzień na popularności, a nawet adaptowana na sceny teatralne, ostatnio w 2017 r. przez warszawski Teatr Studio). Sam autor *Soli ziemi*, odnosząc się do tego rozległego i złożonego zjawiska wzajemnych wpływów literackich, jak i wielości postaw pisarskich wobec wojny, pisał w przywoływanym wyżej eseju, że były wówczas, czyli na początku XX wieku w Europie, dwie główne i znaczące kategorie literatów: uczestnicy wydarzeń wojennych i ci, którzy „uczestniczyli w charakterze uprzywilejowanych sprawozdawców”, ale wśród jednych i drugich widzi zarówno wrogów, jak i sympatyków wojny, choć jak dodaje „sympatycy... byli w większości”!

„Wszyscy mieli – pisał Wittlin – niewątpliwie swoje drobne sankcje i usprawiedliwienia swych wystąpień, toteż, wychodząc z idei pacyfistycznej, nie będziemy poddawali w wątpliwość szczerości Émila Verhaerena, Maurice'a Maeterlincka, Maurice'a Barresa, Gerarda Hauptmanna, Ryszarda Dehmela, Tomasza Manna, Gabriela d'Annunzia, Filippo Tommaso Marinettiego – jako zwolenników: Romaina Rollanda, Anatola France'a, G. H. Wellsa, Georga Bernarda Shawa, oraz żołnierzy: Henri Barbusse'a, Georga Duhamela, Leonarda Franka, Andrzeja Latzki i innych mniej wymownych. Oczywiście, że podczas wojny, poeci występujący przeciw niej, byli bardziej samotni niż panegiryczni jej piewcy. Ci ostatni przeważnie folgowali swym uczuciom patriotycznym, które w owych czasach domagały się wyrazu namiętnej nienawiści wroga. Tak pojmowanemu uczuciu miłości ojczyzny sumienny trybut spłacili Niemcy: Ryszard Dehmel i Gerard Hauptmann. Nie cofnęli się oni przed najbardziej brutalnymi sposobami poetyckiego lżenia przeciwników...”

Józef Wittlin jako gorący zwolennik rodzących się po I wojnie światowej tendencji pacyfistycznych – jako teoretyk i myśliciel czerpiący z do-

¹ Józef Wittlin (1896–1976), studiował w Wiedniu. Debiutował na łamach „Wici” w 1912 roku. Związany z ekspresjonistami ze „Zdroju”, potem skamandrytami. 1935 – nagroda Pen-Clubu za przekład *Odysei*, 1936 – nagroda „Wiadomości Literackich” za *Sól ziemi*, 1937 – złoty Wawrzyn PAL. W czasie II wojny z Francji przez Portugalię trafił do USA; dał przejmującą analizę statusu pisarza emigracyjnego, *Blaski i nędze wygnania*. Przekłady m.in. *Gilgamesza*, prozy J. Rotha, poezji R. M. Rilkego), wspomnienia: *Mój Łwów*, Nowy Jork, 1946, *Orfeusz w piekle XX wieku* 1963.

świadczeń historycznych ludzkości (wszak był tłumaczem wielkich „mito-peicznych” – jak nazywał je angielski poeta i krytyk Wystan Hugh Auden), eposów literackich starożytności – *Gilgamesza* i *Odysei*, gdzie sprawy wojny i pokoju zajmują przecież niebagatelne miejsce) – był zarazem wielkim sceptykiem w kwestii całkowitego rozwiązania tych od zawsze gnębiących człowieka problemów. Pisał wszak w cytowanym szkicu z wielkim przekąsem, niemal satyrycznym dystansem i bolesną, dla siebie i dla ówczesnych i dzisiejszych czytelników jego utworu ironią: „Cała nasza cywilizacja jest nam pomocna w tym, aby nas między sobą poróżnić. Bywały więc wojny między białymi a czarnymi, bywały wojny różnych wyznań, różnych narodów, języków i metod rządzenia. Żadna jednak z tych różnic nie jest tak mocna, iżby wytrzymywała krytykę choćby zdrowego rozsądku. Prawdopodobnie kiedyś, w przyszłości, kiedy wyczerpią się aktualne dziś motywy wojen narodowościowych, handlowych i rewolucji klasowych, świat przeżyje jeszcze wojny ludzi łysych z owłosionymi, blondynów z brunetami. Potem znów bruneci i blondyni zawrą przymierze, aby społeczeństwem rzucić się na rudych. Chyba że spełnią się marzenia pacyfistów i ogólne rozbrojenie moralne oraz Stany Zjednoczone całego świata raz na zawsze zniosą wszelkie wojny. Wszystkie powody wojen są na ogół mniej lub więcej popularnym, przez dany okres cywilizacji gruntownie przygotowanym pozorem do wykonania czegoś, co się usuwa spod doświadczalnej kontroli naszej świadomości. Śmierć człowieka, zadana przez człowieka, będzie wieczną zagadką i tragicznym węzłem; którego najodważniejsza myśl nie rozplącze bez trudu”.

Więcej optymizmu, choć podszytego sceptycyzmem, odnaleźć można w powieści *Sól ziemi*. Pisana była jako pierwsza część zamierzonego obszerniejszego cyklu *Powieść o cierpliwym piechurze* (rękopis tomu 2, *Zdrowa śmierć*, zaginęła w czasie wojny podczas pobytu w Portugalii, ocalał tylko fragment tomu 3 *Dziura w niebie*). Powieść powstawała od 1925 roku (Prolog), a ukończona i wydana została w 1935, czyli w okresie, jak pisze sam autor w postscriptum do utworu, „kiedy jeszcze wielu ludzi w Europie chciało wierzyć, że wojny na skalę światową, takie jak miniona, należą do przeszłości i nigdy się nie powtórzą”. Bohater *Soli ziemi*, Piotr Niewiadomski, w ciągu czterech pierwszych tygodni wojny przeżywa groźbę rozpadu całego swojego małego huculskiego świata. Jego losy ukazuje pisarz w groteskowym świetle początku końca istnienia i – podobnie jak potem Andrzej Kuśniewicz w powieści *Lekcja martwego języka* (także film Janusza Majewskiego na niej oparty) czy Julian Strykowski w *Austerii* (film Jerzego Kawalerowicza) – rozpadu pewnej potężnej formacji politycznej i kulturowej, jaką była wielonarodowa monarchia austriacko-węgierska. Piotr Niewiadomski, syn Polaka i Ukrainki, prosty hucuł analfabeta, jest jak wielu ludzi w Europie ofiarą tych procesów i wojny: jak większość poddanych wypełnia tylko swój niechciany obowiązek, biernie poddaje się nakazom władz...

Taki jest punkt wyjścia utworu napisanego z myślą o uwydatnieniu całego bezsensu, okrucieństwa i potęgi wojny, którą pisarz zwalcza i wyśmiewa z gorliwością urodzonego pacyfisty. „Trudno dziś zrozumieć – pisał po latach – w imię czego żołnierze armii, w której służyłem, zwłaszcza żołnierze narodowości słowiańskich, zabijali i dawali się zabijać. Działał tu ów irracjonalny mechanizm, który starałem się pokazać w *Soli ziemi*. Myślę, że po trzydziestu pięciu latach mogę już obiektywnie o tym mówić. Wszystkie postaci tej

książki, poza historycznymi, są całkowicie zmyślone, jakkolwiek w niektórych skupiły się charakterystyczne cechy osób, z jakimi zetknąłem się w czasie mej wojskowej służby. Piotr Niewiadomski jest produktem synkretyzmu, ludzi mniej lub więcej do niego podobnych spotykałem często w formacjach pospolitego ruszenia cesarsko-królewskiej armii (...). Drugą najważniejszą osobą jest feldfelbel sztabowy Bachmatiuk. Utwór powstał w latach trzydziestych i był dla mnie prefiguracją owych fanatyków, którzy później, w imię przeróżnych ideologii, z czystym sumieniem niszczyli ciała i dusze milionów ludzi. Wagon kolejowy z VII rozdziału może być uważany za nasienie, z którego wyrosły i rozmnożyły się w latach II wojny światowej owe koszmarnie, zaplombowane wagony, gdzie dusili się wiezieni na zagładę niewinni ludzie, nie żołnierze, lecz cywile: starcy, kobiety i dzieci”.

Utwór Wittlina złożony z dziesięciu rozdziałów sprozaizowanych „pieśni” jest bardzo skomplikowany znaczeniowo, wielowarstwowy formalnie, ma też wiele rozmaitych odniesień literackich (m.in. do dzieła Homera i Biblii), odwołań kulturowo-historycznych, traktowanych przez tego pisarza często z dystansem i ironią. Czyni to z *Soli ziemi* nowoczesny utwór o charakterze ponadczasowego, metaforycznego dramatu egzystencjalnego. Nowoczesny także w samych opisach psychologicznych głębi rozterek, perypetii życiowych, przeżyć tu i teraz bohatera, zde-rzanych z niemal dokumentalnie oddawanymi realiami naddciągającej wojennej Apokalipsy; realistycznymi i symbolicznymi zarazem. Ludwik Fredy, krytyk literacki z międzywojnia, ujął to w sposób zwięzły i trafny; dojrzał bowiem w prozie Józefa Wittlina, jako przewodnią jej ideę „pokonanie upiora wojny, przewyciężenie rzeczywistości przez artystę. Dzięki stylizacji literackiej osiągnął autor zamierzony cel: skompromitował zniechwaloną rzeczywistość wojenną przed trybunałem sztuki”.

Owe „przygody” życiowe huculskiego prostaczka Piotra Niewiadomskiego mają bowiem przez te literackie zabiegi swój głębszy wymiar symboliczny, bo chociaż horyzont jego świadomości, wiedzy o świecie i ludziach jest ograniczony do perspektywy właściwej jego pochodzeniu, jest tu reprezentantem tych, o których mówi tytuł utworu. Sól w tradycji europejskiej kultury jest tym symbolicznym minerałem, który chroni i przechowuje to, co dobre, odrzuca, co zepsute. To Piotr jest ową „solą ziemi”, gdyż przechowuje się dzięki takim jak on podstawowa zasada ludzkiej wspólnoty: wzajemność zobowiązań między ludźmi, a po katastrofie tylko na tym fundamencie – wedle Wittlina – da się odbudować ludzką cywilizację, bo jak wprost wyraża to w Małym komentarzu do *Soli ziemi*, potrzeba zwyczajnej i codziennej egzystencjalnej stabilności jest dla człowieka niezbywalną wartością. Bohater *Soli ziemi*, patrzący na wojnę ze swojego punktu widzenia, bezwiednie ją przecież osądza, ironicznie demaskując kłamstwa języka wojny (ów wielki rozdźwięk między świętym słowem a niską rzeczą), demitologizuje jej kłamstwa tworzone na użytek „maluczkich”. W ten sposób autor stwarza literacką formę pojemną i zdolną dla wyrażenia własnego mitu: „Co do mnie – nie pogodzę się z żadną cywilizacją, opierającą swe istnienie na trupach (...) O nich to, o wnukach i prawnukach myślałem przede wszystkim, pisząc moją Powieść o cierpliwym piechurze (stąd jej legendarny miejscami styl)”.

Józef Wittlin, wyrafinowany intelektualista i poeta, odnalazł w swym huculskim prostaczku te pokłady mądrości, wiedzy i „prostego” szczęścia, dzięki którym świat, mimo iż poddany niedługo potem jeszcze większemu szaleństwu totalnej II wojny światowej, ostatecznie „nie wypadł z ram”. Ewa Wiegandt, autorka krytycznego wydania *Soli ziemi* w serii Biblioteki Narodowej, pisze, że twórczość Wittlina „zmierzała do poznania przez sztukę. Wszelkie ucieczki poza literaturę były jej z gruntu obce. Dzięki temu jego powieść o wojnie znaczy daleko więcej, niż to zapowiada temat. Sugeruje, poprzez użycie analizowanych tutaj środków artystycznych, sensy o zasięgu uniwersalnym”.

Powieść zrobiła prawdziwą międzynarodową karierę, była od razu tłumaczona na kilkanaście języków: niemiecki (z przedmową Józefa Rotha, autora słynnego *Marszu Radetzkiego*), duński, czeski, rosyjski, angielski (dwukrotnie), francuski, włoski, szwedzki i węgierski, chorwacki, hebrajski, hiszpański, a na przełomie lat 60. i 70. ponownie w Niemczech i Austrii, a autor został wybrany członkiem korespondentem Niemieckiej Akademii Poezji i Języków w Darmstadtzie. ■

U progu gwiazdnych wojen



Adam Paweł OLECHOWSKI

Kosmos fascynował ludzi niemalże od zarania dziejów. Fascynacja ta znalazła swój wyraz w mitach, legendach, baśniach i poematach. Częstym motywem tych opowieści były odbywane przez bogów, herosów, a nawet zwykłych ludzi wyprawy kosmiczne. Fantazja twórców wspomnianych utworów nie ograniczała się tylko do zwykłych podróży międzyplanetarnych. Przestrzeń kosmiczną uczynili oni bowiem także areną toczonych między bogami walk. Przykładem może być chociażby staroindyjski epos *Mahabharata*, w którym toczona z użyciem kosmicznych machin wojennych – wimanów – wojna kończy się zagładą starożytnej cywilizacji.

Na realizację swoich marzeń o kosmicznych podróżach ludzkość musiała jednak poczekać praktycznie do lat 50. XX stulecia, kiedy to w przestrzeni okołoziemskiej pojawiły się pierwsze stworzone ręką człowieka obiekty¹. Choć rozpoczęty wówczas wyścig kosmiczny pomiędzy USA i ZSRR miał oficjalnie naukowy charakter, to jednak nawet niewtajemniczeni mogli dostrzec, iż tak naprawdę chodzi o rozwój techniki wojskowej, m.in. związanej z budową międzykontynentalnych rakiet balistycznych.

Plany na militarne wykorzystanie przestrzeni kosmicznej pojawiły się jednak jeszcze przed rozpoczęciem kosmicznej rywalizacji wielkich mocarstw. Już w 1954 roku, czyli jeszcze przed wystrzeleniem przez ZSRR

¹ Pierwszy skonstruowany przez człowieka obiekt został wystrzelony w bliską przestrzeń okołoziemską już w roku 1944. Była to niemiecka rakietka MW 18014 typu A4 (V-2).

pierwszego sztucznego satelity Ziemi *Sputnik-1*, narodził się w głowach amerykańskich strategów pomysł wykorzystania przestrzeni kosmicznej dla celów szpiegowskich. Rozpoczęte zostały wówczas prace nad opatrzonym kryptonimem „Feed Back” programem budowy satelitów rozpoznania fotograficznego. Cztery lata później, w lutym 1958 roku, prezydent USA Dwight D. Eisenhower zatwierdził program budowy satelitów szpiegowskich CORONA. Wynikiem programu było pojawienie się w przestrzeni kosmicznej pierwszego, testowego satelity szpiegowskiego KH-1². Niedługo po nim, bo już w 1962 roku, w kosmosie pojawiły się także radzieckie satelity rozpoznania fotograficznego Zenit. Dziś oprócz Rosji i USA swoje satelity szpiegowskie posiada kilkanaście państw, wśród których są nie tylko takie mocarstwa jak Chiny, Indie czy Wielka Brytania, lecz również mniejsze państwa, m.in. Iran, Izrael oraz Korea Północna. Satelitami rozpoznania optycznego dysponują także podmioty pozapaństwowe. Przykładem może być amerykańska firma Maxar Technologie Inc., która świadczyła usługi z zakresu optycznej obserwacji Ziemi. W 2022 roku firma ta opublikowała zdjęcia rosyjskich kolumn wojsk w Ukrainie.

Nie trzeba dodawać, iż współcześni „kosmiczni szpiegzy” znacznie różnią się swoimi parametrami i umiejętnościami od poprzedników z serii KH i Zenit. Poszerzeniu uległ także zakres stojących przed nimi zadań. Oprócz „klasycznego” rozpoznania optycznego zajmują się one także rozpoznaniem radioelektronicznym i teletetrycznym oraz, w ramach wczesnego ostrzegania, wykrywaniem startu rakiet balistycznych.

Należące do poszczególnych państw oraz innych ponad- i pozapaństwowych podmiotów floty wojskowych satelitów nie składają się rzecz jasna wyłącznie ze sputników rozpoznawczych. Sporą ich część stanowią m.in. satelity nawigacyjne. Pierwsze tego typu satelity zaczęły pracować dla potrzeb amerykańskiej marynarki wojennej już w 1964 roku (system NAVSAT). Dziś systemami nawigacji satelitarnej dysponują nie tylko USA (GPS), lecz również Rosja (GLONASS), Chiny (BeiDou), Indie (IRNSS), Japonia (QZSS), Francja (DORIS) i Unia Europejska (Galileo). Wymienione systemy wykorzystywane są zarówno do celów wojskowych, jak i komercyjnych.

Kolejną grupę satelitów podwójnego, wojskowo-cywilnego zastosowania stanowią satelity telekomunikacyjne. Nowe, hybrydowe formy prowadzenia wojny, w szczególności działania w przestrzeni informacyjnej, sprawiają, iż w przypadku satelitów telekomunikacyjnych dominować zaczyna ich szeroko rozumiane militarne zastosowanie. Tyczy to nie tylko satelitów używanych przez podmioty państwowe, lecz również tych znajdujących się w prywatnym posiadaniu. Przykładem może być chociażby wykorzystanie podczas wojny w Ukrainie należącego do amerykańskiej prywatnej firmy SpaceX satelitarnego systemu telekomunikacyjnego Starlink. Ukraińskie Siły Zbrojne wykorzystują satelity Starlink m.in. do sterowania i łączności z atakującymi wojska rosyjskie dronami. Paradoksem może być fakt, że dzięki zdobytym terminalom ze wspomagającego Ukraińców systemu korzystają także Rosjanie.

² Skrót KH pochodzi od słowa *Keyhole* – dziurka od klucza.

Planujący działania wojenne w przestrzeni kosmicznej stratedzy znaleźli bojowe zastosowanie dla wykorzystywanych w stricte naukowych celach mikro-, nano- i pikosatelitów. Te wykorzystywane do pomiaru wiatru słonecznego i testowania nowych technologii (żagli słonecznych) satelitarne drobnoustroje mogłyby posłużyć do... niszczenia swoich większych kolegów. Rozpędzone do dużych prędkości, wprowadzone na orbitę „dużego” satelity rozpoznawczego, nawigacyjnego lub telekomunikacyjnego mogą one w razie kolizji doprowadzić do jego poważnego uszkodzenia i wyłączenia z eksploatacji. Innym militarnym zastosowaniem satelitarnej drobnyki byłaby pomoc w cybernetycznym przejmowaniu i przeprogramowywaniu satelitów przeciwnika.

Likwidacji satelitów przeciwnika służą nie tylko inne satelity. Zneutralizować je bowiem można także, trafiając pociskiem raketowym, za pomocą zakłóceń radioelektronicznych, a także laserowo i cybernetycznie. Zaskoczeniem nie będzie zapewne fakt, iż pomysły na zwalczanie wrogich satelitów pojawiły się zarówno w USA, jak i ZSRR już w latach 50. XX wieku. Początkowo planowano użyć do tego celu wystrzeliwanych z Ziemi pocisków raketowych. Z czasem pojawiły się bardziej oryginalne pomysły, takie jak np. niszczenie satelitów za pomocą wywołanego atomowym wybuchem impulsu elektromagnetycznego oraz przy użyciu laserów. Obecnie sprawnymi raketowymi systemami antysatelitarnymi dysponują Chiny, Indie, Rosja i USA. Według różnych informacji zdolnymi zniszczyć satelitę raketami *Arrow (Hetz)*³ dysponuje także Izrael. Ambicje posiadania własnych systemów antysatelitarnych mają zapewne także i inne państwa. Ambicji tych nie powstrzyma przyjęta 1 listopada 2022 roku przez grupę roboczą ONZ uchwała wzywająca państwa do rezygnacji z testów raket antysatelitarnych. Uchwała ta nie jest bowiem prawnie wiążąca.

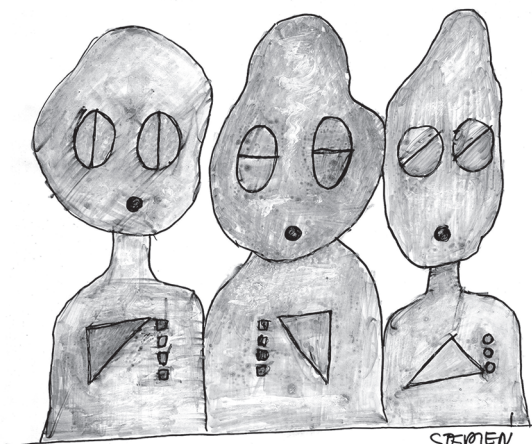
Zupełnie jak w *Gwiezdnych wojnach*, do niszczenia satelitów przeciwnika wykorzystywać można laser. Jak na razie przy pomocy laserów można jedynie oślepić wrażliwy satelitę. Takimi możliwościami dysponować mają rosyjskie naziemne systemy laserowe „Piereswiet” i „Kalina”. W planach kosmicznych wojen lasery mają jednak nie tylko oślepiać satelity przeciwnika. Ich przeznaczeniem ma być bowiem także zestrzeliwanie sputników, rakiet balistycznych i innych obiektów kosmicznych przeciwnika. Koncepcja takiego wykorzystania laserów pojawiła się już prawie 40 lat temu w opracowanym przez USA programie Strategicznej Inicjatywy Obronnej (SDI). Według pracujących nad tym programem specjalistów wykorzystywane do zwalczania rakiet balistycznych potencjalnego przeciwnika działa laserowe miały być umieszczone w przestrzeni kosmicznej. Planujący SDI zdali się zapomnieć, iż 10 października 1967 roku zarówno USA, jak i ZSRR ratyfikowały zatwierdzony jeszcze w grudniu 1966 roku przez Zgromadzenie Ogólne ONZ Traktat o Przestrzeni Kosmicznej, który zobowiązywał strony do pokojowego wykorzystania przestrzeni kosmicznej.

Zdaje się, iż o wspomnianym traktacie nie wiedzą lub nie pamiętają także współcześni stratedzy i specje od geopolityki, którzy otwarcie kreślą wizję gwiezdnych wojen XXI stulecia. Ich plany przekształcenia kosmosu w pole przyszłych bitew wynikają nie tylko z czysto ludzkiej chęci zdominowania innych ludzi, lecz mają także swoje ekonomiczne przyczyny. Przeprowadzone badania wykazały bowiem, iż w kosmosie pełno jest niezbędnych naszej

ziemskiej gospodarce pierwiastków i minerałów. Sporo z nich znajduje się, jak na warunki kosmiczne, stosunkowo blisko Ziemi, np. na Księżycu, Marsie i na krążących w naszym układzie słonecznym planetoidach. Jest więc o co się bić.

Wychodząc z założenia, iż kto przejmie kontrolę nad kosmosem, kontrolować będzie także całą Ziemię, stratedzy planują rozmieścić na okołoziemskich orbitach oraz na Księżycu systemy uzbrojenia zdolne razić nie tylko cele znajdujące się w kosmosie, lecz również na Ziemi. Co ciekawe, koncepcję takiej broni przedstawił już w latach 70. XX wieku amerykański pisarz SF Jerry Eugene Pournelle. Tajemnicą Poliszynela jest, iż koncepcja Pournelle'a znalazła swoje odbicie w przygotowanym w 2003 roku przez Siły Powietrzne USA projekcie „Thor”. Zgodnie z nim w przestrzeni kosmicznej ma zostać umieszczony specjalny satelita, który w razie potrzeby ostrzelałby wybrane cele na powierzchni Ziemi przepędzonymi do dużej prędkości, ważącymi ok. 8 ton wolframowymi prętami, tzw. „różgami Boga”.

Jak to z planami wojennymi bywa, wcześniej lub później pojawi się ktoś, kto nie zważając na międzynarodowe zobowiązania przystąpi, w imię jakiejś obłąkańczej idei lub pod pozorem obrony przed potencjalnymi wrogami, do ich realizacji. Koszty takiego przedsięwzięcia będą ogromne, znacznie przekraczające te przeznaczone na ziemskie zbrojenia. Pojawić się więc musi pytanie o sens takiej inwestycji. Pieniądze, które trzeba będzie przeznaczyć na kosmiczne zbrojenia, można przecież przeznaczyć na cele związane z pokojową eksploracją kosmosu. Pokojowa eksploracja kosmosu przyniesie nam bowiem o wiele więcej korzyści niż próby przeniesienia w przestrzeń kosmiczną naszych ziemskich sporów. Ponadto może ona stymulować procesy integracyjne tu na Ziemi. Nasze ziemskie spory, podziały i granice błędą wobec potęgi kosmosu. W szerokim kosmicznym ujęciu nie jesteśmy więc Polakami, Niemcami czy Rosjanami, lecz mieszkańcami jednej z miliardów planet, a możliwe, że jedną z wielu zamieszkujących kosmos cywilizacji. Dlatego też tylko wspólnie, we wzajemnej współpracy nas ludzi z planety Ziemia, możemy sięgnąć po jego bogactwa. Bogactwa, które powinny służyć całej ludzkości, a nie tylko wybranym. ■



Rys. Jan Stępień

UNIA EUROPEJSKA

UE i napięcia społeczne: Czy coś poszło nie tak?



Bât. ALTIERO SPINELLI 13G354
60, rue Wiertz, B-1047 Bruxelles
0032 2 28 45479

Czy Unia rozwinie się jako projekt socjalny?

Na zlecenie Włodzimierza CIMOSZEWICZA, wówczas jeszcze posła do Parlamentu Europejskiego, i na zamówienie Grupy Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów w PE redakcja „Res Humana” przygotowała i przeprowadziła konferencję pod tytułem „Unia Europejska jako wspólnota reguł społecznych i norm socjalnych” (8 maja 2024 r.). Zaproszonym prelegentom – politykowi, związkowcom i ekspertce – zadaliśmy pytanie: „Czy coś poszło nie tak?”. Poprosiliśmy ich także o refleksje na temat możliwego dalszego rozwoju Unii Europejskiej jako projektu socjalnego: zwiększania znaczenia dialogu społecznego, poprawy spójności społecznej oraz ujednoczenia jakości usług publicznych dla wszystkich obywateli UE.

Włodzimierz Cimoszewicz zwrócił uwagę na ograniczone kompetencje Unii w zakresie polityk społecznych. Powinniśmy zacząć poważnie rozmawiać o rozwijaniu jej także w tym obszarze. Dopóki będą istniały duże różnice materialne wewnątrz i między społeczeństwami, dopóty będą one wywoływać problemy w obrębie całej UE. Jak na razie na to przyzwolenia nie ma. Panuje też ogromny sceptycyzm, gdy chodzi o możliwość otwarcia dyskusji na temat zmian w europejskich traktatach – a bez nich nie da się zrealizować wielu zamierzeń socjalnych, jeśli miałyby mieć charakter wspólnotowy.

Jako zwolennik wzmocnienia integracji, były premier wyraził jednak wątpliwość co do możliwości przyjęcia daleko idących rozwiązań w wymiarze *filozofii organizacyjnej* UE wyłącznie w wyniku wiedzy i wyobraźni jej liderów. Pchnąć Unię w tym kierunku mogą natomiast zewnętrzne zagrożenia lub wewnętrzne kryzysy – *vide* zaciągnięcie wspólnego długu podczas pandemii COVID-19.

Przewodniczący OPZZ Piotr Ostrowski ujął perspektywę dalszego rozwoju Unii Europejskiej w następujący sposób: *albo stanie się ona bardziej socjalna, albo nie będzie jej wcale*. Wiele ośrodków i grup próbuje bowiem podważyć jej autorytet, ograniczyć rolę, doprowadzić do jej rozpadu. Nie

można na to pozwolić także ze względu na to, że jest to ważna przestrzeń rozwijania norm socjalnych, stosunków pracy i polityki społecznej. Problemy UE wynikają po części z tego, że jest ona niewystarczająco społeczna, że w niedostatecznym stopniu odpowiada na wyzwania związane ze społecznymi oczekiwaniami oraz problemami.

Mimo ograniczeń prawnych Unia niewątpliwie coraz silniej integruje się w zakresie spraw społecznych. Tam, gdzie dostrzeżga korzyści płynące z regulacji, potrafi je wprowadzić. Z punktu widzenia związków zawodowych robi to coraz aktywniej i skuteczniej.

Maria Anioł, doradczynie w sieci Faire Mobilität (zajmuje się wsparciem pracowników migrujących) przy Federacji Niemieckich Związków Zawodowych DGB, zauważyła, że Unia Europejska stworzyła ramy prawne w celu zabezpieczenia pracowników, ale brakuje jej instrumentów egzekwowania tych praw. Mogą nimi być rozbudowa placówek doradczych z budżetu UE; przeprowadzanie efektywnych kontroli u pracodawców kampanie dla pracowników podwyższające ich świadomość posiadanych przez nich praw. Uwagi wymagają również indywidualne losy ludzi, którzy decydują się na emigrację w ramach swobodnego przepływu osób w UE.

Marta Witkowska, europeistka, profesor UW, wyraziła pogląd, że w obecnych warunkach osiągnięto maksymalny możliwy poziom harmonizacji usług publicznych w Unii Europejskiej (zabezpieczenie społeczne, opieka medyczna). Pomiędzy poszczególnymi państwami istnieje zbyt wielka dywersyfikacja systemów, by można było zapewnić coś więcej niż dostęp do świadczeń wynikający z dyrektyw określających status osób podróżujących lub pracujących.

Konkluzje: Fala różnych niepokoїв przetaczająca się przez obszar Unii Europejskiej w latach 2023 i 2024 nie ma wspólnego mianownika. Mamy do czynienia z wyjątkowym zbiegiem okoliczności; różne grupy społeczne z różnych powodów i motywacji domagają się zaspokojenia swoich interesów, ale to nie znaczy, że kumulacja protestów może osłabić spójność społeczną Wspólnoty. To bardzo dobry, optymistyczny wniosek.

Jeśli chodzi o przyszłość, uznano, że Unia musi się dalej integrować; co więcej, ta integracja musi być bardziej zdecydowana. Byłoby zgodne z pewną historyczną logiką, gdyby z czasem objęła ona również usługi.

Rysują się obecnie trzy modele gospodarcze: obok społecznej gospodarki rynkowej w wydaniu znanym w UE, także amerykański – wolnorynkowy, ale odmienny od europejskiego – oraz chiński (prawdopodobnie w przyszłości można będzie go ekstrapolować na większość krajów BRICS). Poza dyskusją jest, że Europejczycy w żadnym wypadku nie będą chcieli zamienić swojego modelu na żaden z tych dwóch alternatywnych. A to będzie wymuszać głębszą integrację wewnątrz Wspólnoty.

Na pewno czekają nas wyzwania dotyczące przyszłości rynku pracy. W konsekwencji upowszechnienia się sztucznej inteligencji wiele zawodów zniknie, powstaną nowe. Implikacje tego procesu będą daleko idące. Jednak Unia Europejska lepiej się zmierzy z tym wyzwaniem niż jakiegokolwiek państwo członkowskie z osobna.

Opr. RS

Całość obrad można odsłuchać w formie podcastu na portalu reshumana.pl i obejrzeć jako film na kanale „Res Humana” w serwisie YouTube.

POSTSCRIPTUM

Rozum w punktach mierzony



Małgorzata B. JAKUBIAK

Lancelot Ware – brytyjski naukowiec i prawnik oraz Roland Bervill – australijski prawnik w dniu 1 października 1946 roku założyli organizację o nazwie MENSA.

Słowo *mensa* oznacza po łacinie „stół”. Celem, który przyświecał temu wydarzeniu było zgromadzenie przy tym symbolicznym stole najinteligentniejszych ludzi na świecie.

Stopniowo, także w innych krajach powstawały kluby wybitnych jednostek – osób o udowodnionym i jednoznacznie określonym poziomie inteligencji (łacińskie słowo: *intelligentia* oznacza rozum, inteligencję) – wyrażonym konkretną liczbą punktów, czyli tzw. IQ.

Od tego momentu minęło wiele lat i obecnie MENSA INTERNATIONAL z oficjalną siedzibą główną w Caythorpe w Wielkiej Brytanii jest federacją 54 stowarzyszeń krajowych, w tym polskiego. Dane z 2023 r. określają liczbę członków, czyli osób zgromadzonych w różnych klubach MENSA na świecie i wybranych spośród wielu na 145 000. W Polsce to 2400 osób.

Jak z wielką dumą podkreślają członkowie Mensy, stanowią oni zaledwie 2 procent całej populacji. Niebagatela!

IQ – cóż to za cudowna miarka, za pomocą której można odróżnić mądrego od głupiego i to z precyzją wyrażoną w dokładnej liczbie punktów, tak dokładnie jak zmierzenie w centymetrach wysokości stołu?

Próbując to zrozumieć, zacznijmy od rozszyfrowania angielskiego skrótu IQ. Oznacza on iloraz inteligencji (*intelligence quotient*), czyli wartość liczbową wyniku specjalnego testu o tej nazwie.

Testy IQ zawierają różne zadania umysłowe, ciągle zmieniane, aby nikt nie nauczył się ich na pamięć, mające badać rozmaite rodzaje sprawności umysłowej w różnych dziedzinach. Wymienia się tu np. sprawności arytmetyczne, analityczne, przestrzenne, lingwistyczne, skojarzeniowe itp. Średnia uzyskanych wyników stanowi iloraz inteligencji.

Testy IQ od dawna są przedmiotem krytyki. Zwątpienie w ich wartość argumentuje się tym, że mierzą tylko pewne elementy umysłu, skromne i okrojone, które mogą się ujawnić przy rozwiązywaniu zadań typu łami-główki. Wiadomo, że ich częste rozwiązywanie pozwala nabrać wprawy w tego rodzaju „akrobacjach umysłu” – podobnie wielkiej wprawy nabiera-

ją ci, którzy nieustannie rozwiązują krzyżówki i rebusy, chociaż są one przecież różne. Nie odzwierciedla to zatem głębi myślenia ani rozmaitych jego rodzajów, zróżnicowanej wyobraźni itp. Wiadomo, że wyobraźnia, którą posługuje się architekt, różni się od wyobraźni pisarza, malarza i innych artystów. Wielu wybitnych, mądrych ludzi, np. twórców sztuki i naukowców, aktywistów, za sprawą których w jakimś punkcie na Ziemi komuś zaczęło być lepiej, zapewne mogłoby wcale nie najlepiej wypaść w zadaniach składających się na test IQ.

Testy te nazywane są nawet „kognitywistycznym przesądem”.

Warto poznać historię narodzin testów IQ, dowiedzieć się, w jakim celu powstały i na jakich założeniach były oparte – po to choćby, aby zobaczyć, jak kuriozalną metamorfozę przeszły, stając się w gruncie rzeczy zaprzeczeniem celu, któremu miały służyć.

Ich autorem był francuski psycholog i pedagog (a także grafolog) Alfred Binet (1857–1911). Był zafascynowany zjawiskiem inteligencji i wiele lat poświęcił jej badaniu. Jako pedagoga nurtowało go pytanie o to, czy można udoskonalić edukację dzieci, a jeżeli tak, to w jaki sposób to zrobić. Szczególnie skupił swoją uwagę na uczniach, którzy mieli trudności z nauką. Uważał, że aby im pomóc, trzeba dokładnie poznać słabe strony każdego z nich, a następnie dostosować sposób uczenia do potrzeb konkretnego dziecka tak, aby nadrobić istniejące braki.

Odpowiednie testy Alfred Binet opracował około 1905 roku. Jak podkreślał, nie są one po to, aby wykazać, kto jest gorszy, a kto lepszy, kto bardziej inteligentny, a kto mniej. W teście tym – powiadał – nie ma wygranych ani przegranych. Jego celem jest wykazanie, w czym tkwią słabe punkty ucznia i nad czym należy z dzieckiem więcej popracować. Porównajmy to do treningu sportowego – aby całość była udana, trzeba czasem zatrzymać się i przeciwiczyć tylko pewne partie mięśni lub wybrane elementy gry.

Swoje intencje wyjaśnił jeszcze dobitniej. Podkreślał, że opracowana przez niego skala absolutnie nie pozwala na pomiary inteligencji. Bo wiem cechy intelektualne nie nakładają się na siebie, jak wartości rosnące liniowo, czyli tak jak wtedy, gdy mierzymy np. wysokość, długość czy wagę. Inteligencja jest, jak sądzi dzisiejsza nauka, funkcją mózgu pełnego jeszcze tajemnic, o niepoznanych do końca możliwościach różnych jego obszarów. Jeden człowiek obraca się gładko w świecie liczb, inny z trudem podlicza swoje rachunki, ale ma wyobraźnię poety czy malarza; jeszcze inny nigdy nie dostanie żadnej światowej nagrody, ale jest doskonałym pragmatykiem życia codziennego i zostanie menedżerem, który zajmie się praktycznymi sprawami bujającego w obłokach artysty. Inteligencja to nie linia, to obszary, których układ wzajemny, wzajemne relacje, są zwyczajnie niepoznane.

Nie ma także możliwości porównania poszczególnych przejawów inteligencji.

„Poziom inteligencji nie jest stały. Musimy protestować i reagować przeciwko temu brutalnemu pesymizmowi – twierdził Binet. – Na szczęście jest to błędny pogląd. Nie, inteligencja może się rozwijać, jej poziom może wzrosnąć. Dzięki ćwiczeniom umysłu – ćwiczeniu pamięci-

ci, uwagi, posługiwaniu się logiką jako trzema filarami inteligencji – można ją poprawić”.

I tyle Alfred Binet.

Potem wzięto się za przerabianie i poprawianie tych testów. Zapoczątkował to już Theodore Simone (1873–1961) – współpracownik Alfreda Bineta.

Istnienie klubu tych, którzy chlubią się unikatową w skali całego świata inteligencją nie powinno nikogo dziwić. Istniały i istnieją rozmaite kluby towarzyskie i stowarzyszenia o oryginalnych nazwach, skupiające osoby na podstawie takiej lub innej wspólnej im cechy (bywa, że zaskakującej). Jedne elitarne i snobistyczne, inne nie. Przykładem fantazji w takiej dziedzinie jest fikcyjne i wymyślone przez twórcę filmu z 1989 roku Petera Weira Stowarzyszenie Umarłych Poetów. To jednak fikcja absolutna, chociaż brzmi intrygująco.

Ale ogólnopolskie stowarzyszenie Broda i Tatuaz istnieje naprawdę, stanowiąc grupę, w skład której wchodzi ponad dwadzieścia tysięcy członków.

Założenie małej przyjacielskiej grupy, powstałej z poczucia wspólnoty z tytułu posiadania brody i tatuażu wkrótce okazało się dla jej członków niewystarczające. Stopniowo przekształciła się ona w organizację ze statusem stowarzyszenia. Nie tylko promującą tolerancję i wzajemne wspieranie się w potrzebie, ale także i przede wszystkim podejmującą realne działania, jak np. organizowanie akcji i imprez charytatywnych, z których dochody są przeznaczane dla dzieci borykających się z ciężkimi chorobami. „Wytatuowani brodacze z sercem na dłoni” – tak bywają określanii. I nie jest to nazwa nieuzasadniona.

W wielu próbach określenia tego, czym jest inteligencja, w próbach odnalezienia jej istotnych cech, było zwrócenie uwagi (także przez Bineta) na fakt, iż kieruje ona uwagę człowieka poza siebie samego, na świat. Rodzi zainteresowanie nim, powoduje reakcje na różne sytuacje, a jej posiadacza cechuje także umiejętność krytycznego podejścia do własnych działań.

A co sądzą o sobie sami „mensanie” (tak nazywają siebie członkowie klubu najbardziej inteligentnych)?

Co ich wyróżnia wobec reszty świata – to już wiemy. Ale co łączy ich wzajemnie, dlaczego i w jakim celu gromadzą się, tworząc wyodrębnione grupy?

Najdokładniej i najwierniej opowiedzą o tym ich własne słowa, będące fragmentem obszerniejszej wypowiedzi pod hasłem: „O nas” umieszczonej na stronie polskiej Mensy:

Czytamy:

„(...) właściwością mensan jest trudność w odnalezieniu się w tzw. normalnym świecie. Mensanie prawie zawsze odstają od szablonów i sztywnych norm. Dla takich osób Mensa jest przystanią życzliwości i zrozumienia”.

(...) „A zresztą, czy jest coś przyjemniejszego, niż pochwała własnego umysłu i pełen aprobaty wzrok przyjaciół?”

Czym zajmują się podczas spotkań?

„(...) Czasem rozegramy partyjkę Scrabble lub Tantrixa i z pewnością przedyskutujemy kwestię lepszego umiejscowienia eksponatów” (to ostatnie po wspólnej wizycie w Muzeum Lotnictwa).

„Są też takie cechy, które można by spróbować uogólnić na wszystkich mensan. Jedną z nich jest poczucie humoru. (...) Od rozumiejących abstrakcyjne inteligentne dowcipy do wymyślających abstrakcyjne inteligentne dowcipy. (...) Typowy «realistyczny» dowcip o teściowej lub kochanku w szafie śmieszy ich umiarkowanie. Ale już przy «rybackiej» zasadzie Stefana Kisielewskiego: im dłuższy dostęp do morza, tym trudniej złapać rybę (uzasadnienie: bo ma więcej miejsca do ucieczki) zaczynają radośnie porykiwać”. Radośnie porykiwać – ale czy inteligentnie?

Takie oto są podstawowe informacje, zamieszczone na stronie głównej polskiego oddziału stowarzyszenia Mensa.

Odnosi się wrażenie, że mamy tu do czynienia ze swoistym rodzajem inteligencji, która kieruje uwagę człowieka na siebie, na własne istnienie i ma ochotę uciec od całego (oczywiście mniej inteligentnego) świata.

Uplaszowanie się na pozycji geniuszy, stanowiących jedynie garstkę na całym świecie, robi jednak wrażenie na wielu. Wiara w IQ zatacza kręgi i ma swoich bezkrytycznych fanów.

Pewien publicysta Bloomberg Television (płatna telewizja amerykańska zajmująca się tematyką biznesu i rynku kapitałowego) wymyślił rzecz następującą: otóż ludzie z punktacją IQ powyżej 145 powinni dostawać dożywotnie stypendium.

Zainteresowani tematem natychmiast przeliczyli, jaka to kwota – w warunkach Polskich mogłaby stanowić minimum pozwalające potencjalnym geniuszom nie tracić czasu na pracę zarobkową i całkowicie poświęcić swój umysł zajęciom godniejszym ich intelektu. Kwotę tę obliczono na 6500 zł miesięcznie. Nie byłoby to jednak przecież uwarunkowane jakimiś konkretnymi wymogami, jedynie przewidywaniem, że umysły wybitne zrodzą wybitne płody.

A co z tymi, którzy spędzaliby swój cenny czas tylko na wymyślaniu abstrakcyjnych dowcipów i wzajemnym podziwie własnych umysłów?

Jednak gwoli sprawiedliwości i dla zaznaczenia konkretnych korzyści trzeba odnotować, że w 1971 r. została założona przez Mensę organizacja filantropijna, która ma wspierać (np. poprzez stypendia i działania edukacyjne) rozwój intelektualny na świecie.

To dobrze brzmi, natomiast nie znalazłam informacji (to nie znaczy, że gdzieś ich nie ma, chociaż nie rzucają się w oczy) o jakichś wybitnych ponad powszechną miarę osiągnięciach samych mensan.

Ciekawostką kultury naszych czasów, a więc połowy wieku XX i (od 23 już lat) XXI wieku jest to, że intelekt, inteligencja, rozum (nie ma tu dokładnych, rozgraniczających definicji) stały się modne, stały się trendy. Nie wszyscy przy tym krytykują sposób, za pomocą którego da się osiągnąć status „wybranych” pod tym względem. Najważniejsze wszak, żeby nim być – wraz z w miarę wysokim numerkiem przy nazwisku. Wiele osób spośród gwiazd kina, telewizji, wielu celebrytów zabiega o dostanie się do elitarnego i snobistycznego – chyba można tak powiedzieć – klubu. Bo przecież nie po to, aby w jego ramach dokonać czegoś wybitnego, lecz by móc dokumentować się samą przynależnością, w tym zdjęciem w mediach uzupełnionym jak najwyższym numerkiem.

Internet i inne media są pełne list „geniuszy” (ale tam funkcjonuje to słowo bez cudzysłowu), list specyficzne zestawionych – każda według specjalnego klucza. Najbardziej wyeksponowane listy dotyczą celebrytów, aktorów, gwiazd estrady, jest nawet lista genialnych seksbomb. Czytamy zatem, że:

Marylin Monroe miała IQ 168, Sharon Stone – 154, James Wood – 180, a Natalie Portman – 164. Także piosenkarka Dorota Rabczewska, powszechnie znana jako Doda Elektroda, chwali się przynależnością do Mensy i 156 punktami IQ. Z filmiku zamieszczonego w Internecie dowiadujemy się, że: „teraz jestem Doda Mensoda!”. Poniżej znalazły się niewybredne, ale adekwatne do prezentowanych zdjęć komentarze publiczności, typu: „Iloraz inteligencji Dody jest równie autentyczny, jak jej piersi”.

Jakby nie dość było tych rewelacji, dowiadujemy się również, że Doda ma iloraz inteligencji tylko o 4 pkt mniejszy od Alberta Einsteina, zaś Natalie Portman tylko o 1 pkt mniejszy od Wolfganga Amadeusza Mozarta. Ktoś także, zupełnie serio zadał pytanie o to, jakie IQ miał Mikołaj Kopernik! I to jest dopiero prawdziwy szok, zważywszy na fakt, że Einstein urodził się w 1879 roku, Mozart w 1756, zaś Kopernik w 1473. Jakie testy IQ wtedy funkcjonowały?

Pamiętajmy jednak o tym, że inteligencja i poczucie humoru faktycznie idą w parze. ■

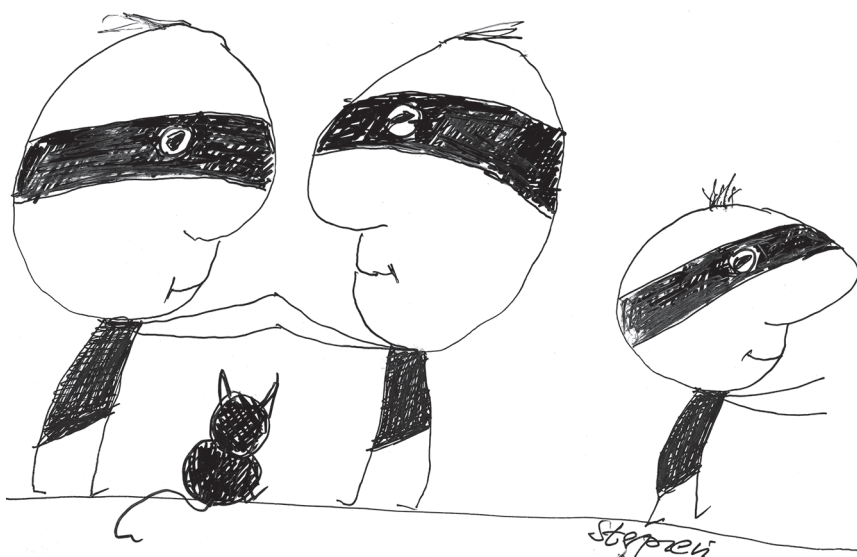


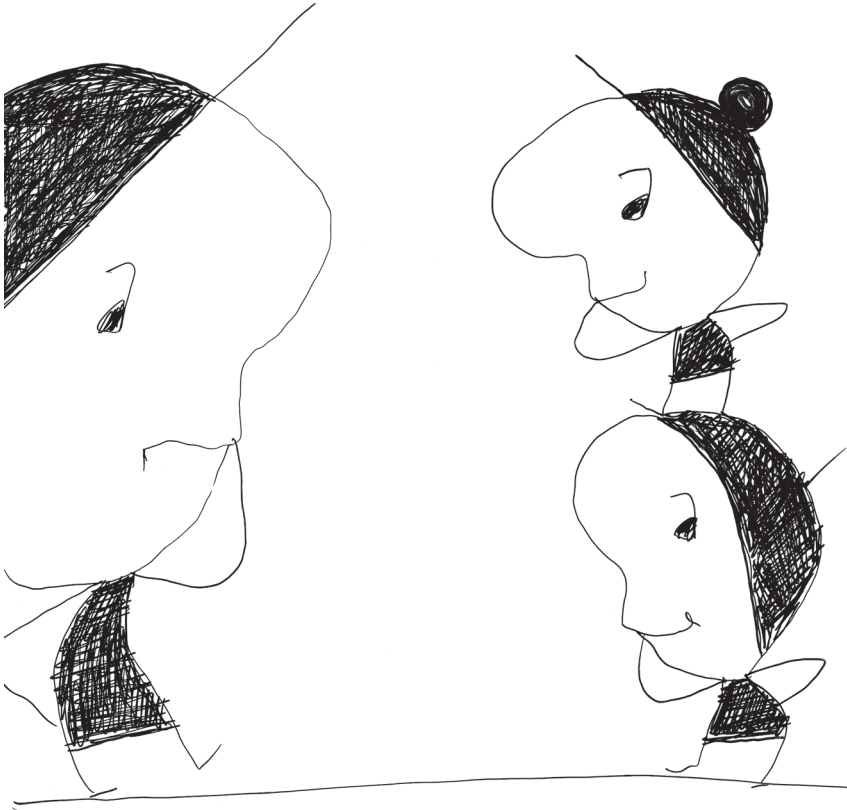
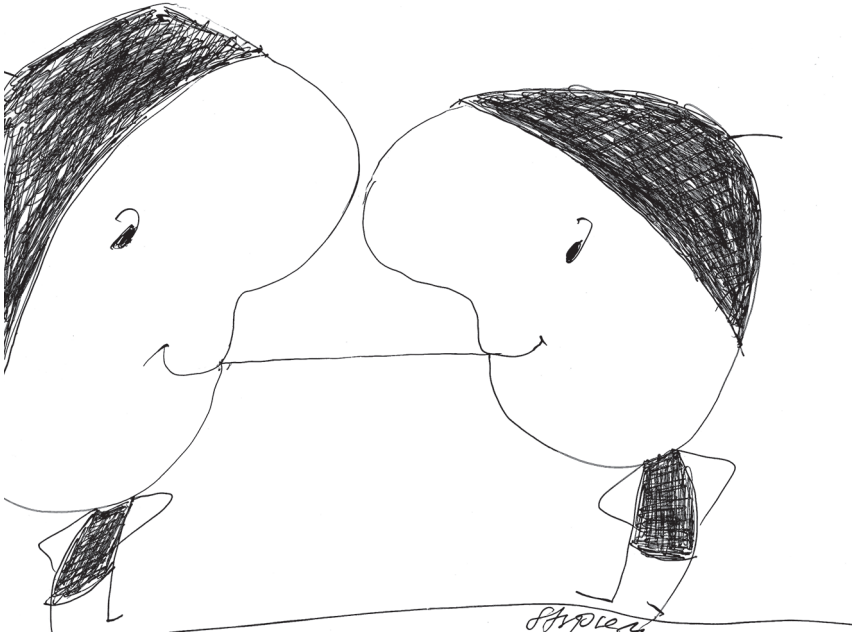
Rys. Marek Chaczyk

Powrót Jana Stępnia

Z przyjemnością ponownie witamy na naszych łamach Jana Stępnia, rysownika przez wiele lat stale współpracującego z „Res Humana”.

Jego filuterne ludziki komentujące sprawy poważne, lub nie, z przymrużeniem oka lub na serio, już zdążyły zasiedlić nasze karty.





KLIMAT I ŚRODOWISKO

Unia a ekologia

ZDANIE

Joanna HAŃDEREK

Konfucjuszowi zawdzięczamy ostrzeżenie, by nie podglądać, nie podsłuchiwać i nie plotkować. W XVIII wieku, w sanktuarium Toshogu, Mizaru, Kikazaru oraz Iwazaru doczekało się wizerunku – znanej dzisiaj na całym świecie rzeźby przedstawiającej małpę zakrywającą sobie oczy, uszy i usta. Stary mistrz wiedział, przed czym przestrzega, najgorsze jest bowiem nieporozumienie czy kłamstwo płynące z naszego niezrozumienia drugiego człowieka. Lepiej zatem zachować dystans, a nie podglądać i plotkować. Problem jednak w tym, że bardzo szybko z mądrości zrodziła się głupota, a Mizaru, Kikazaru i Iwazaru zaczęły wyrażać obojętność. Niedostrzeżenie problemu, dystans wobec tego, co się dzieje i milczenie o przemocy czy zagrożeniach to ludzka specjalność. W XXI wieku nie stać już nas na ten luksus obojętności i skupienia się na sobie. Egoizm zabija.

W 2020 roku, podczas obchodów 75. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau, Marian Turski przekazał słowa, które powinny stać się mottem XXI wieku: „Nie bądźcie obojętni!”. Po II wojnie światowej myśliciele miary Karla Jaspersa czy Theodora Adorno zadawali sobie jedno pytanie: jak to było możliwe, że nikt nie reagował, gdy po sąsiadów przychodziło gestapo, gdy wywożono Żydów do obozów koncentracyjnych? Dzisiaj młodzież zadaje nam jedno pytanie: gdzie byliście? Dlaczego dopuściliście do VI wielkiego wymierania i kryzysu klimatycznego?

Przyszłość Unii Europejskiej jak w soczewce odzwierciedla problemy globalne, przy czym UE ma ten przywilej, że należy do bogatego zachodniego świata czy inaczej elitarnego klubu krajów bogatej Północy. Pomimo jednak całego rozwoju i bogactwa przyszłość UE rozwija się w cieniu wojny tuż na granicy: w Ukrainie oraz w rzeczywistości Kryzysu Klimatycznego. I o tym nie wolno nam zapomnieć. To, czym jest i czym się stanie Europa, wiąże się w fundamentalny sposób właśnie z Kryzysem Klimatycznym. Już dzisiaj sami możemy to obserwować – pustynnienie obejmuje wiele regionów Europy, a wysychanie rzek czy nagłe załamania pogody stały się powszechne. Uchodźcy u drzwi Europy to nie jest tylko kwestia terroru i wojen w wielu regionach świata, ale w dużej mierze zmian klimatycznych. Jak diagnozował Henryk Skolimowski – ekoetyk, filozof – wiek XXI musi stać się wiekiem ekologii, inaczej nas wszystkich

czeka radykalna zmiana nie tylko stylu życia, ale i obniżenie poczucia bezpieczeństwa czy utrata podstawowych dóbr i praw, do których tak bardzo się przyzwyczailiśmy i traktujemy je jako normę.

Obecnie w Unii Europejskiej procesy zachodzą w dwóch nurtach, ściera ją się dwie siły. Wydaje się, że tegoroczne wybory do Europarlamentu stają się decyzją, w którym kierunku pójdzie transformacja Unii, a przez to również naszego życia i narodowej polityki.

Pierwszy nurt jest umiarkowanie progresywny. Wypracowanie Zielonego Ładu (*Green Deal*) nie jest żadną wielką rewolucją, to tak naprawdę kompromis pomiędzy wymaganiami gospodarki, rozwoju, a koniecznością powstrzymania drastycznych zmian klimatycznych. Założenia Zielonego Ładu, które zobowiązują państwa do: dostarczenia czystej i bezpiecznej energii, wdrażania gospodarki o zamkniętym obiegu, obniżaniu zapotrzebowania na energię, przyspieszenia przejścia na zrównoważoną i inteligentną mobilność, ochrony i odbudowy ekosystemów i bioróżnorodności, przystosowania się do zmian klimatycznych, ochrony zdrowia – to tak naprawdę minimum, jakie musimy wykonać, by nie zniszczyć ostatecznie naszej planety.

Drugi nurt obejmuje radykalnych denialistów, zaprzeczających, by zmiany klimatu były spowodowane ludzkim działaniem. I tu zarówno od strony polityki, jak i aktywizmu tkwi ogromne zagrożenie. Denializm klimatyczny idzie często bowiem w pakiecie z nacjonalizmem, szowinizmem, zarówno gatunkowym, jak i genderowym, czy klasizmem. Często denialści opowiadają się za wyjściem ich państw z Unii Europejskiej bądź za wetowaniem i hamowaniem wszelkich progresywnych zmian.

Protesty odbywają się w Niemczech, Francji, Włoszech, Hiszpani, Grecji, Rumunii, Litwie i Portugalii. W Polsce 27 lutego br. w Warszawie na proteście pojawiły się po raz pierwszy banery: „Precz z Zielonym Ładem”, „Zielony Ład to śmierć”, „Zielony Ład to głód”. Lawina ruszyła i tak zaczęło się blokowanie dróg, a fale oburzenia wracają raz po raz. Protestujący rolnicy mówią o niedorzeczności przepisu trzymania odłogiem 4% ziemi (w przypadku gospodarstwa powyżej 10 ha), zmniejszania zużycia nawozów i środków ochrony roślin czy nakazu ograniczenia stosowania pestycydów. Motywem przewodnim jest też uszczelnienie granicy z Ukrainą oraz strach przed tanią żywnością płynącą z tych terenów. W całej tej narracji widać nie tylko niezrozumienie tego, czym jest Zielony Ład, ale również strach przed jakąkolwiek zmianą oraz ogromna niechęć do Unii Europejskiej. Prawie we wszystkich krajach, gdzie odbyły się protesty, słychać było głosy czy to niechęci wobec Unii, czy to krytyki jej idei. W Polsce protesty te przybierają bardzo dramatyczny wymiar, skierowane są bowiem przeciwko samej Ukrainie, a także jej wspieraniu. Blokowanie granicy z sąsiadem było takim właśnie antyukraińskim działaniem, nie tylko bowiem zboże, ale również broń czy lekarstwa, ubrania, produkty codziennego użytku jadą przez granicę na tereny objęte wojną. Z kolei krytykowanie polityki zagranicznej UE i wspierania przez nią walczącej Ukrainy było deklaracją, o ile nie wprost popierającą agresora, to dającą ciche przyzwolenie na walkę Rosji z Ukrainą. Blokowanie granicy kraju, który nigdy nie jest działaniem neutralnym. W przypadku protestów rolników, szybko można było się przekonać, że mamy tu do czynienia z czymś więcej – z dyskusją o tym, jak bardzo Unia

Europejska ma się rozszerzać i jak w przyszłości ma wyglądać jej polityka wobec państw ościennych.

Znajdujemy się dzisiaj w sytuacji szczególnej – możliwości rozszerzenia wojny z agresji Rosji już nie tylko na Ukrainę, ale i na Polskę. Ponadto zgodnie z takimi raportami jak IPCC, grozi nam kryzys klimatyczny, który w przypadku Polski będzie prowadził do zmiany linii brzegowej (Gdańsk i jego tereny są zagrożone zalaniem), podniesienia temperatur, pustynnienia. Dlatego ważne, by skonfrontować się z antyunijną i antyekologiczną narracją w samej Unii Europejskiej. Brexit pokazał, że socjotechnika negocjowania Unii opiera się na dezinformacji, przyjrzyjmy się zatem kilku faktom.

Unia Europejska dopuszcza do używania pestycydów, a Rozporządzenie Komisji (UE) 2020/856 z dnia 9 czerwca 2020 r. określa najwyższe dopuszczalne poziomy ich użycia dla warzyw, owoców czy ciał zwierząt uznanych za mięso. Mówimy tutaj o takich pestycydach, jak: cyjanotraniliprol, cyjazofamid, cyprodynil, fenpiroksymat, fludioksonil, imazalil, izofetamid, krezoksym metylu, lufenuron, mandipropamid, propamokarb i piraklostrobin, fluksapyroksad, pyriofenon, piryproksyfen i spinetoram (załączniki II i III do rozporządzenia (WE) nr 396/2005). Dla niewtajemniczonego czytelnika nazwy te mogą brzmieć przerażająco. Dla człowieka przedawkowanie tych pestycydów kończy się bólem głowy, nudnościami. Cyjanotraniliprol czy cyprodynil, fludioksonil i imazalil mogą prowadzić do zaburzeń układu nerwowego, dezorientacji, kłopotów z mówieniem¹. To tylko niektóre ze skutków ubocznych. W przypadku ekosystemu szkody również wydają się niewielkie, dimetoat i metoat (również dopuszczany przez UE) w przypadku roślin może hamować fotosyntezę, a w przypadku ptaków zaburzać czynności mózgu. Dostając się do wody, dimetoat i metoat mogą wpływać na zmianę zachowania ryb – zmianę w sposobie pływania². Te, wydawać by się mogło niewielkie, skutki uboczne – rekompensowane obfitymi plonami – można by bagatelizować, gdyby nie to, co one realnie oznaczają dla naszego środowiska i przyszłości.

Bałtyk już dzisiaj zamienia się w zlew ścieków, co oznacza, że 1/5 morza jest martwa (brak tlenu – brak życia), a połowa umiera. Spływanie pestycydów do morza rzekami i wodami gruntowymi tylko przyspiesza ten proces. Morza i oceany przechowują 50 razy więcej dwutlenku węgla niż atmosfera i pochłaniają do 30% rocznych antropogenicznych emisji dwutlenku węgla. W sytuacji zanieczyszczenia wód, wzrostu ich temperatury i zasolenia, zmniejsza się wydajność pochłaniania przez nie szkodliwego gazu. Co za tym idzie, zanieczyszczenie Bałtyku jest jednym z elementów zwiększających czynniki wzmagające kryzys klimatyczny.

Ponadto w wyniku obecnych metod stosowanych w rolnictwie dochodzi do deforestacji, wyjałowienia (przez nadmierne użycie nawozów sztucznych) i utraty różnorodności biologicznej gleby, co w perspektywie rosnących temperatur oraz gwałtownego załamania pogody może oznaczać niezdolność do rozwoju rolnictwa na obecnym poziomie. Wedle raportu European Environment Agency, Europa należy do najszyb-

¹ Źródła danych cytowanych w artykule podane są w jego elektronicznej wersji na reshumana.pl.

ciej ocieplających się kontynentów, a południe Europy zagrożone jest suszami i związanymi z nimi zmianami flory i fauny³.

Należy też pamiętać, że produkcja mięsa jest także niezwykle obciążająca dla środowiska. Do wyprodukowania 1 kilograma wołowiny potrzeba ok. 10–15 tysięcy litrów wody, 1 kilograma wieprzowiny – ok. 5 tysięcy, a drobiu ok. 4 tysięcy. Z kolei produkcja 1 kilograma soczewicy zużywa około 4 tys. litrów wody. Obliczenia pokazują, że uprawa 1 hektara pola pszenicy może rocznie przynieść 250 kg białka, gdy tymczasem uprawa pastwiska o powierzchni 1 hektara nastawiona na produkcję wołowiny da jedynie 10 kg białka. Jak pokazują badacze opracowujący raport IPCC, chociaż około 80% światowej ziemi rolnej przeznaczone jest pod produkcję mięsa, ryb i skorupiaków z akwakultury, jajek oraz mleka, to dostarczają one jedynie niecałe 40% białka i 20% spożywanych przez ludzi kalorii⁴. Co więcej, rolnictwo w obecnej postaci generuje 1/3 emisji gazów cieplarnianych do atmosfery⁵.

Dane ukazujące, w jaki sposób człowiek zanieczyszcza świat, w jaki sposób rolnictwo generuje zmiany klimatyczne i niszczy bioróżnorodność można by było jeszcze długo analizować i przytaczać nowe. To kwestia choćby lagun (fekaliów i nieczystości generowanych przez hodowle wielkopołciowe), użycia w hodowlach zwierząt antybiotyków, hormonów czy związków odkażających i czyszczących. Lista jest długa i wskazuje na jedno: w dobie kryzysu klimatycznego potrzebne są nam zmiany. Co więcej, ze zmianami nie możemy czekać. Program Unii Europejskiej przewidujący do 2050 roku przejście na neutralność klimatyczną działa bardzo wolno i niesie w sobie wiele niebezpieczeństw dalszego emitowania zanieczyszczeń. Dlatego sprzeciw ludzi wobec jakichkolwiek prób reform oznacza całkowity brak zrozumienia, co tak naprawdę dzieje się z naszym światem.

Wybory do Parlamentu Europejskiego to zawsze moment dyskusji na temat przyszłości i kształtu UE. Problem w tym, że nasze współczesne dylematy i decyzje nie mogą koncentrować się tylko na doraźnej polityce. Każda wystrzelona rakietą, każdy spalony skład paliw w Ukrainie, tak samo jak każdy spalony las i zniszczona działaniami wojennymi łąka, pole, to utrata cennej bioróżnorodności i dodatkowa emisja gazów cieplarnianych do atmosfery. Każdy posiłek mięsny na talerzu to ok. 44% antropogenicznych emisji metanu, 53% tlenku diazotu i 5% dwutlenku węgla⁶, tak samo jak zanieczyszczenie gleby sztucznymi nawozami i lagunami. Fakt, że protesty przeciwko Zielonemu Ładowi nabrały antyunijnego charakteru, a do wielu z nich dołączono retorykę nacjonalistyczną pokazuje, że klimat to nie tylko globalne ocieplenie i walka z kryzysem klimatycznym, ale walka z naszymi własnymi demonami przeszłości.

W XIX stuleciu Rudolf Kjellén, szwedzki politolog i polityk, wprowadził do europejskiego myślenia ideę biopolityki. Dla Kjelléna oznaczała ona jedno: naród tożsamy jest z przestrzenią, którą zajmuje, a silny naród powinien nie tylko zarządzać racjonalnie swoim terenem, ale również walczyć o przestrzeń życiową, ważną dla jego rozwoju i vitalności. W jaki sposób zakiełkowały te idee wszyscy dobrze wiemy – siła życiowa czy prawo silnego narodu do rozwoju i zajmowania należnego terenu w II wojnie światowej objawiły swoją najbardziej brutalną wersję. Problem w tym, że idee Kjelléna rozwijały się również w bardziej „subtelnej” formie, idei narodowego związania z ziemią czy też utożsamienia narodu z ziemią ojczystą.

Już w samym pojęciu ojczyzny (*homeland, Heimat, Vaterland, patrie, la pays natal*) kryje się ojcowizna, ojciec, dom, to, co bliskie, dziedziczone, nasze. W tym też względzie wszystko to, co dzieje się w naszym domu, na naszej ziemi, w naszym regionie skrywane jest za ideami posiadania, praw do zarządzania, decydowania, tak samo jak za ideami własności, prawa do czegoś czy emocjami przynależności, bliskości, związania z czymś. Stąd nacjoniści i wszelkiego rodzaju reakcjoniści, denialiści, krytycy globalizacji czy Unii Europejskiej bardzo często walkę z kryzysem klimatycznym, walkę o zrównoważony rozwój poczytują za atak na tożsamość narodową czy uświęcone narodowe wartości.

Obecnie w Unii Europejskiej toczy się dyskusja nie tyle o Europie dwóch prędkości, co o Europie dwóch porządków: ksenofobicznym i nacjonalistycznym – gdzie zamknięcie narodów i zacieśnienie polityki tylko do własnych interesów jest dominujące, oraz Europie otwartej, wspólnotowej, zjednoczonej. Zielony Ład, tak samo jak wszelkie dyskusje o klimacie i konieczności ekologicznego myślenia w pewnym sensie stały się zakładnikami nacjonalistycznego zawężenia. Ekspozycja praw do posiadania własnej ziemi, prawa rolników do zarządzania na własną modłę swymi gospodarstwami, krytyka unijnych dyrektyw i propozycji zmian stają się polem dyskusji etnocentrycznych. I w tym tkwi największe niebezpieczeństwo. Z jednej strony możemy osłabić samą Unię Europejską – co będzie tylko zwiększało szanse Putina na realizację swojej koncepcji wielkiej Rosji (z Ukrainą, a być może i Polską w swoich granicach). Z drugiej strony może przyspieszać zmiany klimatyczne, prowadzące do coraz bardziej drastycznych temperatur, pustynnienia, deforestacji, zaniku znanej nam roślinności, przyspieszenia degradacji gleby, zaniku bioróżnorodności. Te dwa aspekty oznaczają zagrożenie zarówno polityczne (wojną, utratą stabilności społecznej i ekonomicznej), jak i klimatyczne.

Przyszłość Europy zależy od naszego ekologicznego myślenia, co staje się społecznym i politycznym wyzwaniem, zmuszającym nas do przepracowania naszych starych demonów nacjonalizmu, egoizmu i konsumpcjonizmu. To nie jest łatwe zadanie, zwłaszcza że do tej pory życie w Europie rozpieszczało nas nadmiarem możliwości, swobód obywatelskich, praw człowieka. Żyjąc w elitarnym klubie dawnych kolonialistów, korzystając z praw klasistowskich, kultura zachodnia wypracowała model posiadania i wyzysku. Społeczeństwa Europy przyzwyczyły się nie tylko do pokoju, ale również do konsumpcyjnego stylu życia i etyki egoizmu. Moda, turystyka, popkultura wypromowały model młodego, wysportowanego posiadacza świata – turysty, konsumenta, karierowicza. Współczesne rolnictwo jest biznesem, hodowle stały się produkcją mięsa. W tej perspektywie konieczność zmian w obliczu kryzysu klimatycznego rodzi ogromny opór.

Wiele osób boi się dostrzec prawdy o samej strukturze zmiany, jaka już zachodzi w naszym świecie. Pożary, gwałtowne ulewy, wysokie temperatury czy nagłe załamania pogody ciągle traktowane są jak anomalia, a nie jako tendencja nasilającego się kryzysu klimatycznego. Raporty o zmianach klimatu albo są odrzucane jako zbyt histeryczne, albo pomijane jako „kolejne rewelacje naukowców”, które i tak nie mają nic wspólnego z życiem. Młodzieżowy Strajk Klimatyczny doczekał się pogardliwego

skwitowania: „Poczekajcie aż dorośnięcie, przejdą wam fanaberie”. Kolejne szczyty klimatyczne nie dają nic oprócz emisji dwutlenku węgla do atmosfery – przywódcy i ważni rozmówcy przybywają wszak na spotkania samotami. Rolnicy rozsypujący na drodze zboże nie tylko nie myślą o ludziach umierających z głodu gdzieś tam na świecie, ale również nie zastanawiają się, co stanie się z ich dziećmi i wnukami, gdy średnie temperatury w Europie podwyższą się o 2,5 stopnia, a topniejące lodowce nie tylko zabiorą część linii brzegowej Europy, ale również uwolnią zamrożone w nich wirusy i bakterie.

Stoimy na rozstaju dróg i to bardzo niebezpiecznych. Czas przestać udawać, że nic się nie dzieje. Nie doceniamy tego, co zrobiło dla nas pokolenie ludzi tworzących Unię Europejską. Od czasu zakończenia II wojny światowej w Europie urodziły się nowe pokolenia, które nie wiedzą, co to znaczy wojna. Prawa człowieka, prawa pracownicze, prawa kobiet, prawa dzieci, tak samo, jak komfort posiadania własnego paszportu, swobodnego przemieszczania się w ramach układu Schengen, swobodnego handlu i szukania pracy w całej UE – zniknie i to już za parę lat, gdy świat pograży się w chaosie klimatycznych zmian. Nauczylismy się służyć ideologii, bo te podsuwają nam proste rozwiązania, nauczyliśmy się myśleć o świecie jako o stałych wartościach, traktujemy Unię Europejską jako coś oczywistego, należne nam przywileje. Tymczasem Unia Europejska wymaga naszej realnej pracy na rzecz zachowania pokoju i praworządności, wymaga też przełamania partykularnych interesów na rzecz przyszłości.

Nie jesteśmy już w stanie powstrzymać zmian klimatycznych, możemy jednak łagodzić ich skutki – i to powinno być nasze priorytetowe zadanie. Polityka Unii Europejskiej musi być ekologiczna, inaczej grozi nam gwałtowna i niebezpieczna zmiana. Polacy postawili mur na granicy z Białorusią wierząc, że w ten sposób powstrzymają napływ nielegalnych uchodźców. To samo zrobili Węgrzy, grodząc się przed niechcianymi uchodźcami. Problem w tym, że jeszcze trochę, a to my Europejczycy będziemy zmuszeni szukać terenów zdalnych do życia – chyba że... zmienimy naszą politykę klimatyczną i zaczniemy realnie walczyć o zmniejszenie zakresu kryzysu klimatycznego. Mizaru, Kikazaru i Iwazaru zasłaniały sobie oczy, uszy i usta. Łatwo można z obojętności zrobić cnotę. W XXI wieku, gdy świat został rozregulowany przez ludzki egoizm i brak wiedzy, wymagana jest od nas postawa przeciwna. Przyszłość Europy zależy od tego, czy będziemy w stanie dostrzec zagrożenie, usłyszeć argumenty i mówić w sposób otwarty o zmianach i możliwościach współpracy. Bez Unii Europejskiej jako systemu współpracujących ze sobą instytucji i ludzi będziemy skazani na przegraną – i to przegraną przyszłość naszych własnych dzieci. ■

Powyższy artykuł ukazał się w drugim tegorocznym numerze kwartalnika „Zdanie”.

W tymże wydaniu zaprzyjaźnionego z nami periodyku m.in.: rozmowa „Troje na Jednego” (dokończenie, obejmujące okres od Października 1956 r.) z prof. Andrzejem Werblanem • Krzysztof Janik po wyborach samorządowych • prof. Lech Nijakowski – porównanie wojen w Ukrainie i w Strefie Gazy • Bartosz Rydliński o socjalnej Polsce w socjalnej Europie • Mikołaj Bojnarowicz o tym, czy wszyscy jesteśmy faszystami • fragment książki *Życie pełne historii* – wywiadu-rzeki Pawła Dybicza z prof. Andrzejem Romanowskim.

„Zdanie” jest dostępne w sieci Empik oraz w internetowym sklepie Tygodnika „Przeгляд”.

Zmierzch czarnego „El Dorado”

Piotr CHAŁUBIŃSKI,
Alina POGODA,
Rafał RYKOWSKI



Piotr CHAŁUBIŃSKI



Alina POGODA



Rafał RYKOWSKI

Czas węgla się kończy. Obecnie w Polsce fedrują 23 kopalnie węgla kamiennego i brunatnego – ponad trzy razy mniej niż na początku lat 90. Popyt na węgiel stale się zmniejsza. Rośnie zaś znaczenie odnawialnych źródeł energii (OZE) – szczególnie fotowoltaiki i wiatraków. Jesteśmy w trakcie przejścia do nowej, miejmy nadzieję „zielonej epoki”. Najważniejsze, aby zmiany odbywały się w duchu sprawiedliwej transformacji – z poszanowaniem interesów górników, lokalnej tożsamości oraz środowiska.

W Polsce do produkcji energii elektrycznej i ciepła używa się ok. 40 mln ton węgla. Według Fundacji Instraat, w 2030 r. liczba ta może spaść o ponad połowę – do 15 mln ton. Z tego modelowania czerpała m.in. Koalicja Obywatelska w kampanii parlamentarnej w 2023 r. przy formułowaniu ambitnych celów dotyczących rozwoju odnawialnych źródeł energii. Partia Donalda Tuska zapowiedziała m.in. aż 68 procent udziału OZE (dziś ok. 16 procent – przyp. red.) w miksie energetycznym do 2030 roku.

Byłby to gigantyczny skok w kierunku „zielonej” gospodarki, który rodzi poważne skutki dla branży górniczej. Zredukowany popyt na węgiel oznacza bowiem znacznie szybsze zamykanie kopalń, niż przewiduje to umowa społeczna zawarta z górniczymi związkami zawodowymi przez rząd Prawa i Sprawiedliwości w 2021 roku. Z raportu można wyciągnąć nawet dalej idące wnioski, niż czyni to sam Instraat: prognozowane zapotrzebowanie na węgiel oznacza, że w 2030 r. w Polsce pozostaną trzy-cztery kopalnie węgla kamiennego oraz kopalnie Jastrzębskiej Spółki Węglowej, która wydobywa strategicznie potrzebny węgiel koksowy do produkcji stali. W sumie w Polsce może zostać w 2030 r. ok. 8 kopalni węgla kamiennego, gdy dzisiaj mamy ich 18. To nie jedyny, ale wielce prawdopodobny scenariusz. Oczywiście, przy takich decyzjach najważniejsza jest wola polityczna, ale nie powinno się lekceważyć takich czynników jak gwałtownie malejący popyt, rosnące koszty wydobycia, opłaty za emisję CO₂ i zmieniający się rynek energetyczny, który nie będzie faworyzował węgla. Polskie górnictwo zapisało wiele chwalebnych kart historii, zarówno w wymiarze gospodarczym, jak i politycznym, ale trudno nie zauważyć, że już niedługo stanie się cieniem przemysłu, którym jeszcze do niedawna było.

Skok na głęboką wodę

Górnictwo w Polsce było państwem w państwie. Przez lata PRL-u węgiel kamienny karmił polski przemysł i miliony gospodarstw domowych.

„Czarnym złotem” paliło się wszędzie – w kuchenkach i piecach. Węgiel był też najważniejszym towarem eksportowym pompującym finansową kroplówkę w socjalistyczną gospodarkę. Na przełomie lat 80. i 90. polskie górnictwo tworzyło 70 kopalń węgla, gdzie pracowało 416 tys. osób. Ludzie z biedniejszych regionów Polski emigrowali na Śląsk w poszukiwaniu dobrze płatnej, choć ciężkiej i niebezpiecznej pracy. Transformacja ustrojowa znacząco przedefiniowała znaczenie górnictwa. Z dumy i „oczka w głowie” stawało się ono „niewydajnym finansowo problemem”. W 1990 roku podpisano wyrok na zagłębie węglowe w Wałbrzychu. Kilka lat później podobny los spotkał górnictwo Bytom. Na długi czas miasta te stały się synonimem biedy i cywilizacyjnej zapaści. To, co się stało w Wałbrzychu, Bytomiu i wielu innych polskich miastach było dokładnym przeciwieństwem *sprawiedliwej transformacji*. Zamiast sprawiedliwości było bezprawie. Zamiast transformacji – biedaszyby i bezrobocie.

„Panowie z wózkami wypełnionymi żelastwem byli na dzielnicy codziennym obrazkiem. Byłam zszokowana, gdy przed jednymi świętami wszystkie studzienki kanalizacyjne nam z okolicy wyparowały” – fragment książki Katarzyny Dudy *Kiedyś tu było życie. Teraz jest tylko bieda* (Warszawa, 2022).

Czym jest sprawiedliwa transformacja?

Sprawiedliwa transformacja oznacza proces przejścia z gospodarki wysokoemisyjnej (opartej na paliwach kopalnych) na zeroemisyjną (opartą na odnawialnych źródłach energii), ze szczególnym uwzględnieniem interesów lokalnej ludności. Polega więc na stworzeniu alternatywnych gałęzi gospodarki i zapewnieniu miejsc pracy osobom, które ją stracą w wyniku stopniowego zamykania przedsiębiorstw wydobywczych czy elektrowni. Sprawiedliwa transformacja musi przebiegać zgodnie z zaplanowanym wcześniej harmonogramem oraz z udziałem społeczności, której dotyczy. Jednym z kluczowych elementów jest demokratyzacja procesu. Pozwala na lepsze zrozumienie potrzeb ludzi, a samym mieszkańcom daje poczucie sprawczości.

Ramy koncepcji sprawiedliwej transformacji zostały wypracowane w latach 90. w Stanach Zjednoczonych – związki zawodowe branży chemicznej domagały się działań ograniczających szkodliwy wpływ na zdrowie osób zamieszkujących w okolicy zakładów przy jednoczesnym poszanowaniu interesów pracowników. Stało się to podstawą nowego myślenia o pracy i godności ludzkiej. Koncepcja sprawiedliwej transformacji szybko ewoluowała. Kryzys klimatyczny i uwrażliwienie na wyzwania środowiskowe wpłynęły na zmianę definicji i zakresu „sprawiedliwej transformacji”. Zagadnienia ochrony klimatu włączono w szerszy zestaw postulatów związkowców, robotników oraz działaczy społecznych. Idea sprawiedliwej transformacji stanowi obecnie integralną część m.in. wielu dokumentów Unii Europejskiej oraz Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Unijne pieniądze dla Polski

W Polsce pięć regionów węglowych korzysta z unijnego **Funduszu Sprawiedliwej Transformacji** (FST). Komisja Europejska zakwalifikowała do wsparcia Górny Śląsk, Wielkopolskę Wschodnią, subregion wałbrzyski, Małopolskę Zachodnią oraz region Bełchatowa. Ze względu na brak planu działań transformacyjnych do 2030 r. pieniędzy nie otrzymały region Turowa i kopalnia Bogdanka na Lubelszczyźnie.

Fundusz Sprawiedliwej Transformacji to nowy unijny instrument finansowy, który ma wspierać zmiany w regionach węglowych i łagodzić ich negatywne skutki społeczno-gospodarcze. Wielkość Funduszu wynosi 19,2 mld euro. Polskie regiony węglowe są największymi beneficjentami FST – dostały w sumie 3,85 mld euro. Zadaniem Funduszu jest złagodzenie społeczno-gospodarczych skutków transformacji. Są to zarówno przedsięwzięcia gospodarcze, m.in. inwestycje w małych i średnich przedsiębiorstwach, tworzenie nowych firm, badania, rekultywacja terenów pogórnicznych, produkcja czystej energii, jak i działania miękkie, tj. podnoszenie i zmiana kwalifikacji pracowników, pomoc w poszukiwaniu pracy i programy aktywnej integracji osób jej poszukujących.

Utworzenie Funduszu Sprawiedliwej Transformacji zostało ogłoszone w styczniu 2020 r., kiedy na unijną agendę wszedł **Europejski Zielony Ład**. Jest to nowa strategia na rzecz wzrostu, której celem jest przekształcenie Unii Europejskiej w sprawiedliwe, ekologiczne i prosperujące społeczeństwo. Jednym z kluczowych celów jest osiągnięcie do 2050 r. neutralności klimatycznej. Europejski Zielony Ład to całościowy i wielopoziomowy program przebudowy europejskiej gospodarki. Unijne działania i polityki UE będą musiały przyczyniać się do realizacji celów. Jednym z nich jest właśnie sprawiedliwa transformacja.

Mechanizm sprawiedliwej transformacji, którego najistotniejszym elementem jest Fundusz Sprawiedliwej Transformacji koncentruje się na regionach i sektorach, które najsilniej odczują skutki odchodzenia od paliw kopalnych i wysokoemisyjnych procesów. Odchodzenie od węgla prowadzi zwykle do zamykania dużych zakładów pracy, a tym samym do zaburzenia rozwoju lokalnych społeczności i ekosystemów. Sprawiedliwa transformacja wychodzi z założenia, że **możliwe jest godzenie interesów pracowników z celami związanymi z ochroną środowiska naturalnego oraz gospodarki**. Mechanizm ma na celu ochronę obywateli i pracowników poprzez zapewnienie im dostępu do programów pozwalających zdobyć nowe kwalifikacje zawodowe, do miejsc pracy w nowych sektorach gospodarki.

„Chcemy, aby transformacja była sprawiedliwa też dla kobiet. W Bełchatowie jest duże bezrobocie wśród kobiet – 60 procent. Kobiety należy aktywizować, otwierać nowe kierunki kształcenia. Jest jeszcze problem młodych – zaledwie 1 na 8 zostaje w Bełchatowie. Trzeba pilnie zatrzymać odpływającą młodzież” – Marzena Tyl-Czarczasty, Stowarzyszenie „Tak dla Bełchatowa”, fragment wysłuchania obywatelskiego o przyszłości tego miasta.

Długie pożegnanie z węglem

Europejski Zielony Ład i wizja otrzymania wsparcia z Funduszu Sprawiedliwej Transformacji stały się zapalnikami do dyskusji o odejściu od węgla w Polsce. Niestety, jeśli chodzi o terminy wygaszenia kopalń na Górnym Śląsku i w Małopolsce Zachodniej, są one bardzo odległe – ostatnie kopalnie mają być zamknięte dopiero w 2049 roku. Ta data jest pokłosiem tzw. umowy społecznej, którą w 2021 r. polski rząd podpisał z górniczymi związkami zawodowymi, które od węgla chcą odejść jak najpóźniej. Tak jest na papierze, a jak będzie w rzeczywistości? Trudno

prognozować, chociaż wiele wskazuje na to, że z węglem rozstaniemy się prędzej niż później.

Górnictwo związkowe, te z Górnego Śląska i z regionu Turowa, z racji swojej politycznej siły, negocjując daty zamknięcia kopalń, utrzymywały *status quo*, nie pozwalając rządowi Prawa i Sprawiedliwości na ambitne plany transformacji energetycznej. Po zmianie opcji rządzącej w październiku 2023 r. górnicze związki zawodowe nalegają, aby umowa społeczna była jak najpilniej notyfikowana w Komisji Europejskiej. Obecna Minister Przemysłu Marzena Czarnecka zapewnia, że zapisy umowy społecznej się nie zmienią, daty zamykania kopalń pozostaną aktualne i będzie ona jak najszybciej procedowana na poziomie UE.

Warto podkreślić, że nie wszystkie regiony węglowe trzymają się uporczywie eksploatacji węgla „do końca świata i jeden dzień dłużej”. Liderem zmian jest Wielkopolska Wschodnia, która ostatnią kopalnię węgla brunatnego planuje zamknąć do 2030 r. i stać się neutralną klimatycznie już w roku 2040.

„Sprawiedliwa transformacja powinna działać zgodnie ze swoją nazwą. Powinna też mieć ludzką twarz. Tę ludzką twarz powinni okazać parlamentarzyści, rząd oraz lokalni samorządowcy” – Alicja Messerszmidt, działaczka związku zawodowego KADRA z KWB Konin w Grupie ZE PAK, fragment wysłuchania obywatelskiego o przyszłości Wielkopolski Wschodniej.

Nadchodzą „zielone kołnierzyki”

Szansa na duże unijne pieniądze pobudziła wyobraźnię urzędników i decydentów. Każdy zakwalifikowany region chce m.in. inwestować w efektywność energetyczną, odnawialne źródła energii, rekultywację i rewitalizację terenów pogórnich. Każdy region widzi także potrzebę przeszkolenia tysięcy osób odchodzących z górnictwa do nowych zawodów przyszłości. Pośród nich będzie wiele tzw. zielonych kołnierzyków – specjalistów związanych z szeroko rozumianą działalnością w branżach ochrony środowiska, odnawialnych źródeł energii, gospodarki odpadami czy ekologicznego transportu. „Jak wynika z raportu fundacji Lewiatan, w Polsce do 2030 r. ma powstać aż 300 tysięcy «zielonych miejsc pracy». Wiele z nich powinno być ulokowanych w dawnych regionach węglowych, bo bez pracy zostanie tam kilkadziesiąt tysięcy górników” – podkreśla Alicja Piekarz, ekspertka z Polskiej Zielonej Sieci.

Od 2023 roku w urzędach marszałkowskich województw korzystających z olbrzymiego wsparcia Funduszu Sprawiedliwej Transformacji trwają nabory na projekty, które mają rozbudzić potencjał lokalnej gospodarki, aby mogła się jak najbardziej uniezależnić od węgla. Składanych jest wiele projektów dot. rozwoju OZE, zagospodarowania terenów pogórnich czy edukacji w regionach węglowych. Fundusz dopiero co ruszył, więc na ten moment trudno jest ocenić jego efekty. Jedno jest pewne – regiony węglowe robią wszystko, aby sprawić, że będą atrakcyjnym miejscem do życia, również dla młodych ludzi, którzy obecnie z nich uciekają.

„Możemy obudzić się w rzeczywistości, gdzie będziemy mieli nowe drogi, po których nie będzie miał kto jeździć, bo młodzi ludzie stąd wyjadą przez brak perspektyw rozwojowych” – Piotr Czerniejewski, „Młodzi Lokalsi”, fragment wysłuchania obywatelskiego o przyszłości Wielkopolski Wschodniej.

Transformacji nie da się zamieść pod dywan

Transformacji nie da się zamieść pod dywan. Ona już się dzieje. W związku z nadchodzącym spadkiem zapotrzebowania na węgiel kamienny potrzebna jest rewizja umowy społecznej ze związkami zawodowymi i zmiana zapisanych w niej dat zamykania kopalń. Według *think tanku* Forum Energii, datą odejścia od węgla w Polsce powinien być rok 2035. Aby to się stało, a jest to Polsce potrzebne, należy m.in. utworzyć strategię zastąpienia mocy węglowych mocami OZE oraz usprawnić sieci dystrybucyjne, które będą gotowe do przesyłu energii odnawialnej.

Zmiany mogą być jednak bardzo trudne do przeprowadzenia. Wielu górników obawia się, że proces przejścia na bardziej ekologiczne źródła energii może pozbawić ich źródła utrzymania i tym samym wpłynąć na ich życie oraz przyszłość ich rodzin, jak wielokrotnie w przeszłości bywało. Brakuje też wzajemnego zaufania i partnerstwa. Aby je zbudować, niezbędne jest uwzględnienie głosu i potrzeb górników w procesie planowania i wdrażania nowych strategii energetycznych. Dotyczy to zarówno dialogu z Warszawą, jak i z Brukselą.

W szczerych rozmowach na temat transformacji nie pomaga też napięty kalendarz wyborczy. Nie tak dawno wybieraliśmy parlamentarzystów i samorządowców. Teraz Polaków absorbowało głosowanie do europarlamentu, niedługo wybory prezydenckie. Nie jest to dobry czas na trudne politycznie decyzje.

Zwyciężyć mogą jednak argumenty finansowe. Walka toczy się o prawdę olbrzymie pieniądze. Jak wskazuje Polski Instytut Ekonomiczny, scenariusz OZE się opłaca – jego realizacja do 2040 r. będzie kosztowała 963 mld zł, podczas gdy pozostanie przy węglu – 1.357 mld zł. Koszty wydobycia Polskiej Grupy Górniczej rosną z roku na rok, spółka potrzebuje dotacji rządu ponad 5 mld zł, a za kilka lat dojdą jeszcze większe opłaty od emisji. Węgiel już dawno przestał się opłacać.

Negocjacje z górnikami będą trudne, bo to zorganizowana i waleczna grupa zawodowa. Ale jest pole do negocjacji, a otwarte mówienie o końcu węgla to bardziej uczciwe postawienie sprawy, niż tchórzliwe uniki i odsuwanie rozmów *ad calendas graecas*.

Podczas pisania artykułu korzystaliśmy z:

1. K. Duda, *Kiedyś tu było życie. Teraz jest tylko bieda*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2022.
2. P. Kubiczek, M. Smoleń, *Polski nie stać na średnie ambicje. Miliardy złotych oszczędności dzięki szybkiemu rozwojowi OZE do 2030 r.*, Instytut Policy Paper 03/2023.
3. Fragmenty wysłuchań publicznych dotyczących przyszłości Bełchatowa, Górnego Śląska oraz Wielkopolski Wschodniej. ■

Piotr Chałubiński jest politologiem, który interesuje się ekologią, oraz podróżnikiem. Od wielu lat związany z dziennikarstwem (TVP, TVN) i organizacjami pozarządowymi.

Rafał Rykowski – dziennikarz z kilkunastoletnim doświadczeniem w prasie i telewizji. Specjalista ds. komunikacji.

Alina Pogoda – specjalistka ds. sprawiedliwej transformacji. Inżynier górnictwa i geologii, magister inżynierii ekologicznej. Wcześniej współpracowała z Fundacją im. Heinricha Bölla i Fundacją Strefa Zieleni.

Filozof Znanięcki – filozof kultury



Mariola KUSZYK-BYTNIEWSKA

1. Międy filozofią a socjologią

Florian Znanięcki jest postacią dobrze znaną w środowisku polskich i światowych, zwłaszcza amerykańskich, humanistów. Związane jest to z jego życiorysem, co trafnie określone zostało przez profesorów Uniwersytetu Illinois w Urbanie-Champaign na posiedzeniu Senatu 13 X 1958 roku w *Memoriale pośmiertnym*: „Życie Floriana Witolda Znanięckiego łączyło dwie kultury, dwie wysoko uhonorowane kariery akademickie (jedną w Polsce, drugą w Stanach Zjednoczonych) oraz dwie obszerne listy publikacji naukowych (w języku polskim i angielskim)”. Los sprawił, że w 1942 roku został obywatelem Stanów Zjednoczonych, nie rezygnując jednak z obywatelstwa polskiego. Gdy w 1939 roku wracał do kraju z naukowego pobytu w Columbia University, gdzie jako *visiting professor* wykładał na wakacyjnym semestrze letnim, Niemcy napadły na Polskę. Jego statek do kraju nie dotarł, zatrzymany został u wybrzeży Szkocji. Znanięcki powrócił do Stanów Zjednoczonych i pozostał tam do końca życia. Nie chciał bowiem wracać do porządku, który nastał po II wojnie światowej w Polsce, a przed którym przestrzegwał w *Upadku cywilizacji zachodniej*.

Wcześniej, na początku swej kariery naukowej, jako dyrektor biura Towarzystwa Opieki nad Uchodźcami i redaktor pisma „Wychodźca Polski” podjął badania nad polską emigracją zarobkową do Ameryki (Południowej i Północnej) oraz emigracją sezonową do krajów europejskich. W tym czasie poznał Williama I. Thomasa (w 1913 r.), psychologa społecznego, antropologa, socjologa, który prowadził badania nad imigracją do USA i szukając materiałów do badań, trafił do Warszawy. Znanięcki zaprosił go do współpracy, a rok później (w 1914 r.) wyjechał wraz z żoną do Stanów Zjednoczonych. Podczas pobytu tam wydał drukiem współautorskie dzieło (napisane z Thomasem), które stało się kamieniem milowym w metodologii badań socjologicznych – *The Polish Peasant in Europe and America* (5 tomów w latach 1918–1920). Wówczas też opublikował, według mnie najważniejsze, dzieło filozoficzne, *Cultural Reality* (1919). Do tej listy warto dodać inną, ważną pracę Znanięckiego wydaną w Nowym Jorku – *The Method of Sociology* (1934), przetłumaczoną na język polski dopiero w roku 2008. Jako polski uczoney zdawał sobie doskonale sprawę z potrzeby umiędzynarodowienia nauki. Pracując w Polsce, publikował prace w języku angielskim, czego przykładem

¹ Cytuję za Z. Dulczewski, *Florian Znanięcki. Życie i dzieło*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1984, s. 403.

mogą być książki: *The Laws of Social Psychology* (Poznań, 1925) i *Social Action* (Poznań, 1936).

Owa podwójna trajektoria życia uczonego – polska i amerykańska – wpłynęła istotnie na recepcję światową dorobku Znanieckiego. Choć jego filozofia jest ważnym wkładem nie tylko w filozofię polską, ale także i światową, to wiedza o niej w dalszym ciągu jest fragmentaryczna i najczęściej zajmuje marginalne miejsce w podsumowaniach jego dorobku i to zarówno w kraju, jak i poza jego granicami. Filozofia i socjologia Znanieckiego żyją jakby dwoma żywotami, niezależnymi od siebie. Za granicą Polski i socjologowie i filozofowie znają głównie jego dzieła socjologiczne, i to przeważnie te późne, pisane w języku angielskim. Z drugiej strony, choć *Cultural Reality* Znaniecki napisał po angielsku i wydał w Chicago, to książka ta jest tam mało znana. U nas zaś została przetłumaczona przez Jerzego Wociała i wydana dopiero w 1991 roku (*Pisma filozoficzne* t. 2) i też rzadko się do niej nawiązuje w dyskusjach filozoficznych. Dominuje przekonanie, że Znaniecki zaczynał jako filozof, po czym porzucił filozofię na rzecz socjologii, traktując wypracowany przez siebie kulturalizm jako jej podstawę. Prawdą jest jednak to, co sam wielokrotnie stwierdzał, że chciał stworzyć systematyczną, filozoficzną teorię kultury. Wydaje się, że nie brało się to z ambicji utworzenia własnego systemu, a raczej z rozczarowania systemami i poglądami filozoficznymi, jakie znał i studiował. Z drugiej zaś strony, nie znalazł w tych koncepcjach takiego podejścia epistemologicznego, w których dopuszczonoby do głosu ideę jemu bliską: że nauka jest wytworem kultury, że poznanie jest procesem współtworzącym przedmiot poznania. Krytykował i odrzucał stanowisko, dla którego nie znalazł osobnej nazwy, a które Pierre Bourdieu nazywa epistemocentryzmem². Krytycznie oceniał tradycje filozoficzne, na których wspierała się współczesna mu socjologia. Nie był zwolennikiem ani neokantowskiej, ani neopozytywistycznej filozofii, uważał, że zaszczepienie ich na gruncie socjologii nie przyniesie dobrych rezultatów. Z tradycji filozoficznych, które akceptował i którym ulegał sam, był pragmatyzm amerykański, a także „polski idealizm historyczny”³.

Znaniecki podobnie jak Stanisław Ossowski był zatem filozofem, co miało zasadnicze znaczenie dla jego koncepcji socjologicznych. Jednak o ile Ossowski dopiero jako dojrzały uczyony zaangażował się w problematykę socjologiczną, to w przypadku Znanieckiego próba wyodrębnienia w jego twórczości okresu aktywności filozoficznej i odrębnej od niej socjologicznej jest zabiegiem sztucznym. Ossowski rozumiał, że nauki społeczne są odróżnialne metodologicznie i przedmiotowo od nauk przyrodniczych, jednak ostrożność podyktowana przywiązaniem do tradycji filozoficznej, z której się wywodził, tradycji szkoły lwowsko-warszawskiej, nie pozwalała mu rozwijać intuicji zawartych w pracy *O osobliwościach nauk społecznych*. Znaniecki nie tylko rozumiał tę odmienność – „osobliwość”, jak ją określał Ossowski – ale odważnie rozwijał jej teoretyczne konsekwencje. Być może to z kolei uczyniło jego filozofię niezrozumiałą

² Por. P. Bourdieu, L. J. D. Wacquant, *Zaproszenie do socjologii refleksyjnej*, przeł. A. Sawisz, Wydawnictwo Oficyna Naukowa, Warszawa 2001, s. 50.

³ Por. F. Znaniecki, *Rzeczywistość kulturowa*, przeł. J. Wociał, w: idem, *Pisma filozoficzne*, t. 2 op. cit., s. 472.

dla współczesnych. Rozważania filozoficzne traktował jako komplementarne względem naukowych i co najmniej równoprawne co do rangi.

Tak więc Znaniecki znany jest przede wszystkim jako socjolog, zarówno w Polsce, jak i poza jej granicami. Znany jest jako twórca oryginalnych i wpływowych na terenie socjologii teorii (kulturalizm), pojęć (współczynnik humanistyczny) i narzędzi badawczych (opracowana wspólnie z Thomasem metoda autobiograficzna). Ale też jako jeden z pierwszych (obok Karla Mannheima i Maxa Schelera) stał się inicjatorem socjologii – wiedzy i nauki. Znany jest także, choć w węższym zakresie, jako pedagog czy kulturoznawca, ale wciąż mało i pobieżnie jako filozof. Toteż w tym szkicu chcę przedstawić kilka filozoficznych tez Znanieckiego, akcentując ich aktualność, oryginalność i ważkość.

2. Kulturalizm

Znaniecki twierdził, że świat jest dostępny podmiotom w nim uczestniczącym tylko poprzez doświadczenie i działanie, i przyroda, i kultura wydobywane są jako przedmioty z ludzkiej świadomej aktywności. Kulturalizm – filozofia, którą zbudował i konsekwentnie rozwijał – jest stanowiskiem wskazującym na historyczność i względność poznania ludzkiego⁴. Względności nie należy jednak rozumieć tu w sposób zgodny z tradycją i argumentacją relatywizmu epistemologicznego, gdyż uzasadnieniem względności poznania są dla niego tezy ontologiczne, dotyczące człowieka, jego sposobu bycia i poznania oraz działania w świecie. Tym samym kulturalizm stoi w opozycji do fundamentalizmu epistemologicznego głoszącego uniwersalność i ponadczasowość fundamentów poznania, sposobów dochodzenia do tych wartości i metod. Znaniecki pisał: „Nie ma żadnych absolutnych początków, żadnych podstawowych prawd, które filozof może znaleźć w punkcie wyjścia swojej refleksji...”⁵. Kulturalizm jest też stanowiskiem antypsychologistycznym, antyidealistycznym i antynaturalistycznym⁶. Oznacza to pogląd, iż nie da się sprowadzić przejawów życia społecznego do przeżyć psychicznych, ani nie da się ich wyjaśnić za pomocą metodologii żadnej psychologii. Zarazem – i wbrew idealistom – głosił, że ludzka wiedza jest względna i nie da się dla niej ustanowić absolutnych standardów: „Idealistyczne teorie dawnego typu powstają w niezgodzie z doświadczeniem, ponieważ w ich pojęciu duch – indywidualna świadomość lub ponadindywidualny rozum – jest absolutny i niezmienny, podczas gdy historia pokazuje, że jest on względny i zmienny”⁷. Kulturalizm domaga się także odrębnego statusu wiedzy o kulturze: „Cały nasz świat, bez żadnych wyjątków, jest przesiąknięty kulturą [...] Z kręgu kultury nie ma wyjścia”⁸. „Człowiek obecny nie jest wytworem ewolucji przyrody, lecz

⁴ Współcześnie takie stanowisko jest dosyć powszechnie przyjmowane także wśród filozofów, którzy uznają historyczność za cechę charakteryzującą nie tylko humanistyczne nauki idiograficzne, ale też nauki przyrodnicze. Znaniecki wydaje się bardziej ostrożny, czy mniej radykalny, mówi bowiem o historyczności jako o wyróżniku przedmiotu nauk humanistycznych.

⁵ F. Znaniecki, *Rzeczywistość kulturowa*, op. cit., s. 502.

⁶ Por. ibidem, s. 493, 500 oraz F. Znaniecki, *Elementy rzeczywistości praktycznej*, w: idem, *Pisma filozoficzne*, t. 1, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1987, s. 92–93 i nast.

⁷ Znaniecki, *Rzeczywistość kulturowa*, op. cit., s. 493.

⁸ F. Znaniecki, *Elementy rzeczywistości praktycznej*, op. cit., s. 92–93.

przeciwnie – przyroda obecna jest w dużej mierze przynajmniej wytworem kultury ludzkiej...”⁹.

Co ważne, Znaniecki nie uległ antymetafizycznemu nastawieniu współczesnych mu myślicieli (filozofów i socjologów). Odchodzi od teoriopoznawczej perspektywy problematyzacji głównych zagadnień nauk o kulturze na rzecz myśli ontologicznej, właśnie po to, by te problematyzacje poddać rewizji¹⁰. Widzi bowiem w tej myśli zasadniczo konstruktywną ideę wobec fatalnej alternatywy między pozytywizmem a transcendentalizmem – dominującymi, także w naukach społecznych, nurtami filozofii początku XX wieku. Stanowisko Znanieckiego w tych kwestiach zawarte jest przede wszystkim w teorii „rzeczywistości konkretnej” – wyrażającej tezę o sposobie istnienia przedmiotu, poznania nauk o kulturze, w koncepcji „współczynnika humanistycznego” – ontologicznej i epistemologicznej tezy dotyczącej sposobu istnienia i właściwego sposobu badania przedmiotu nauk o kulturze oraz w „teorii działania”, stanowiącej kulturalistyczną koncepcję podmiotowości.

Kulturalizm Znanieckiego jest onto-epistemologiczną teorią rzeczywistości społecznej, a jego koncepcja współczynnika humanistycznego wskazuje na związek sposobu istnienia przedmiotów badania nauk o kulturze z możliwością ich poznania. Znaniecki pisze:

„Przeгляд porównawczy zamkniętych systemów, jakimi muszą zajmować się rozmaite specjalistyczne nauki, ukazuje zasadniczą różnicę między dwoma głównymi typami systemów: *naturalnymi* i *kulturowymi*. Różnica ta dotyczy zarówno składu, jak i struktury systemów, a także charakteru ich elementów oraz sił, które je spajają. [...] Różnica dotyczy roli, jaką ludzkie doświadczenie i działalność odgrywają w świecie realnym. [...] różnica nie wynika z postawy uczonemu, lecz wyłącznie z charakteru samej rzeczywistości, z tego, jak przedstawia się ona uczonemu, gdy ten uczyni z niej przedmiot bezosobowego badania. Systemy naturalne przedstawiają się uczonemu obiektywnie, tak jakby istniały niezależnie od doświadczenia i działalności ludzi. Układ planetarny, geologiczny skład i struktura skorupy ziemskiej, związek chemiczny, pole magnetyczne, roślinna i zwierzę są takie, jakimi jawią się badaczowi bez jakiegokolwiek udziału ludzkiej świadomości; z punktu widzenia nauki byłyby dokładnie takie same, gdyby ludzie nie istnieli [...] Bardzo odmienne wydają się tak bezsprzecznie kulturowe systemy, jak te, z którymi mają do czynienia badacze języka i literatury, sztuki, religii, nauki, gospodarki, techniki przemysłowej czy organizacji społecznej. Mówiąc ogólnie – badający odkrywa, że każdy system kulturowy istnieje dla pewnych świadomych i czynnych podmiotów historycznych, tzn. w sferze doświadczenia oraz działalności pewnego określonego ludu, jednostek i zbiorowości, żyjących w określonej części ludzkiego świata w określonej epoce historycznej. [...] Słowem, dane badacza kultury są zawsze »czyjeś«, nigdy »niczyje«. Tę zasadniczą cechę danych kulturowych nazywamy *współczynnikiem humanistycznym*, takie bowiem dane, jako przedmioty refleksji teoretycznej badacza, należą do czynne-

⁹ F. Znaniecki, *Rzeczywistość kulturową*, op. cit., s. 500.

¹⁰ Zwrot ontologiczny miał miejsce dużo później, jednakże u Znanieckiego możemy znaleźć inicjatywę podobnego myślenia.

go doświadczenia kogoś innego i są takie, jakimi to czynne doświadczenie je uczyniło”¹¹.

Według Znanieckiego specyfika nauk o kulturze polega na tym, że przedmioty ich badania, jako rezultaty obiektywizującej aktywności poznawczej istot ludzkich, są już wcześniej określone przez to, że są dane jakimś podmiotom (bądź jako korelaty ich świadomości, bądź jako wytwory ich czynnej, praktycznej działalności) i z tego właśnie tytułu należą do takich, a nie innych systemów przedmiotowych. Innymi słowy, przedmioty nauk o kulturze posiadają współczynnik humanistyczny, co oznacza, że są one dane badaniu zawsze jako „współdane”. Jeszcze inna świadomość, różna od tej, jaką jest świadomość badacza, może je przeżywać lub aktualnie je przeżywa zgodnie z sensem określonym w ładzie aksjonormatywnym kultury. Koncepcja współczynnika humanistycznego jest więc przede wszystkim wnioskiem Znanieckiego z rozważań na temat sposobu istnienia rzeczywistości kulturowej, a z tego wynika, że jest także, ale jako konsekwencja, dyrektywą metodologiczną formułującą regułę badania kultury.

„Rzeczywistość konkretna” stanowi fundament wszelkich opozycji, z jakich wyłania się kultura, jako to, co podmiotowo-korelatywne: przedmiot poznania i działania. Rzeczywistość konkretna jest zarówno „środowiskiem naturalnym” dla ludzkiego działania i doświadczenia, jak i środowiskiem aktywności intelektualnej, prowadzącej do wysoce abstrakcyjnych, będących produktami refleksji tworców teoretycznych, jest ośrodkiem działania praktycznego, a także oparciem dla urzeczywistniania myśli.

A zatem zdaniem Znanieckiego tym, co odróżnia nauki humanistyczne od przyrodniczych jest przede wszystkim specyfika sposobu istnienia ich przedmiotu: fakty kulturowe odróżniają się od przyrodniczych tym, że oprócz treści mają dodatkowy składowy moment – są to wartości.

Pojęcie „treści” jest jednym z najbardziej podstawowych pojęć filozofii Znanieckiego, oznacza niezróżnicowaną jedność sensów, empirycznych danych doświadczenia, które obiektywizują się w doświadczeniu i działaniu, tworząc przedmioty. Znaniecki pisze: „Nazywamy treścią (*content*) to, co konstytuując przedmiot jako temat refleksji, jest jednocześnie dane w przebiegu doświadczenia, które jest również tematem refleksji, przekracza zatem granice własnej obecności tu i teraz”¹². Treść jest zatem tym, co jako przedmiot obiektywizuje się w doświadczeniu i działaniu. Treść nadaje przedmiotowi znaczenie. Stanowi zatem o tym, jak działanie i doświadczenie upora się z jej obecnością „tu i teraz”. Staje się przedmiotem rzeczywistym, gdy z inną treścią wchodzi w relację reprezentowania, gdy staje się treścią znaczącą. Znaczenie – według określenia Znanieckiego – jest „sugestią odtworzenia w aktualności związku, jaki został ustanowiony między tym przedmiotem a innymi, gdy sugestia ta ukazuje się jako ugruntowana w naturze tego przedmiotu jako takiego”¹³. Związek znaczenia gwarantuje swego rodzaju minimum egzystencjalnej określoności przedmiotu, minimum realności i obiektywności, a więc minimum podatności na doświadczenie i działanie. Bycie rzeczywistym oznacza dla Znanieckiego bycie w związku znaczenia,

¹¹ F. Znaniecki, *Metoda socjologii*, przeł. E. Hałas, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2008, s. 65–68.

¹² F. Znaniecki, *Rzeczywistość kulturowa*, op. cit., s. 545.

¹³ Ibidem, s. 518.

gdzie aktualna treść, która jawi się w doświadczeniu reprezentuje transaktualny przedmiot. A zatem wartość różni się od rzeczy tym, że posiada zarówno daną treść, która odróżnia ją jako empiryczny przedmiot od innych przedmiotów, jak i znaczenie, przez które sugeruje ona inne przedmioty – te, z którymi była czynnie powiązana w przeszłości, podczas gdy rzecz nie ma znaczenia, a wyłącznie treść, i oznacza tylko siebie samą.

Znanięcki rozumie, że to, co w humanistyce było całkowicie uprawnione, sankcjonowane praktyką badawczą, głównie jako nadawanie (interpretowanie), a nie odczytywanie znaczeń, dla przyrodników było przeszkodą epistemologiczną. Wieloznaczność jawiła się jako wada z chwilą powstania nauk przyrodniczych, które za wartościowe uznawały tylko części najbardziej elementarnego sensu, wypreparowanego z symboli i poznania przednaukowego. „Znaniękowość” takich słów jak: „ziemia”, „ogień” itd., szukała na terenie tych nauk coraz większej jednoznaczności. I ta intencja stworzyła nauki przyrodnicze, które ogołociły wodę i ogień z mitologicznych, religijnych i psychologicznych konotacji, w których lokowało się humanistyczne doświadczenie świata.

3. Znanięcki onto-epistemolog

Zgadzam się z wciąż aktualnym stwierdzeniem Znanięckiego, którego uznaję za prekursora stanowiska onto-epistemologicznego, iż rzeczywistość społeczna istnieje zawsze jako czyjaś, co znaczy, że badając jej aspekt społeczny, musimy uwzględniać współczynnik humanistyczny, czyli fakt (współ)bycia, (współ)poznania i (współ)działania. Nie da się stworzyć sensownej teorii społecznej, abstrahując od tego, że rzeczywistość społeczna jest (współ)tworzona i (współ)podtrzymywana przez aktorów społecznych, którzy są nie tylko podmiotami poznania, ale przede wszystkim podmiotami działania – ontycznie umiejscowionych we wspólnotach, kulturach, językach, mówiąc *grosso modo* w praktykach (współ)konstituowania.

Onto-epistemologia społeczna to rodzaj namysłu nad naukami społecznymi (i humanistycznymi), który zakłada, że zasadniczą cechą wspólnego życia społecznego jest aktywne uczestnictwo w tym życiu różnych form poznania. W związku z tym onto-epistemologia społeczna próbuje odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób aspekt poznawczy kształtuje to, czym są podmioty społeczne, czyli podmioty działania, co w dzisiejszym dyskursie nauk społecznych określa się terminem „aktorzy społeczni”. Ta zmiana intencji badawczej jest znacząca dla myśli Znanięckiego, główną bowiem cechą przedmiotu badań nauk społecznych, czyli aktywność ludzką, działanie i poznanie, które przecież też jest czynnością, traktuje on łącznie. Sednem propozycji, jaką jest dyskurs onto-epistemologii, jest zatem uwzględnienie ontycznych właściwości przedmiotów nauk społecznych – tego mianowicie, że są one tkanką społeczną tworzoną z działań podmiotów. Wiedza, jaką dysponują aktorzy społeczni, niezbywalnie uczestniczy w konstituowaniu ich jako podmiotów. Podmiot poznania jest jednocześnie przedmiotem poznania i onto-epistemologia pokazuje, że to najlepsza droga filozoficznej problematyzacji nauk społecznych. Poznanie jest bowiem ontycznym wymiarem bycia człowieka. To moja lekcja wyciągnięta z filozofii Znanięckiego. ■

Autorka jest socjolożką, filozofką, dr hab. nauk humanistycznych, adiunktką Instytutu Filozofii Wydziału Filozofii i Socjologii UMCS.

ŚWIADECTWA

Wygnaniec a „kieszonka przynależności”.

Dwie biografie Zygmunta Baumana



Jadwiga MIZIŃSKA

1.

Mentalność potoczna uwielbia myślenie dwubiegunowe, w zamian nie znosi wszelkich niuansów. Tam, gdzie napotyka jakąkolwiek wątpliwość, stosuje metodę miecza Damoklesa. Wątpliwości i ambiwalencja rozstrzygane są na zasadzie radykalnego *albo, albo*. Na jednym krańcu sytuuje się „to, co swoje”, na drugim – „to, co obce”. Ważną rolę pod tym względem pełnią tu zaimki dzierżawcze: moje – twoje, nasze – wasze, swoje – nieswoje (czyli cudze).

Relacja przynależności odpowiadająca na pytanie: „Czyje to jest?” dotyczy nie tylko przedmiotów fizycznych, ale również spraw umysłowych i intelektualnych, np. moja opinia, mój światopogląd, nasza wiara, nasza ojczyzna. Przynależność jest relacją między częścią i całością. To, co „swoje” – wyklucza „cudze”. Nie jest to jednak stosunek pozbawiony aksjologii, świadczy o tym stopniowanie doznań i poczucia bliskości danego obiektu, jak w powiedzeniu: „bliższa ciału koszula”.

Sam fakt istnienia relacji między „bliskim i dalekim” ma ważny wymiar dla orientacji czasoprzestrzennej, jednak nakłada się na niego również aspekt psychologiczny, społeczny i polityczny; wszystkie one decydują o głębokich różnicach międzysobniczych. Relacja przynależności z jednej strony „przygarnia” swoich, z drugiej zaś „odrzuca” innych.

Warto zestawić określenia z tym związane. Zaczniemy od pojęć, które opisują „przygarnianie”. Są to słowa: *bliźni, sąsiad, krewny, rodak, krajan* czy gwarowy *swojak*. Te słowa włączają jednostkę do jakiejś bliskiej wspólnoty. Wyliczmy także określenia z drugiej serii: *cudzoziemiec, uciekinier, emigrant, imigrant, zesłaniec, bieżeńiec, uchodźca, banita* czy *wygnaniec*. Na pograniczu tych dwóch serii znajduje się określenie *przybysz* – w jego treści kryje się rodzaj ciekawości pomieszanej z nadzieją, że dana osoba może zostać nawet naszym przyjacielem. Ktoś, kto przybywa – czy to na czas określony, czy na stałe – jest pełen zagadek, jednych odpycha, innych pociąga. Zwykle jednak niepokoi. Niekiedy przypisuje mu się miano dziwaka albo odmieńca.

2.

Do takich refleksji skłaniają mnie różne prace poświęcone Zygmuntowi Baumanowi szczególnie biografia Artura Domosławskiego *Wygnaniec. 21 scen z życia Zygmunta Baumana* oraz Izabeli Wagner *Bauman. Biografia*. Ich lektura ułatwia kontaminację wszystkich powyższych określeń.

Domosławski wybrał na tytuł swojej książki ekspresyjne słowo *wygnaniec*, którego scharakteryzował w 21 scenach z życia bohatera swojego studium.

Rodzi się pytanie o to, co uzasadnia taki tytuł książki, by ponad dziewięćdziesięcioletni żywot (1925–2017) podsumować jednym słowem? Aby odpowiedzieć, sięgnijmy również do biografii Baumana napisanej przez Izabelę Wagner. Tu na 700 stronach znajdujemy szczegółowe kalendarium życia filozofa, zebrane w następujących rozdziałach:

- Szczęśliwe dzieciństwo w trudnych „okolicznościach”,
- Uczeń *outsider*,
- Uchodźczy los,
- Na radzieckiej ziemi,
- Rosyjski *exodus*,
- Święta wojna,
- Oficer Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego,
- „Człowiek w społeczeństwie socjalistycznym”,
- Życie młodego adepta nauki,
- Lata nadziei,
- Antyromans z bezpieką,
- Rok 1968,
- Erec Izrael,
- Brytyjski profesor,
- Intelktualista przy pracy,
- Globalny uczony.

Do tej kalendarzowej „ściągawki” można byłoby także załączyć mapę podróży Zygmunta Baumana, która obejmuje kilkanaście krajów. Poczynając od Polski, przez Związek Radziecki, Izrael, Wielką Brytanię, nie licząc wielu wyjazdów profesora na światowe i krajowe konferencje. W innych krajach Bauman przebywał w coraz to innym charakterze: przybysza, uchodźcy, migranta, wygnańca, osoby „wyklętej” czy też podziwianego przez wielu celebryty.

We fragmencie recenzji tej publikacji profesor Joanna Tazbir-Bakir pisze:

„Doskonała biografia Zygmunta Baumana pióra Izabeli Wagner to historia intelektualna naszych czasów opowiedziana na przykładzie perypetii człowieka, którego krajowa scena wypchnęła, bo do niego nie dorosła”.

Do listy powyżej wymienionych określeń dochodzi więc jeszcze jedno słowo: *wypchnięty*. Podczas gdy *wygnaniec* kojarzy się z jednoznacznym gestem przemocy, to *wypchnięty* sugeruje rodzaj zмовy prześladowców o nieczystych sumieniach. W każdym z tych pojęć, pełnych złych emocji, pobrzmiewa echo przemocy czy wręcz gwałtu.

Gdy śledzimy koleje życia Baumana, zarówno sytuacje przyjemne, jak i niesłychanie dramatyczne, opisane w monumentalnych biografiach Domosławskiego i Wagner, mamy wrażenie, iż był on człowiekiem mocno poturbowanym przez swój los wygnańca i banity. Tymczasem jedna z recenzentek, profesor Sheila Fitzpatrick widzi to zgoła inaczej:

„Uderzyło mnie jeszcze coś; to, że po wszystkich tych trudnościach i wygnaniach, Bauman nie tylko uparcie odrzucał rolę ofiary, lecz także udało mu się osiągnąć rzadki status – przynajmniej w przypadku interesujących biografii – człowieka szczęśliwego”.

Wedle Władysława Tatarkiewicza, autora klasycznego traktatu *O szczęściu*, to kluczowe pojęcie ma niezliczoną liczbę aspektów i wymiarów. Ostatecznie o jego sensie decyduje osobiście wypracowana postawa. Można bowiem być jedynie biernie „zdany na los szczęścia”. Albo też aktywnie przeciwstawić się nieszczęściu, a nawet wliczyć nieszczęście do końcowego bilansu własnego życia. Tak, jak to uczynił Tatarkiewicz w swoich *Wspomnieniach*, pisząc, że wszystkie złe przygody w ostatecznym rachunku „wyszły mu na dobre”. Zatem o wszystkim przesądza chęć rozumienia sensu własnego życiowego doświadczenia, jakie zyskujemy dzięki retrospekcji. Nie wystarczy bowiem po prostu przeżyć życie, trzeba je ponadto przemyśleć.

Maria Janion zastąpiła sentencją: „Żyjąc – tracimy życie”. Ten błyskotliwy paradoks daje się rozwiązać wtedy, gdy nie odróżniamy życia jako zwykłego trwania biologicznego od życia duchowego. Innymi słowy – od istnienia w popperowskim trzecim świecie, gdzie kumuluje się esencja czyjejs osobowości. Andrzej Nowicki, polski filozof i twórca inkontrolologii (teorii spotkań) twierdzi, że po śmierci istniejemy w kulturze w postaci „wdzielowstąpienia”. Innymi słowy – istniejemy w utrwalonych dziełach kultury, w nauce, sztuce czy w wynalazkach technologicznych przesiąkniętych twórczą myślą.

3.

Dorobek naukowy Zygmunta Baumana oceniany jest często przez wielu jako wkład do teorii postmodernizmu, a szczególnie jego wariantu nazywanego często przez autora „płynną nowoczesnością”. Zwykle na drugi plan schodzi jego „socjologia rozumiejąca”. Tymczasem ów moment rozumienia, tego, co sam Bauman jako człowiek doświadczył, pozwoliło mu na dystans do własnych dramatów osobistych czy politycznych. Postawa rozumiejąca nie oznacza po prostu jednorazowego aktu z r o z u m i e n i a, ale również spojrzenie z boku i przyjrzenie się niejako z góry, z perspektywy długiego trwania. Krótko mówiąc, oznacza długotrwały proces, pełen pomyłek i sprostowań. Bywa tak, że człowiek w pewnym momencie orientuje się, iż sam sobie nieświadomie narzucił fałszywy obraz jak w znanym wierszu Juliana Tuwima *Erratum*.

Te wszystkie pomyłki i samozakłamania oraz ich korygowanie składają się na pełną panoramę naszej psychiki i na głębię nie tylko świadomości, ale również podświadomości. Całość naszego istnienia ujęta z poziomu meta przypomina przeczytaną księgę, do której dodano liczne aneksy i uzupełnienia, księgę wymagającą nieustannej egzegezy.

W tym kontekście pojawia się często forma wypowiedzi nazywana wyznaniem, przykładem mogą być rozważania świętego Augustyna. Są one dla autora formą spowiedzi, przyznawania się do przewinień i różnych grzechów. Głównym celem takich wyznań bywa chęć samozrozumienia, polegającego na refleksji nad własnymi czynami. Sensem czynienia wyznań jest także ich wysłuchanie przez innych, empatycznych ludzi. W końcu nawet ci, którzy nie mają sobie nic do zarzucenia, też popełniają grzech – grzech pychy. Fiodor Dostojewski nawołuje do pokory i współczucia: „Wszyscy jesteśmy biedni, wszyscy jesteśmy winni”.

4.

Autorzy obydwu biografii Zygmunta Baumana przedstawiają nie tylko chronologiczny zapis jego działań i zaniechań, ale podają też informacje o kontekście, w jakim miały one miejsce. Cenną dokumentacją okazały się

w tym względzie materiały autobiograficzne, wykorzystane przez Iza-
belę Wagner, a zwłaszcza jej wywiady „na żywo” oraz tzw. manuskrypt,
spisany i przekazany przez profesora córkom. W tym osobistym doku-
mencie opisał on różnorakie – miłe i przykre – przeżycia z młodości oraz
traumatyczne wypadki w rodzinie. Jednym z takich wydarzeń była nie-
udana próba samobójcza ojca Zygmunta, Maurycego Baumana.

W osobie ojca Baumana poznajemy młodego, utalentowanego czło-
wieka, który marzył o spokojnej kontemplacji i rozmyślaniu o sensie ży-
cia, jednak z przyczyn materialnych musiał zadowolić się posadą kupca.
Urodzony jako polski Żyd, Maurycy utożsamiał się ze swoim narodem,
był Izrealitą mieszkającym w Polsce, ale kochającym polską kulturę,
zafascynowanym polskim językiem i myślącym po polsku. Gdy rodzi-
nie Baumanów przyszło uciekać przed hitlerowskimi najeźdźcami do
Związku Radzieckiego (do miasta Gorki), Maurycy wręczył Zygmuntowi
na drogę list, który skłonił syna do nieustającej refleksji:

„To był list pełen miłości. Rozstawałem się teraz z rodzicami, zaczyna-
łem inne, samodzielne życie – Ojciec pragnął, bym wiedział, co czuł do
mnie przez wszystkie te lata, jaką rolę odgrywałem w jego życiu i jakiego
wymarzył sobie mnie w przyszłości. Nie zabrakło też w liście ojcowskiej
rady, mądrości życiowej, którą Ojciec chciał się podzielić z synem. To
był jedyny kapitał, jaki mógł zostawić w spadku. Jego jedyny podarunek.
«Pamiętaj – pisał – twój naród i tylko twój naród może docenić ciebie
i twoją pracę. Pamiętaj: jesteś Żydem, należysz do żydowskiego narodu»”.

To jedno jedyne zdanie na zawsze utkwiło w pamięci Zygmunta jako
„przykazanie” dane mu przez ojca, z którym potem zmagał się próbując
zaakceptować jego treść:

„Mój naród? Kto to jest mój naród? I dlaczego mój? Dlaczego po pro-
stu, że do niego należę? A czy muszę należeć? I czy naprawdę chcę nale-
żeć? A jeżeli chcę gdzieś należeć, dlaczego musi to być naród – coś, dokąd
zostałem przypisany bez własnego udziału, wskutek selekcji dokonanej
przez innych ludzi? I po co ta selekcja? Selekcja to odrzucenie, podział,
antagonizm – dokładnie to, co przysparzało mi cierpienia i budziło we mnie
odrazę. Nie mogłem wiedzieć, czy Żydzi byli pod tym względem inni niż
inne «narody». Żydów deptano i pogardzano nimi, lżono ich, prześladowa-
no, a przecież byli nieugięci, nie poddawali się i pozostawali wierni sobie,
nigdy nie ulegli pokusie wyparcia się swojej tożsamości, nawet gdy ich do
tego zachęcano, obiecując nagrodę w postaci lepszego życia. Z tych przy-
czyn zasługiwali na głęboki szacunek. Jednakże przez co najmniej półtora
wieku to samo odnosiło się do Polaków – a przecież z chwilą, gdy odzyskali
niepodległość i znów poczuli się w domu, zaczęli pogardzać i traktować
z pogardą, lżyć i prześladować Ukraińców, Białorusinów, Żydów – każdego,
kto był pod ręką, na tyle blisko, by otrzymać przydział cierpienia.

A może Żydzi robiliby dokładnie to samo, gdyby dano im szanse? Nie
życzyłbym sobie do nich «należeć», kiedy – przekonani o swojej świeżo
uzyskanej sile, sile pięści i miecza raczej niż idei albo czystości sumienia
– zaczęli raptownie zapominać o tym, czego ich naucza ich własny Tal-
mud, ta księga mądrości dla pokornych i cierpiących. Kiedy zapomną, że
człowiek «powinien zawsze do tropionych, a nie tropiących» i że lepiej

jest «być przeklętym niż tym, co przeklina». Kiedy przestaną słuchać starego mądrego Raby? Kiedyś przyszedł do Raby i powiedział: «Władca mojego miasta rozkazał mi zabić pewnego człowieka, jeśli odmówię – zginę». Raba odpowiedział: «Daj się zabić, a nie zabijaj. Czy sądzisz, że twoja krew jest czerwiejsza niż jego? Możliwe, że jego krew jest czerwiejsza niż twoja»¹.

5.

Nieodparcie nasuwa się tu porównanie Maurycego, ojca Zygmunta, do postaci Ojca Jakuba, którego syn Bruno Schulz przedstawił jako Mistagoga zamieszkującego Regiony Wielkiej Herezji. Tak jeden, jak i drugi, wyrastają ponad popospolitość. Ojciec Zygmunta dał mu na drogę życiową pewne przykazanie, nad którym się bez przerwy zastanawiał. Mimo całej synowskiej miłości, młody Bauman nie był w stanie pozbyć się zwątpienia w ojcowską radę. Była ona bowiem swojego rodzaju dogmatem. Dogmatem przynależności do jednego tylko narodu. Taki stosunek przynależności zakłada bezalternatywność i zarazem jednoznaczną tożsamość. A tym samym ograniczenie wolności wyboru, która przecież jest jedną z najwyższych ludzkich wartości, podkreślającą autonomię i potrzebę samostanowienia.

Kto wie, czy Zygmunt Bauman – socjolog rozumiejący – swojej koncepcji płynnej rzeczywistości nie stworzył przeciwko dogmatowi bezwzględnej przynależności do jakiegoś jednego „wybranego narodu” albo „wybranego systemu”? Wprawdzie płynność ma wiele wad, ale w zamian znosi wszelkie sztywne ramy i nieprzekraczalne granice. Ponadto pomniejsza wszelkie zgrubienia na węzłach, pozwala na elastyczność relacji między „swoimi” i „obcymi”. Łagodzi „nieprzejezdane” spory i animozje. Zapobiega wrogości, otwiera na różnice, a przez to sprzyja tolerancji. W epoce globalizacji, chcąc nie chcąc musimy przyjmować jednakowe standardy, choćby tylko ekonomiczne i administracyjne. Między Scyllą unifikacji a Charybdą indywidualizacji rozciąga się wszakże obszar różnorodności, przynajmniej prywatnej. Tym bardziej, iż tendencja multikulturowości przyciąga współczesną młodzież, obiecując jej uczestnictwo we wspólnocie kulturowej i obyczajowej.

Przekleństwo jednorodności ulega zawieszeniu dzięki zdobyczom *New Age*, które dopuszczają wszelkie mieszaniny religijne, wyznaniowe, językowe czy stylistyczne. Oczywiście, nawet w całkowicie upłynnionej rzeczywistości pojawia się potrzeba znalezienia sobie jakiegoś azylu trwałości. Niszy, gdzie dana osoba czuje się bezpieczna i kochana.

6.

Janina Bauman, pierwsza żona Zygmunta, kiedyś w rozmowie ze mną użyła określenia „kieszonka przynależności”. Miała przy tym na myśli grono naszych wspólnych przyjaciół m.in. z Lublina, gdzie spotkaliśmy się podczas konferencji i z okazji spotkania z czytelnikami jej opowiadań. W wymianie korespondencji często wspominała Lublin jako „miasto serdeczne”, przyjazne dla przybyszów. „Kieszonka przynależności” – tak właśnie nazwana przez autorkę *Zimy o poranku*, wspomnień z dzieciństwa w cieniu Holocaustu, w moich oczach stanowi rozwiązanie dylematu: „wygnaniec na obczyźnie” kontra „przybysz do lokalnej ojczyzny”.

¹ I. Wagner, *Bauman*, Warszawa 2021, s. 102–103.

Bezsprzecznie, każdy człowiek potrzebuje przynależności do jakiejś wspólnoty, czy to rodzinnej, czy narodowej, ale nie może ona nikogo determinować w sposób ostateczny. W pewnym momencie dorosły już człowiek powinien przerwać pępowinę i rozpocząć życie na własny rachunek. Witold Gombrowicz nieco ironicznie domagał się, by zastąpić Ojczyznę – Syncyzną.

Cyprian Kamil Norwid pisał: „Ojczyzna to zbiorowy obowiązek”. To prawda, jednak każdy podmiot zbiorowy składa się z jednostek, którym przysługuje prawo posiadania indywidualnych rysów, odrębnych charakterów, a nade wszystko – swoboda wyboru. Bez tego byłibyśmy tylko manekinami w teatrze kukiełkowym. Sfera uczuć, przytłumiona przez instynkt zbiorowy, wyrodnije i ulega patologii.

Ojcowskie przykazanie: „Pamiętaj, jesteś Żydem, należysz do żydowskiego narodu!”, dla Zygmunta Baumana oznaczało brak wyboru, zamknięcie perspektywy, zatrzaśnięcie bramy. Tymczasem tożsamość człowieka nie musi być ciasną klatką. Nie jest bowiem substancjalna, winna podlegać procesom rozwoju, w którym jest miejsce na wielość jej postaci. Tożsamość nie musi też być „takożsamością”, powieleniem standardu. Ma w sobie potencjał do wielorakości. Tego się właśnie domagał Julian Tuwim, protestując przeciwko antysemitom: „O tym, kim jestem – Żydem czy Polakiem, decyduję sam!”.

Dlatego też przynależność jest również kwestią własnej woli. Sami wybieramy swoją „kieszonkę przynależności” tak jak Janina Bauman. Odrzucając przynależność narzuconą przez innych, zwłaszcza nietolerancyjnych i wrogich.

Z takiej wspólnoty wybranych przyjaciół, wypróbowanych przez życie, nie sposób uczynić „wygnańców”. Zarówno Zygmunt, jak i jego żona Janina, mówiąc słowami Adama Michnika „dorośli do swojej biografii”. Osiągnęli status człowieka szczęśliwego.

Przypomnijmy raz jeszcze uwagę Tatarkiewicza o bilansie życiowym. Nawet o czyjejś dramatycznej biografii wystarczy wnieść erratę i zamiast „rozpaczy” wstawić „miłość”.

Korzystałam m.in. z następujących pozycji:

Artur Domosławski, *Wygnaniec. 21 scen z życia Zygmunta Baumana*, Wielka Litera, Warszawa 2021, 906 stron.

Izabela Wagner, *Bauman. Biografia*, Czarna Owca, Warszawa 2021, 837 stron. ■

Hieronim Kubiak w mojej pamięci



Jerzy J. WIATR

Poranny telefon z wiadomością o śmierci (21 kwietnia) Hieronima Kubiaka nie był dla mnie zaskoczeniem. Hieronim ciężko i długo chorował, gaśł w oczach. W obliczu tej śmierci przed oczyma stanęła mi bardzo długa historia naszej przyjaźni – jednej z najwspanialszych, jakie dał mi los.

Hieronima poznałem w czasie mojej kilkuletniej pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdy po ukończeniu (w 1956 roku) filologii rosyjskiej podjął studia socjologiczne, które ukończył w 1964 roku. Wcześniej, w roku 1961, został asystentem w Katedrze Etnografii Ogólnej i Socjologii kierowanej przez profesora Kazimierza Dobrowolskiego. W ramach tej katedry stworzono dla mnie niewielki Zakład Teorii Rozwoju Społecznego i Socjologii Polityki, w którym był jednym z dwóch asystentów. Tak zaczęła się nasza znajomość, bardzo szybko przemieniona w bliską przyjaźń. Już po moim odejściu z Krakowa Hieronim doktoryzował się w 1968 roku i habilitował w 1972, a w 1979 otrzymał tytuł profesora.

W tych latach Jego zainteresowania naukowe ewoluowały. Pierwszy artykuł naukowy opublikował w 1959 roku na łamach „Euhemera”. Poświęcony był światopoglądowi polskich ateistów. Zainteresowanie postawami wobec religii i ateizmu znalazły wyraz w kilku jego wczesnych publikacjach, a w dojrzałej postaci – w pracy doktorskiej poświęconej Polskiemu Narodowemu Kościołowi Katolickiemu w USA i w rozprawie habilitacyjnej dotyczącej zjawiska religijności w kontekście ruchów migracyjnych ze wsi do miasta. W kolejnych latach zainteresowania badawcze Kubiaka przesunęły się w stronę badań polonijnych, co między innymi znalazło wyraz w stworzonym przez Niego, prężnym i bardzo wartościowym, Ośrodku (później Instytucie) Badań Polonijnych i w redagowaniu „Przeglądu Polonijnego”. W następnych latach w centrum zainteresowań badawczych profesora Kubiaka znalazły się problemy narodu – najpierw w postaci monografii poświęconej narodzinom narodu amerykańskiego, a następnie porównawczej pracy o problemie narodowym w „erze postwestfalskiej” (2007). Już po zmianie systemu podjął ciekawe badania nad partiami politycznymi i zachowaniem politycznym. Ten szeroki tematycznie i bardzo wartościowy naukowo dorobek zapewnia Mu ważne miejsce w powojennej historii polskiej socjologii.

Nie był jednak tylko uczonym. Był – z temperamentu i przekonań – działaczem politycznym. Urodzony (w 1934 roku) w łódzkiej rodzinie robotniczej, od wczesnej młodości był człowiekiem lewicy. W 1953 roku wstąpił do PZPR i pozostał w niej do końca. Działał w ruchu studenckim (i został honorowym członkiem ZSP), był doradcą wicepremiera Wincentego Kraśki (w latach 1971–72), a w burzliwym roku 1981 stanął na czele reformatorskiego skrzydła w krakowskiej PZPR, kierował krakowską delegacją na IX Zjazd partii, został na nim wybrany do Komitetu Centralnego, w którym był członkiem Biura Politycznego (do 1986 r.) i sekretarzem (do lata 1982 r.).

Był to dla Niego – jak dla wielu ludzi o podobnej orientacji politycznej – okres wielkiej próby. Odważnie i konsekwentnie działał na rzecz demokratycznych zmian w państwie i w partii oraz na rzecz porozumienia narodowego. Ciężko przeżywał załamanie się prób zbudowania takiego porozumienia i wprowadzenie stanu wojennego. Tego dnia spędziłem wiele godzin w Jego gabinecie. Szczerze i ciekawie rozmawialiśmy o zagrożeniach dla Polski i o tym, jaką drogą iść, by ratując państwo przed katastrofą zachować jak najwięcej ze zdobyczy dokonujących się wczesniej demokratycznych reform. Z racji mojej ówczesnej funkcji (dyrektora Instytutu Podstaw Marksizmu-Leninizmu) podlegałem bezpośrednio Kubiakowi i mogłem z bliskiej perspektywy obserwować Jego walkę o to, by stan wojenny nie oznaczał pogrzebania szans na stopniową demokratyzację systemu.

Hieronim był w tej walce jedną z najważniejszych postaci. Był też szczególnie ostro atakowany przez zwolenników twardej linii. Bardzo to przeżywał. W lecie 1982 roku złożył rezygnację ze stanowiska sekretarza KC, ale w Biurze Politycznym pozostał do końca kadencji, gdyż nie chciał, by Jego rezygnacja odebrana została jako wycofanie poparcia dla linii politycznej Wojciecha Jaruzelskiego. Na X zjeździe PZPR (1986) ponownie został wybrany do Komitetu Centralnego, ale głównym polem Jego działalności stał się Polski Komitet Pokoju, w którym, w 1986 roku, został powołany na stanowisko przewodniczącego. W tej roli był inicjatorem powstania Polskiej Rady Badań Pokoju, z profesorem Aleksandrem Gieysztozem jako przewodniczącym (i ze mną w roli wiceprzewodniczącego). Znow mogliśmy bardzo blisko współpracować.

Po rozwiązaniu PZPR Hieronim Kubiak wycofał się z życia politycznego. Nie wstąpił do Socjaldemokracji RP, choć jej program był Mu bliski. Bez wstąpienia kandydował w wyborach sejmowych 1989 roku – na jedno z miejsc zarezerwowanych dla PZR, ale bez poparcia krakowskiego komitetu partii. Był dwukrotnie prezesem krakowskiej „Kuznicy”, której współzałożycielem był w 1976 roku, a w 2014 roku otrzymał godność jej prezesa honorowego. Głównie jednak skupił się na pracy naukowej i dydaktycznej.

Nieraz rozmawialiśmy w tych latach o polityce, a nawet wydaliśmy wspólną książkę na temat polskich partii politycznych. W tym czasie – jak i wcześniej – bardzo podobnie patrzyliśmy na to, co działo się w polskiej polityce, a różniło nas jedynie to, że Hieronim nie chciał już wracać do aktywnego życia politycznego. Myślę, że było to w jakimś stopniu spowodowane poczuciem współodpowiedzialności za końcowe lata działalności PZPR. Przekonywałem Go, że ma prawo do dumy z tego, jaką rolę odegrał w tych dramatycznie trudnych latach. Jak widać, nie byłem w tym przekonywaniu do końca skuteczny.

Przez ponad pół wieku naszej przyjaźni wielokrotnie doświadczałem ze strony Hieronima wiele dobrego. Gdy kończyłem osiemdziesiąt lat, napisał i wydał uroczą książeczkę poświęconą moim związkom z Krakowem. Był dobrym człowiekiem i lojalnym przyjacielem. Był jedną z najpiękniejszych postaci polskiej powojennej lewicy. Taki pozostaje w mojej pamięci. ■

Odszedł Hieronim Kubiak...



Danuta WANIEK

W końcu kwietnia br. rodzina i przyjaciele pożegnali na Cmentarzu Rakowickim profesora Hieronima Kubiaka. Krakowianina z wyboru, ponieważ wywodził się z centralnej Polski – urodził się w Rudzie Pabianickiej w roku 1934.

Po uzyskaniu matury poszedł na studia na Uniwersytet Jagielloński i – jak się okazało – do końca swoich dni pozostał w Krakowie. Mało tego

– z biegiem lat stawał się nietypowym krakowskim inteligentem, ponieważ solidne studia socjologiczne i filozoficzne od początku motywowały go do aktywności społecznej i politycznej po stronie lewicy (jak powszechnie wiadomo, Kraków to do dziś miasto konserwatystów).

Od 1953 r. do 1990 r. należał do PZPR. Ale dla mnie szczególnie ważny w Jego życiorysie był etap działalności w Zrzeszeniu Studentów Polskich – najbardziej demokratycznej organizacji w okresie PRL. Dodam, że sama stałam się członkiem ZSP wiele lat później, ale działacze tej organizacji znajdowali wspólny język nawet wówczas, gdy dzieliła ich znacząca różnica wieku. Decydował o tym zapewne twórczy i inteligentcki duch organizacji...

Mogłam się o tym przekonać, kiedy w 2006 r. podjęłam pracę na Wydziale Politologii Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, gdzie często miały miejsce nasze (niezaplanowane wcześniej) spotkania i rozmowy. Korzystałam z nich, ponieważ w ten sposób miałam okazję dowiadywać się od Hieronima nie tylko ciekawych historii z jego długiego politycznego życia, ale i poznać Jego interesujące refleksje na temat specyfiki „klimatu krakowskiego”. Wspominaliśmy czasy, kiedy krakowską lewicą kierował nieodżałowany Andrzej Urbańczyk, ze smutkiem uczestniczyliśmy też wspólnie w pogrzebie profesora Andrzeja Kapiszewskiego – jednego z założycieli Akademii Frycza Modrzewskiego.

W czasie rozmów Hieronim wspominał *ad hoc* swoje pobyty na uczelniach amerykańskich i spotkania ze środowiskami polonijnymi. W tym kontekście szczególnie dumny był z faktu, że jedno z Jego publicznych wystąpień zrobiło wielkie wrażenie na żonie byłego prezydenta Jacqueline Kennedy – później przywołała je w jednej ze swych publikacji.

Hieronim zostawił trwały ślad zarówno w krakowskim środowisku naukowym, jak i w powojennej historii krakowskiej lewicy.

Wiemy, że odwieczne prawo przemijania nieoczekiwanie zabiera nam przyjaciół. Ważne jednak – gdy odchodząc – pozostawiają nam dobre myśli i wspomnienia...

Kłaniam się nisko życiowemu dorobkowi Profesora i Kolegi Hieronima Kubiaka. ■

Filmowe fascynacje Stanisława JANICKIEGO



Mikołaj MELANOWICZ

Minął rok od dnia, w którym otrzymałem mailowy list od Stanisława Janickiego. I zapewne pięć dekad od ostatniego z Nim spotkania w Kioto z okazji rozmowy z Sato Tadao, wybitnym znawcą kina japońskiego. Przypominam je sobie jakby za mgłą ukrywającą kawiarenkę na tle ogrodu przyświątynnego.

W tym samym liście Janicki przypomniał mi zdarzenie z 1968 roku. To znaczy spotkanie podczas wizyty reżysera Oshimy Nagisy z małżonką Koyamą Akiko, słynną aktorką. Wówczas nie znałem Janickiego. Wtedy nie minęły jeszcze dwa lata od mojego powrotu ze studiów na Wydziale Literatury Uniwersytetu Waseda w Tokio. W ciągu dwóch lat studiów miałem również okazję obejrzenia wielu filmów japońskich. Nic więc dziwnego, że zostałem przez Ministerstwo Kultury poproszony o tłumaczenie zarówno filmu Oshimy podczas projekcji, jak i konferencji prasowej, w której uczestniczył – jak się okazało – Stanisław Janicki, który w tym czasie był już znanym filmowcem, ale chyba jeszcze nie pracował nad książką na temat kina japońskiego. Tego dnia podobno ułatwiłem Janickiemu spotkanie obojga artystów po konferencji prasowej.

Przypomniał mi to spotkanie, pisząc:...

„w czasie pobytu (przed laty) Oshimy Nagisy i jego żony – bajkowej królowej – po oficjalnej konferencji prasowej, widząc i słysząc, jak Ty tłumaczysz, poprosiłem Cię o tłumaczenie naszej poważnej rozmowy. Zaprosiłem ich i Ciebie do mojego mieszkania na nieoficjalną rozmowę. Przecież to Ty ich skłoniłeś do takiej prywatnej, oczywiście poważnej, niepublicznej rozmowy. Spotkaliśmy się w moim prywatnym mieszkaniu (20 metrów kwadratowych)”.

Rozmowa o książce na temat kina japońskiego

A ja pamiętam tylko to późniejsze spotkanie w jego mieszkaniu, w którym był jeszcze pies, a jego woń niepokoiła mnie przez wiele lat.

To drugie spotkanie w mieszkaniu, chyba gdzieś na Mokotowie, związane było z planowaną książką na temat kina japońskiego. Odbyło się ono chyba na prośbę wydawcy (Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe).

Wtedy rozmawialiśmy również o japońskich wpływowych krytykach filmowych, między innymi o Sato (imię Tadao), z którym w latach siedemdziesiątych XX wieku Janicki spotkał się w Kioto, a ja tłumaczyłem ich rozmowę. Później Janicki wymienił go w swej książce jako znawcę kina japońskiego, któremu wiele zawdzięczał, pisząc książkę pt. *Film japoński. Fakty, dzieła, twórcy*, opublikowanej dopiero w 1982 roku przez Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe.

We wspomnianym liście napisał, że ja z tą książką (właściwie jest to imponujące, bogato ilustrowane kompendium wiedzy o kinie japońskim) miałem wiele wspólnego, a ja niewiele o tym pamiętałem. Może na wyjazd Stanisława do Japonii miał wpływ Oshima, twórca japońskiej nowej fali i jeden z najbardziej cenionych reżyserów. Ale o jego roli w zaproszeniu Janickiego do Japonii nic nie wiedziałem.

Czy był wtedy Staszkiem?

Stanisław Janicki nie pamiętał, ale miał nadzieję, że zwracałem się do niego per Staszek, chociaż jestem od niego o trzy lata młodszy. Miał też nadzieję na dalszą z nim współpracę, ale mu nie odpowiedziałem...Nie miałem już takiej możliwości.

Marzenia filmowe Andrzeja Wajdy

Janek poprosił mnie o adres pocztowy i przysłał najnowszą swą książkę, tzn. *Marzenia filmowe Andrzeja Wajdy* (Wydawnictwo Austeria, Kraków, Budapeszt, Syrakuzy, 2023).

Odeon

Na pewno od ponad roku słuchałem fascynujących opowieści Janickiego o twórcach filmów i ich dziełach, zarówno amerykańskich, francuskich, jak również polskich, zwłaszcza zapomnianych. Zdarzało się to przypadkowo, gdy słuchałem RMF Classic. Ostatnio mogłem poznać recenzje filmowe Stanisława Dygata nadsyłane z Paryża kilka lat po wojnie. Oczywiście, objaśniał je interesująco, posługując się piękną dykcją, Stanisław Janicki. Dla mnie wyróżniającą cechą jego języka stała się głoska R, wymawiana jakby z francuska. W cytowanym liście wspominał, że cykl felietonów w RMF nazywa się Odeon, co przywołuje skojarzenia teatralne czy po prostu widowiskowe, zwłaszcza że jego opowieści filmowe rozbudzają wyobraźnię i pozwalają przenieść się do wielu odeonów w Europie i w Ameryce.

W Starym Kinie

Miłośnicy kina zapewne pamiętają legendarny program *W starym kinie* (TVP, 1967–1999), którego twórcą był Janicki, człowiek zafascynowany sztuką filmową i doskonale przygotowany również do roli recenzenta, scenarzysty, pisarza i tłumacza. Dla mnie szczególnie ważnym jego dziełem był *Film japoński* (1982), świadczącym o jego fascynacji również kinem japońskim. Warto również wspomnieć, że Janicki do teatrów polskich wprowadził kilka sztuk japońskich, tłumacząc je razem z Kudo Yukio, wykładowcą języka japońskiego na Uniwersytecie Warszawskim i tłumaczem literatury polskiej. Wspomnę dwa dramaty, a mianowicie *To ja jestem duchem*, którego autorem jest Abe Kobo, oraz *Markiza de Sade* Mishimy Yukio.

Nie mam więc wątpliwości, że Stanisław Janicki fascynuje się nie tylko kinem amerykańskim, francuskim i polskim – to wiemy z jego opowieści w Odeonie – lecz także japońskim, a może nawet – podobnie jak i ja – marzy o wielu niezrealizowanych planach japońskich. ■

Zbigniew Szalajda (1934–2024)



Andrzej ŻOR

W początkach maja pojawiła się wiadomość o śmierci Zbigniewa Szalajdy – budowniczego i dyrektora naczelnego „Huty Katowice”, ministra hutnictwa i przemysłu maszynowego, wiceprezesa Rady Ministrów w rządzie Zbigniewa Messnera, a potem aktywnego działacza, piastującego kierownicze stanowiska w kilku ważnych jednostkach gospodarczych. 11 maja skończyłby 90 lat. Z charakterystycznym poczuciem humoru nazywał siebie „człowiekiem do zadań specjalnych”. Taki tytuł nosiła zresztą napisana przez niego autobiografia. Tę rolę wyznały mu wydarzenia najnowszej historii, których był świadkiem i uczestnikiem.

Już samo wyliczenie zadań, jakie przyszło mu rozwiązywać, świadczy o trafności tego porównania. Takim zadaniem było z pewnością kierowanie budową Huty Katowice, a potem uruchomienie produkcji i funkcjonowanie tego kombinatu. Osiągnięte rezultaty i uznanie, jakie zdobył, zaowocowało powołaniem na stanowisko ministra hutnictwa i przemysłu maszynowego w czasach szczególnie trudnych dla gospodarki i państwa, kiedy gospodarka traciła swoją płynność, a – skądinąd słuszne – protesty i strajki pracownicze pogłębiały stan kryzysu. Zadaniem osób kierujących poszczególnymi odcinkami działalności stało się utrzymanie kondycji gospodarki i zapewnienie choćby elementarnego poziomu życia społeczeństwa. Objęcie stanowiska wicepremiera zwiększyło jeszcze zakres jego odpowiedzialności. Nie był teoretykiem. Będąc członkiem rządu mającego do rozwiązania tak kluczowe i zarazem dramatyczne dylematy, stał na stanowisku, że wyjście z sytuacji wymaga podjęcia kroków w sferze realnej, a nie uciekania się do demagogicznych chwytów i taniej publicystyki. Nie zawsze i nie wszędzie przysparzało mu to zwolenników. A przyszło mu rozwiązywać sprawy o dużej skali trudności, poczynawszy od poszukiwania rozwiązań systemowych po uporanie się z bieżącymi wydarzeniami, żeby wymienić tylko sprawę zbadania skutków skażenia promieniotwórczego po katastrofie w Czarnobylu czy wyjaśnienia przyczyn katastrofy samolotu Il-62. I wiele innych. Uparcie walczył o swoje racje, był twardym negocjatorem.

Zdawał sobie sprawę z wad ustrojowych i perspektywicznych ograniczeń rozwoju. Niemal przez całą dekadę lat osiemdziesiątych trwały uporczywe poszukiwania optymalnej ścieżki wychodzenia z kryzysu. Był ich aktywnym uczestnikiem. Nie zawsze się zgadzaliśmy. Ale różnice opinii nie zmieniły wzajemnych relacji. Mimo upływu lat pozostaliśmy przyjaciółmi, spotykaliśmy się chętnie, czasem wracaliśmy do wspomnień, prowadząc dyskusje, wymieniając argumenty. Zbyszek nie mógł pogodzić się z totalną krytyką osiągnięć Polski w całym jej powojennym okresie, z zakłamywaniem historii. Należał do pokolenia, które swoje wykształcenie i awans zawodowy zawdzięczało demokratyzacji edukacji, zmianom w strukturze gospodarki, podejmowaniu inicjatyw inwestycyjnych. Najlepiej oddają to jego słowa: „Podjęliśmy pracę dla Polski, której granice i strefy wpływów ustaliły bez naszego udziału zwycięskie mocarstwa z II wojny światowej. Uczestniczyliśmy w odbudowie naszego kraju z gruzów. Budowaliśmy Polskę nową, uprzemysłowioną, z setkami nowych zakładów, tysiącami szkół i tysiącami kilometrów nowych dróg oraz linii kolejowych”.

Uważał też, że bez doświadczeń i prób podejmowanych w latach osiemdziesiątych nie byłaby możliwa transformacja ustrojowa AD 1989. W nowych warunkach zajmował się skutecznie działalnością biznesową i miał na swoim koncie realne osiągnięcia. Niestety, nieubłagany czas – korektor wszelkich ludzkich poczynań – dał znać o sobie. Chcemy czy nie, pokolenie, do którego należał Zbigniew Szajałda, odchodzi dziś w przeszłość. Żegnamy go w przekonaniu, że pozostawił po sobie konkretne osiągnięcia i dobre wspomnienia, że w pełni zasłużył na godne miejsce w naszych dziejach. ■

FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Marginesy

DEDYKACJE (dla Andrzeja K. Waśkiewicza), czyli przyczynek do dziejów powojennej literatury polskiej



Janusz TERMER

Książka ta*, acz właściwie ze względu na jej rozmiary należałoby używać słówka Księga, liczy sobie ona bowiem stron kilkaset, to dzieło bardzo szczególne. Szczególne, bo o wyjątkowej, nietypowej dla prac literaturoznawczych konstrukcji i urodzie. I o dziwo przy tym arcyciekawe w lekturze (zwłaszcza dla wszystkich zainteresowanych powojenną literaturą polską), mimo iż składa się z samych dedykacji autorskich dla jednego adresata: AKW – Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza (1941–2012), zebranych i spisanych po wielu latach przez żonę tego wybitnego poety i krytyka literackiego, redaktora czasopism, antologisty, niezmiernie aktywnego uczestnika i obserwatora życia literackiego kilku kolejnych powojennych dziesięcioleci. Dedykacje owe były wpisane na paru tysiącach książek (jak podaje wydawczyni, jest ich dokładnie 2039), tomów poetyckich, dzieł krytycznoliterackich, powieści czy zbiorów reportaży, przesyłanych z podziękowaniami za recenzję lub, jak to bywa najczęściej w podobnych przypadkach, autorskimi nadziejami na krytyczne „dobre słowo”. I właśnie wszystkie one tworzą ten szczególny zbiór-zapis dedykacji, skierowanych do jednego adresata!

Trafnie podkreśla Władysław Zawistowski w swym wstępie do tego zbioru, że istotnie potrzeba było mrówczej pracy Anny Sobekiej, чуłej opiekunki twórczości Andrzeja Waśkiewicza: „Bo rzeczywiście Kogóż tu nie ma?”. Poczynając od największych – Czesława Miłosza, Tadeusza Różewicza, Marii Janion, Jana Błońskiego – kolejne pozycje indeksu nazwisk to prawdziwa galeria obrazów polskiej poezji ostatnich ponad pięćdziesięciu lat. Jan Brzękowski, Jalu Kurek, Wiktor Woroszyński, Tymoteusz Karpowicz, Stanisław Czycz, Edward Balcerzan, Zbigniew Bieńkowski, Stani-

sław Grochowiak, Stanisław Barańczak, Krzysztof Karasek, Stanisław Stabro, Jacek Bierezin. I dziesiątki innych, od powszechnie znanych środowiskowych celebrytów i laureatów, po poetów *minorum gentium*, starsców i debiutantów, zesłańców i hippisów, awangardystów i tradycjonalistów, warszawiaków i prowincjuszy. Z rzadka i na zasadzie wyjątku – prozaików, filozofów i historyków. Oczywiście bardzo wiele dedykacji – częstokroć jak w przypadku Jerzego Leszina-Koperskiego, rozbudowanych, emocjonalnych i postulatywnych – to głosy literackich rówieśników i sojuszników Andrzeja Waśkiewicza z pokolenia Orientacji Poetyckiej „Hybrydy” – Krzysztofa Gąsiorowskiego, Janusza Żernickiego, Zbigniewa Jerzyny, Jerzego Górzeńskiego czy Marka Wawrzkiwicza, ze szczególnym uwzględnieniem tegoż Jerzego Leszina-Koperskiego... Ale sporo jest także dedykacji znacznie młodszych autorów z kolejnych „pokoleń literackich” tak wnikliwie opisywanych przez AKW w książkach im poświęcanych – Nowej Fali czy Nowej Prywatności, także kolegów i przyjaciół z literackich kręgów Trójmiasta, a wcześniej – Zielonej Góry, gdzie AKW mieszkał i redagował pismo „Nadodrże”. Miał też A. K. Waśkiewicz wiernych literackich przyjaciół, skoro niektórzy z nich są reprezentowani przez całe półeczki własnych książek – jak wspomniany Jerzy Koperski (34 dedykacje), Janusz Kryszak (30), Jan Kurowicki (29), Krystyna i Stefan Chwinowie (28), Tadeusz Wyrwa-Krzyżański (26), Krzysztof Gąsiorowski (25), Zbigniew Jankowski (20).

Czymże więc jest ta obszerna księga DEDYKACJI? Taką sobie po prostu ciekawostką historycznoliteracką? Skromnym przyczynkiem do dziejów tzw. społecznej obyczajowości ówczesnej, konwencjonalnych zachowań charakterystycznych i obowiązujących w tym zakresie na linii kontaktów Autor i znany i wpływowy Krytyk, o którego względy warto i trzeba było zabiegać? Myślę, że wszystkim tym po trosze i zarazem czymś znacznie większym.... Oto bowiem zainteresowany i dociekliwy Czytelnik, nawet jeśli nie do końca wprowadzony w kulisy codzienności życia literackiego i edytorskiego tamtych czasów, znaleźć może w tym zbiorze Anny Sobeckiej, w dedykacjach wydobytych z kurzu domowej biblioteki książkowych zbiorów, nie tylko obraz ówczesnej produkcji wydawniczej, ale także i niezmiernie ciekawy – wcale nie taki oczywisty z tego punktu widzenia – obraz kolejnych przełomów (czy jak to się kiedyś u nas mówiło „etapów”) politycznych i kulturalnych od roku 1968 po 1989 i lata następne.

Dlatego też żaden badacz dziejów kultury i literatury tego czasu Księgi tej ominąć nie może, gdyż znajdzie tu dodatkowy, cenny, autentyczny, empiryczny, bo z pierwszej ręki materiał do dalszych szczegółowych badań i studiów... ■

* **DEDYKACJE** (dla Andrzeja K. Waśkiewicza), spisała i ułożyła Anna Sobeczka, Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2023, s. 444.



Wakacje, wakacje

Andrzej ŻOR

Znużony jazgotem politycznych sporów, nabierających nieznośnego kolorytu w okresach erekcji wyborczych, przyspieszyłem wyjazd na wakacje i już w maju odwiedziłem Mierzęję Wiślaną, Zalew i Żuławy. Niewiele się tam zmieniło od ubiegłego lata. Słynny Przekop nadal poraża niczym niezmaconą ciszą, a przypominę, że 17 września (za dwa i pół miesiąca) upłyną 2 lata od otwarcia tej inwestycji. Łódka się kołysze, motorek warczy, a ja wciąż nie mogę dociec, po co jedliśmy tę żabę. Vis-à-vis Krynicy Morskiej usypano wprawdzie Wyspę Kaczyńskiego (tak miejscowi nazywają to wysypisko rzeczno-mułu), 2,5 km x 1,5 km, całkiem okazałą, ale to jedyny znak żywotności całego przedsięwzięcia. Płynąc w kierunku Elbląga, organoleptycznie stwierdziłem, że nadal nie wiadomo, co z tym fantem zrobić. Elbląg miał stać się czwartym portem narodowym, a płynące strumieniem statki dowodzić suwerenności polskiego mocarstwa (nie musimy prosić *Ruskich* o zgodę na skorzystanie z Cieśniny Piławskiej, którzy, jak to *Ruscy*, nie byli zbyt skłonni do wydawania takiej zgody) i prężności gospodarki. Budowa toru prowadzącego do portu posuwa się naprzód dość wolno, a szkielety dawnych elbląskich zakładów przypominają, że niczego ważnego z tego ośrodka wywieźć się nie da, a przywieźć też nie, bo i po co. Okoliczni mieszkańcy na pytanie, co myślą o sztandarowej inwestycji PiS, odpowiadają tajemniczo, że ktoś, kto podjął tę decyzję, z pewnością wie, czemu ona służy, ale powtórzyć tego swoimi słowami nie potrafią. Jedynym zadowolonym z takiego obrotu sprawy okazał się właściciel melexa, którym wozi – za grube pieniądze – przyjezdnych z Krynicy Morskiej na Przekop. Port stoi, jak stał rok temu i wcześniej. Utrzymanie tych budowli i ludzi, którzy ten nieczynny twór obsługują, wymaga trochę pieniędzy i rozwiązań organizacyjnych. Jak dotąd pojawił się jedynie statek „Generał Kutrzeba”, kursujący wzdłuż toru podejściowego, choć nie wiem, czy jego zadanie nie ogranicza się do robienia wrażenia, że coś się dzieje. Jest statek, jest żegluga!

Przed dwoma bodaj laty opowiadałem się za machnięciem ręką na megalomańskie rojenia i za turystycznym ożywieniem tego pięknego skądinąd kąpieliska RP (niczym nieskalana natura!!!), ale w połowie drogi z Krynicy do Elbląga moja koncepcja runęła, bo skoro zabetonowano już pół drogi, to jak zachować tę naturę w dziewiczej postaci? Zawijamy do Tolkmicka (2700 mieszkańców), sanitariaty nawet czyste, choć diabelnie drogie. Wyjście z łódki na nabrzeże graniczny z cudem, trzy razy się gramoliłem, zanim się udało. Do portu we Fromborku (2400 mieszkańców) nie sposób przybić, całe nabrzeże rozgrzebane, termin oddania do użytku ciągle się opóźnia. Konia z rzędem, jeśli ktoś poda przykład ukończenia jakiegokolwiek inwestycji budowlanej w terminie. Do głowy przychodzi mi też inne myśli wrogie (może to wredne podszepty *Ruskich*, Krynicy od granicy dzieli ok. 15 km, a Piaski ledwie 3), że do narodowej tradycji należy wystawianie połowy za-

dka zza krzaka (w oryginale brzmi to dosadniej, ale Naczelny Redaktor nie pozwala). Ani przemysł i transport, ani ekologia. Ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra, jak mawiał niegdyś w desperacji Władysław Gomułka. A jak ze swoimi myślami wkroczyłem na tę schizmatyczną ścieżkę, to przepadło. Już będą nią podążał, choć miałem jechać na wakacje i utonąć w ciszy.

Kiedy kończył się w Polsce socjalizm, powinien nastać kapitalizm. Jeśli tak, to zamiast centralnego planowania i rozdzielnictwa gospodarkę powinny kształtować i oceniać prawa i kryteria rynkowe. Zamiast własności państwowej miała być dominacja prywatnej, a ta państwowa, jeśli już, istnieć w postaci szczątkowej. Utworzono nawet ministerstwo przekształceń własnościowych. Skoro przemianowano je na ministerstwo aktywów państwowych, mój skromny umysł nie jest w stanie tego ogarnąć. Pies czy wydra? Ostatnie lata były okresem renacjonalizacji gospodarki, a nie prywatyzacji. Pięć miesięcy to za mało na odwrócenie trendu, jasne, ale nawet deklaracji się nie doczekaliśmy. Szkoda, bo to sprawa fundamentalna. Woda chlupie wokół, w mojej głowie też, niczego nie rozumiem, trudno. Prawa niby rynkowe, ale liczba wyjątków, odstępstw, ustępstw, szczególnych względów i czego tam jeszcze jest tak duża, że żaden umysł tego nie ogarnie. Małorolni, wielodzietni, młodociani, pracujące babcie i ci, których po prostu nie stać, wyliczyć wszystkich wyjątków od reguły nie sposób. Rynek i prywatyzację chyba diabli wzięli.

A że krążymy wokół granicy, myśl niesforna podąża za biednymi uchodźcami. Miały ustać pushbacki, nie ustały. Nagadaliśmy się po karkę, były minister (ulubieniec Prezydenta) rozgadał się na temat gwałcenia krów, poseł Sterczewski nabiegał się po granicy, nawet „pogranicznik” wywrócił się, biegnąc za nim, Agnieszka Holland film nakręciła, a teraz co? Nadal wypychamy desperatów na Białoruś, a oni przerzucają ich na polską stronę, dzień jak co dzień.

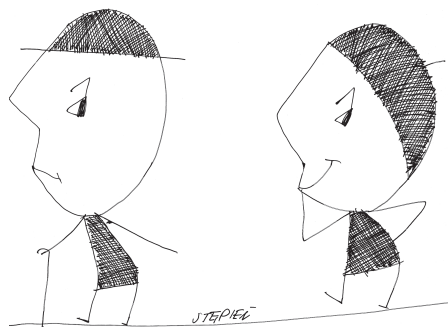
Pochłonięty niewesołymi myślami dopływam do Elbląga, a tam knajp mrowie, podążam do jednej, golonki serwują pachnące, z przypieczoną skórką, ślinka leci. Zażeram z apetytem, a tu nagle dostaję wiadomość (przekłęte media społecznościowe), że według jakiegoś tam instytutu spraw międzynarodowych 2,5 miliona mieszkańców Sudanu może umrzeć z głodu do września 2024 roku (sic!, niewiarygodne, prawda?). W oryginale „estimated excess mortality at about 2.5 million people (about 15% of the population in Darfur and Kordofan) by the end of September 2024”. Golonka staje mi kością w gardle, wracam na łódkę, woda wokół i w głowie chlupie, bo złośliwa bestia podpowiada, że za niewielką część wydatków wojskowych, a może lepiej – wojennych, dałoby się uratować te 2,5 miliona Sudańczyków. Tłusty chudego nie zrozumie, a zanim gruby schudnie, chudy umrze, takie prawa panują od wieków. Ale, ale, co z tymi pushbackami?

Uciekam z Elbląga i od durnych myśli. Na Żuławy, bo tam cisza, szuwar, czaple, spokój. Łódek niewiele, wędkarzy kilku, imponujących sukcesów nie mają. Dobre wrażenie robi Nowy Dwór Gdański. Miasteczko stara się o przyciągnięcie turystów, łaźienki nowe, bardzo eleganckie. Mnie Żuławy ciągną z całkiem innego powodu. Kilka miesięcy temu opublikowałem w „Res Humana” recenzję książki Mirosława Słowińskiego *Przeżyć tę*

jedną zimę (nr 2/2024). Choć niemieccy ewangelicy, których opisuje, lokowali się nieco bliżej Konina, ale Żuławom i mennonitom – osadnikom holenderskim, którzy zagospodarowali ten teren, poświęcił Słowiński też sporo uwagi. Mieli dość surowe obyczaje, obowiązywał ich m.in. zakaz noszenia i używania broni (co z góry pozytywnie mnie usposabia), zakaz składania przysięg, sprawowania wysokich urzędów, chrzest osób w pełni świadomych (po ukończeniu 14 roku życia) itp. Szlak poszukiwaczy historii zaprowadził nas do Żelichowa, niewielkiej wsi nad rzeką Tugą, niedaleko od Nowego Dworu Gdańskiego. Przywilej lokacyjny nadał tej wsi w roku 1352 wielki mistrz krzyżacki Winrich von Kniprode. W tym samym roku został tam wzniesiony kościół dla mennonitów i ewangelików. Potem przechodził z rąk do rąk i dziś jest świątynią obrządku grekokatolickiego. Gdzie Rzym, a gdzie Krym? Żeby zasięgnąć języka, trzeba odwiedzić knajpę „Mały Holender”. Otóż dziś mieszkańcy Żelichowa to niemal w całości wysiedleńcy z Bieszczadów i Beskidu Niskiego, których relokowano tu w ramach akcji „Wisła”. Jak widać, wędrowki ludów dotyczą nie tylko czasów nam współczesnych. Gdyby pushbacki stosowano w latach czterdziestych, zapewne nikt z potomków Łemków i Bojków nie przetrwałby na Żuławach. A tak mają szansę zademonstrować swoją tradycję i ukazać ją wspólnie z tradycją rdzennych mieszkańców tej ziemi. Czy na pewno rdzennych? No, nie, przecież osadnicy holenderscy (czy ołędzcy) też skądś napłynęli. Pozostał po nich Cmentarz Jedenastu Wsi z XVII wieku, ulokowany w należącej do Żelichowa osadzie Cyganek.

By uczcić dawnych mieszkańców tych ziem, których już nie ma, zamówiliśmy lokalne piwo i kociołek mennonicki. A potem do Rybiny, gdzie skończyliśmy wyprawę.

A co z Piaskami, które od dawna są jedną z moich zaprzepaszczonych miłości? Tak jak Krynica Morska stały się zbieraniną domów pobudowanych bez planu i bez sformułowania ogólnego przeznaczenia. Dawno temu, za Gierka, Krynica Morska miała przyciągać zagranicznych turystów, a Piaski krajowych. Nic z tego nie wyszło. Obie miejscowości rozwijały się żywiołowo i nadal tak jest. W Piaskach nie ma mariny, ale można przycumować (jak w latach 60. ubiegłego wieku). Ale, choć to wciąż maj, otwarta była restauracja, a w niej smaczny sandacz, zapewne z miejscowych połowów. Postęp, mospanie! Za to plaża i morze jak za dawnych lat. I jak 50 lat temu na plaży poniewierają się zardzewiałe szczątki wyciągarki do rybackich łodzi i innych sprzętów. Przeżyliśmy Bolesława, Wiesława i Jarosława, a ja dalej siedzę na kawałku żelastwa i sentymentalnie patrzę w morze. Pora wracać na wybory. ■



Rys. Jan Stępień

OPOWIADANIE

Tomaszek Aforysta

Sebastian MARKIEWICZ

Choć mieszkał dwie klatki dalej i znaliśmy się z widzenia, poznałem go dopiero w Bieszczadach. Zwykle przesiadywał na murku pod blokiem, na ławce w parku, w barze mlecznym „Kefirek”, czy to w otwartym na ciepłe miesiące ogródku lokalu „Stokrotka”, zwanego szumnie restauracją.

„Stokrotka” składała się bowiem z trzech przybytków. W głównej, restauracyjnej, schodzili się przez cały rok głównie starzy – wtedy, dla mnie starzy – trunkowi mieszkańcy naszego osiedla, by przy schaboszczaku czy innych specjałach polskiej kuchni takich jak flaki, rosół, ogórkowa czy pyzach po warszawsku – specjalności lokalu – nie zawsze schłodzonej faszce spędzić popołudnie i wieczór i prowadzić długie rozmowy. Z rzadka zaglądały tam osoby ustatkowane czy całe rodziny – te jadały wszak obiad w domu – częściej natomiast wchodzące w dorosłość pary, rozwodnicy i samotnicy płci obojga szukający drugiej połowy swojego szczęścia i przelotne niebieskie ptaki, których trasa przelotu zagnała właśnie tu. Mężczyźni mieli – zgodnie z wymaganiami epoki – wąsy i szare ubrania; kobiety były bardziej kolorowe, lecz już wtedy – dostrzegałem to mimo bardzo młodego wieku – na ich twarzach malował się smutek i rysy znamionujące nadmiar spożytych w swym krótkim życiu (wszak mieli nie więcej niż trzydzieści, może trzydzieści pięć lat) trunków.

Drugą częścią był bar na zapleczu, z krzesłami powiązаными łańcuchem. Można tam było wypić piwo – po jakimś czasie, również z wymaganiami epoki – z sokiem, setkę wódki czy kieliszek alpagi, nalewanej do prawdziwego kieliszka, a zakąski ograniczały się do frytek. Tam chadzali amatorzy bardziej męskich przygód, bo przy meblach, zwanych nieco na wyrost stolikami, przy których w chwilach nadmiaru klienteli siadało się też na odwróconych skrzynkach od piwa czy wina, towarzystwo rznąło w karty na pieniądze. Kwoty to były symboliczne, jak zawartość ich głów i portfeli. W mordę też można było dostać, o czym najpierw wiedziałem od starszych kolegów, a potem, we wczesnym liceum przekonałem się sam, gdy poszliśmy z Lesiem na słynne w okolicy wzmocnione kieliszkiem wódki piwo Królewskie. Bufetowa katowała swoich ochlapusów głośną muzyką z wchodzącej wówczas przebojem na rynek jednej z pierwszych komercyjnych stacji radiowych, a w kącie kilku dżentelmenów rznąło w oko. W pewnym momencie jeden z nich powziął podej-

rzenia co do uczciwości pozostałych i wywiązało się mordobicie, nader zabawne, walczący nie byli bowiem mistrzami ringów i mat, a efektywność ich poczynań dość skutecznie niwelowała obecność – zapewne stałą – alkoholu w organizmie. Na ile byli nieporadni, niech świadczy fakt, że bufetowa – trzeba uczciwie przyznać, dość potężna – w obawie przed zdemolowaniem marnego wystroju lokalu wygoniła ich na zewnątrz, jednego ciągnąc za kołnierz, drugiego okładając miotłą, a trzeciego, najmniejszego, wypychając brzuchem i biustem, pomiędzy którymi granica była dość niewyraźna. „Tam się napierdalajta” – powiedziała i zamknęła z hukiem drzwi.

Trzecią część „Stokrotki” otwierano mniej więcej w maju, gdy robiło się wystarczająco ciepło. Była to zadaszona powierzchnia otoczona ogrodzeniem z kraty, wypełniona kilkoma dość sfatygowanymi stolikami i kilkunastoma równie nadgryzionymi zębem czasu krzesłami, pamiętającymi trzech pierwszych sekretarzy wstecz. Z okienka sprzedawano lody włoskie, rurki z bitą śmietaną, gofry i piwo; potem doszły jeszcze zapiekanki.

I tam właśnie najczęściej o ciepłych porach roku przesiadywał Tomeczek. Domorosły filozof, archetyp wagabundy; gdy tylko trochę podrosłem i zacząłem co nieco czytać, skojarzyłem, że trochę przypominał swoim żywotem Stachurę, tyle że zamiast życiopisania, uprawiał życioczytanie i amatorską filozofię.

Był raczej mikrej postury, nie udzielał się w podwórkowych meczach, ale – co rzadkość w tamtej okolicy – nie budził nienawiści w osiedlowych chuliganach; drwiono jedynie z niego i uważano za pospolitego głupka. Był sporo starszy ode mnie – wtedy siedem czy osiem lat to dużo; dziś, gdy się ma lat już nie kilka czy -naście a bliżej do -dziesiąt, to tyle, co nic. Siedział więc w „Stokrotce”, najczęściej popijając lemoniadę, jedząc gofra czy lody; piwa raczej nie tykał. Zawsze z książką, do której czasem zaglądał, czytał przez chwilę, a potem długie minuty wpatrywał się w przejeżdżające samochody, w przechodniów, w niebo, czy w kolejkę stojącą do okienka. Czasem nagle ożywał i zaczynał pierwszego z brzegu przechodnia, pytając:

– A co pan o tym sądzi? Na początku było słowo, a na końcu frazes.

– Panie, goń się pan! Wariat! – słyszał w odpowiedzi.

Albo: – Chcesz w ryja zarobić?

Czy też: – Spierdalaj pan, dobrze radzę.

Rzecz jasna nie wszyscy mówili na pan, wszak był wtedy młody, inni po prostu przyspieszali kroku. Czasem któryś odważniejszy dzieciak rzucił w niego rurką z kremem, lecz on nic sobie z tego nie robił. Miałem już jedenaście, może dwanaście lat i stojąc w kolejce po gofra usłyszałem, jak pytając przechodzącego faceta w okularach, o którym wiadomo było, że jest nauczycielem, ale nie w tej szkole, do której ja chodziłem.

– Proszę pana, ja widzę pana myśli! *Ex oriente lux, ex occidente luxus!* I co pan mi na to powie?

– Panie, czyś pan wariat, czy prowokator? Schowaj pan tę książkę, przecież pan wiesz... – Tu zagadnięty przyłożył rękę do ucha i wskazał na dość dużą grupkę osób siedzących przy sąsiednich stolikach. – Aforysta się znalazł...

Nie znałem tego słowa. Czytałem co prawda dużo Bahdaja, Szklarskiego, Wernica, komiksów nie wspomnę, ale ten termin nie był mi znany. W domu

nie nauczyli, polonistka też. Sprawdziłem. I od tamtej pory, gdy tylko widziałem Tomeczka, starałem się zajrzeć mu przez ramię, jaką książkę czyta. Przeważnie w tytule były to aforyzmy. Nigdy proza, wiersze, dramaty czy reportaże. Czasem na okładce napisane było „Złote myśli”, czy „Skrzydlate słowa”. Ale w gruncie rzeczy chodziło o to samo.

– Młody! – zagadnął mnie pewnego razu. A wiesz, kto to jest biograf?

– No... taki, co pisze biografie... Życie czyjeś opisuje w książce... Dokonania...

– Biograf jest to kłamca opowiadający słowa swego bohatera! – powiedział, patrząc na mnie świdrującym wzrokiem. Zacząłem się wtedy zastanawiać, czy to obłąd, czy przejaw geniuszu.

Różne o nim chodziły mity, niepotwierdzone słuchy i informacje. Pewne było to, że pochodzi z bogatego domu, w którym nie ułożyło się pożycie małżeńskie. Jedni mówili, że był owocem mezaliansu, czy też raczej jednej nocnej przygody bogacza z praczką, inni tonowali te doniesienia i twierdzili, że czołowego inżyniera kraju z salową ze szpitala „głupią jak furmana koń”, inni jeszcze, że jakiegoś ambasadora lub członka KC z woźną – pewne było tylko tyle, że nie musi się martwić – w przeciwieństwie do zdecydowanej większości z nas – o byt i dobra materialne. Legendy krążyły o mieszkaniu, w którym żył wraz z tymi rodzicami, ponoć już rozwiedzionymi. Cztery pokoje na trzy osoby, kto to słyszał, a jaki wystrój! Tak mówiono i snuto spekulacje na temat źródła tego bogactwa. Plotkowano też, że ten wielki metraż wyposażony we wszystko, co wtedy dostępne – telefon z napowietrzną linią, satelitę, magnetowid, zestaw hi-fi najwyższej klasy, boazeria z Pewexu, cuda-niewidy to ze spadku od wujka w Ameryce, albo z wygranej w Państwowym Totalizatorze Sportowym.

A on o sobie nic nie mówił, tylko czytał, przesiadując w „Stokrotce” albo na ławce w parku, ale to w letnie miesiące; gdzie się podziewał zimą, tego nie wiem. Może przesiadywał w jakimś lokalu, do którego nie mieliśmy wstępu ze względu na wiek i zasobność kieszeni? Na naszej klatce – a na klatkach spędzaliśmy wszak sporą część życia – nigdy go nie było.

Czasem znikał i nie widać go było długie tygodnie. Teraz już wiem, że włóczył się bez celu, gdyż to droga jest celem. Zwiedzał cały kraj, a zasobność rodziców pozwalała mu na to, by nie musieć się martwić o jedzenie czy nocleg. Pieniędźmi jednak nie szastał, o czym przekonałem się właśnie w Bieszczadach, gdy spotkałem go, gdy sam już byłem od niedawna dorosły.

Siedział niedaleko cerkwi w Komańczy, tej, która potem spłonęła. Ja z kolegami wyruszałem w stronę Cisnej – było nas trzech, studia przed nami, ostatnie chwile wakacji. Siedział, a w zasadzie leżał przy drodze, oparty o stary płot, obok niewielki plecak, w rękach książka. I to spojrzenie zadumane w niebo...

– Gdyby jakiś Bóg powiedział: „Wierzcie mi”, a nie „Wierzcie we mnie”! – co panowie na to? Bo panowie pewnie cerkiew idą zwiedzić...

– O, Lec! Uwielbiam Leca! – krzyknął Lesio na widok książki, trzymanej w ręce przez Tomaszka.

- Chodźcie, poczytamy, pomyślimy, podyskutujemy. Lec go! - rzucił dowcipem, czym zyskał w naszych oczach.

- Ja pana znam... z widzenia... - wybąkałem nieśmiało.

- Ja ciebie też znam z widzenia. Ja tylko sprawiam wrażenie wariata. To, że w opinii większości jestem nierobem, bo czytam książki i zagaduję ludzi, co czyni mnie pozornie idiotą, to mylne. A ty jesteś... - i tu wymienił moje imię, adres, którą szkołę kończyłem i z kim najwięcej przestawałem pod blokiem, a nawet jakie papierosy, kupowane w naszym blokowym kiosku, najczęściej paliłem w liceum. - Ja siedzę i obserwuję, to mój luksus. Nie muszę pracować, mogę sobie pozwolić na dar obserwacji i kontemplacji. Dziś tu, w Bieszczadach, jutro w ogródku naszej „Stokrotki”, pojutrze gdzieś na Wybrzeżu...

Wyjęliśmy z plecaków piwa. Jedno wypił, więcej nie chciał. Nie palił, a my jak smoki. Zaproponował nam natomiast wspólne czytanie Leca i znów powtórzył to swoje śmieszne „Lec go!”. Spędziliśmy tę noc rozbici tam, gdzie on - gdzieś za stodołą w Komańczy, analizując *Mysli nieuczestane* i filozofując nad nimi. Była to jedna z najlepszych uczt intelektualnych, jakie w życiu przeżyłem. A potem nazywaliśmy go Don Kichotem z Komańczy. Umysłowy arystokrata, pełen ideałów, pozornie z głową w chmurach, brakowało mu tylko chabety i giermka... Mieszanka geniuszu i wariactwa.

Mijały lata. Kończyłem studia, zaczynałem pracę, wyprowadziłem się z naszego osiedla, a nawet z kraju. Tomaszka widywałem więc coraz rzadziej. Z opowieści wiem, że przesiadywał nadal i w parku, i w „Stokrotce”, ale coraz częściej w pobliskim barze mlecznym. Być może umarła matka i nie miał kto w domu gotować - różnie mówiono. Jedno było niezmiennie - książka z aforyzmami i pytanie często przypadkowych osób, co o tym sądzą - i cytowanie jakiegoś aforyzmu. Co bardziej ocytani - choć przynajmniej, tych nigdy nie jest za wielu - czasem wiedzieli, kogo Tomaszek cytuje. Najczęściej był to Lec, ale trafiali się i Świętochowski, i Asnyk, Elzenberg czy Tartakower.

Wiem, że jeździł dużo po Polsce, a może i za granice, kiedy je już otwarto. Widywano go to na Kaszubach, to na Suwalszczyźnie, to pod Babią Górą... Ja nie widziałem go wiele, wiele lat. Po powrocie do kraju zajrzałem na rodzinne osiedle, do którego w międzyczasie dociągnięto metro, choć trochę bez sensu - bo tam przecież jest tramwaj, którym w dwadzieścia minut można dojechać do centrum, podczas gdy mieszkańcy tych osiedli, gdzie jeszcze ćwierć wieku temu ganiały się zuby z rysiami, jak stali w korkach, tak stoją i będą stać po wsze czasy.

Wypytałem tego i owego, czy czasem widać Tomaszka, ale już mało kto go pamięta. Pokolenie naszych rodziców zaczęło wymierać, moi rówieśnicy w większości się wyprowadzili, a młodzież już go nie kojarzy. Ktoś mi jednak powiedział, że rodzice pomarli, on odziedziczył mieszkanie i resztę majątku, jednak dalej żyje jak żył, a nawet nieco dziwniej. Mieszkanie wynajął, a sam szwenda się to tu, to tam, jak wyraził się mój rozmówca...

A jak mieszka, dowiedziałem się, jak zwykle przypadkiem. Korzystając z chwili wolnego czasu, postanowiłem odwiedzić okolice swojego liceum. Podjechałem siedemnastką do Hali Marymonckiej (choć można metrem, co w czasach liceum było nie do pomyślenia) i ruszyłem przez park Kaskada. Nad stawem siedział nie kto inny jak Tomaszek. Karmił kaczkę, miał przy so-

bie plecak turystyczny, na oko osiemdziesiąt litrów. Zawsze był szczupły, lecz teraz wysechł na wiór, twarz porały mu zmarszczki, była ogorzała od słońca, lato było w pełni. Mocno się postarzał, ale uświadomiłem sobie, że musi być już przecież dobrze po pięćdziesiątce. Podszedłem. Zagadałem. Poznał.

- Pamięć mam jak słoń. I tamtą noc w Komańczy też pamiętam. W zasadzie pamiętam każdy dzień swojego życia, co bywa, przyznam, nieco kłopotliwe. No i sam się zajmuję finansami, o których wiem, że ty wiesz, że nie są małe.

- A gdzie teraz mieszkasz? Bo słyszałem, że...

- Wszędzie.

- Jak to wszędzie?

- Teraz mamy lato. To przecież nie będę wydawać na mieszkanie, prawda? Jeść dużo nie muszę, wykąpać się w samej Warszawie mam gdzie... Choćby tu - wskazał palcem na staw. Na kolanach trzymał książkę, na której dostrzegłem tylko nazwisko autora, a był nim Franz Kafka. Czyżby przerzucił się na prozę?

Moja mina musiała budzić zdziwienie, a on kontynuował:

- Wszędzie mieszkam. Dziś rano na przykład pływałem w stawach na Moczydle. Śniadanie zjadłem, potem przyjechałem tu. Na wieczór może pojedę do Kiełpina? Dawno tam nie byłem. A potem na noc do Kampinosu. Lubię ten las. Mam tam taką miejscówkę... A pojutrze jadę do Ustrzyk. Mam znajomka, pochodzimy trochę po okolicy, przejedziemy nad Solinę...

- A zimą?

- A różnie. Mam trochę znajomych w różnych miejscach Polski... Mam telefon, mam internet... - szybko uświadomiłem sobie, że mieszanina obłądu i wyrachowania weszła na nieco wyższy, nieznany mi dotąd poziom.

- A rodzina?

- Cóż, rodzice nie żyją, żony nie mam... Jak jestem w mieście i jest zimno, to jeżdżę tramwajami, słucham, co ludzie mówią... W zaufaniu ci powiem, że zamyślam, żeby coś napisać... Nawet zacząłem notatki... Tak po staremu, w zeszycie... - wyciągnął z kieszeni jakiś pomięty notatnik z bazgrołami - Telefony ładuję w kawiarniach...

Z kolan spadła mu książka. Doczytałem wreszcie tytuł. *Aforyzmy z Zürau*. Cóż, nie wiedziałem, że Kafka pisał też aforyzmy. Znałem tylko to, co większość. *Proces*, *Zamek*, jakieś opowiadania, z których najbardziej pamiętam *Kolonję karną* i *Przemianę*. O aforyzmach nie wiedziałem.

- Zimą w zasadzie mieszkam w tramwajach, autobusach i metrze. Oczywiście, gdy jestem w mieście. Pewnie zaraz zapytasz mnie, czy...

- Nie zamierzasz się usatkwować, osiąść gdzieś, prowadzić tak zwane normalne życie... - jakby czytał mi w myślach.

- A cóż to jest normalne życie? „Chcesz zagłuszyć głos serca? Zdobądź poklask tłumu”. Wiesz czyje to?

- Brzmi jak Lec...

- Bingo. Pracować nie muszę. Nic nie muszę. Wiele mogę. Nic mnie nie ogranicza. Wy wszyscy... - zawiesił głos. Nie ponaglałem.

- Dom, praca, dzieci, dom, praca, dzieci, życie jakoś zleci... - wyraźnie podniósł ton, nakręcał się. W jego oczach pojawił się obłęd, zapamiętany z naszej pierwszej rozmowy sprzed wielu, wielu lat. Tylko w bardziej zaawansowanym stadium. Wyraźnie wszedł na jakąś znaną tylko sobie orbitę.

- Tak zwane życie, o którym mówisz, jest dla mnie absurdalne jak czechosłowacka wieczorynka! Chcesz wiedzieć, ilu ludzi mnie próbowało już przekonać do tego? Nie wiesz. Nie wiesz, ilu znam ludzi. Oj, wielu znam! Wielu poznałem, jak się domyślasz, dzięki ojcu. Innych natomiast podczas rozmów! Wielu ciekawych rozmówców! Tylko w tym roku o to samo co ty pytało mnie już kilku dziennikarzy z mediów państwowych i prywatnych, muzyk rockowy i dwóch pisarzy, w tym jeden z sukcesami! Jeden był ambasadorem i dwóch obecnych, dyplomatów drobniejszego płazu nie liczę. Wysooko postawieni pracownicy Microsoftu, Komendy Głównej Policji i trochę niżej uplasowani podchujaszczy z wielu innych urzędów, w tym z Kancelarii Prezydenta! Urzędnicy z urzędów centralnych i samorządowych, jedna organistka, jedna pojebana psycholog po przejściach, którą należałoby zamknąć u czubków, a przynajmniej na odwyku! Kilku adwokatów i jeden prokurator, tłumaczy przysięgłych nie liczę. I dwóch wiolonczelistów z filharmonii! Mam wymieniać dalej?

- No nie, nie trzeba, przecież ja cię nie chcę do niczego przekonywać.

- Śmieszni jesteście w uprzęży, którą założyliście dla tego świata! - wykrzyknął, machając sfatygowanym egzemplarzem Kafkowskich aforyzmów.

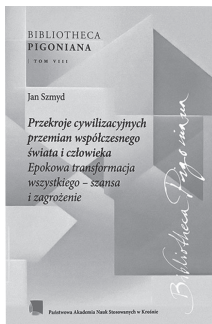
Powoli się pożegnałem i wycofałem. Poszedłem w stronę szkoły, do której chodziłem w ubiegłym wieku. Na kładce nad trasą Armii Krajowej - której wtedy jeszcze nie było - spojrzałem w jedną i drugą stronę na niekończące się sznury stojących w korku samochodów, w których siedzieli ludzie w uprzęży tego świata. W rzeczy samej śmieszni jak ja sam. Nad Marymontem natura malowała na niebie przepiękne wzory, godne najlepszych mistrzów pędzla.

Sebastian Markiewicz, ur. w 1978 r. w Warszawie. Absolwent filologii rosyjskiej na Uniwersytecie Warszawskim za czasów świetności tego kierunku, oraz studiów podyplomowych z zakresu tłumaczeń prawniczych i sądowych na tejże uczelni. Wieloletni pracownik administracji publicznej. W ramach tej pracy mieszkał w Taszkencie, Kijowie, Moskwie, a nawet w Lublinie. Obecnie mieszka w Astanie, gdzie jest współpracownikiem Polskiej Agencji Prasowej. Tłumacz przysięgły języka rosyjskiego. Autor dwóch tomów opowiadań *Było. Nostalgicznie o czasach przełomu* i *Migawki warszawskie* oraz powieści *Nieudolni*. Przetłumaczył też kilka książek. Ma żonę i dwoje dzieci.



Rys. Marek Chaczyk

RECENZJE



Panorama przemian współczesnego świata

Jan Szymd, *Przekroje cywilizacyjnych przemian współczesnego świata i człowieka. Epokowa transformacja wszystkiego – szansa i zagrożenie*, Wydawnictwo Naukowe Pigionium, Krosno 2023, 340 stron.

Nowa książka profesora Jana Szymda imponuje rozległą wiedzą autora i odwagą w podejmowaniu trudnych problemów współczesnego świata. Wpisuje się swą tematyką w nurt rozważań futurologicznych, uprawianych przed ponad półwieczem w ramach nurtu zainicjowanego przez Bertranda de Jouvenela (1903–1987) i reprezentowanych w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku przez zasłużone francuskie wydawnictwo Les Futuribles. Tych związków intelektualnych autor, jak się zdaje, nie docenia, a przynajmniej nie znajdują one odzwierciedlenia w omawianej tu pracy.

Jest ona jednak dowodem wielkiej erudycji autora, który obszernie omawia poglądy szerokiego kręgu czołowych intelektualistów zajmujących się analizą współczesności i prognozowaniem przyszłości współczesnego świata, takich jak Zygmunt Bauman, Noam Chomsky, Michel Houellebecq, Leszek Kołakowski, Konrad Lorenz, Artur Perez-Reverte i wielu innych. Odczytanie autora jest imponujące. On sam nazywa swą książkę „kompedium wiedzy” (s. 11) i w tej roli sprawdza się ona znakomicie. Profesor Szymd przedstawia poglądy referowanych autorów rzetelnie i kompetentnie, dając czytelnikowi wgląd w najbardziej popularne koncepcje futurologiczne we współczesnej nauce i myśli społecznej. W stosunku do omawianych stanowisk występuje bardziej jako rzetelny sprawozdawca niż jako krytyczny komentator. Takie podejście, choć ma swe zalety, zawiera w sobie pułapkę, której autor nie uniknął. Wśród bezkrytycznie omawianych przez niego uczonych znajduje się austriacki noblista Konrad Lorenz, którego wkład do biologii jest bezsporny, ale który spotkał się z uzasadnioną krytyką (a nawet pozbawieniem niektórych tytułów honorowych) z uwagi na przynależność do NSDAP i głoszenie bliskich hitleryzmowi poglądów o „wrodzonym” instynkcie agresji. Autor albo o tym nie wie, albo z jakiegoś niezrozumiałego względu zdecydował się sprawy te pominąć.

Omawiani w publikacji Szymda uczeni są na ogół pesymistycznie nastawieni w prognozach dotyczących przyszłości świata. Taki punkt widzenia ma tę zaletę, że chroni przed naiwnym optymizmem, ale może także prowadzić do bezradnego pesymizmu. Autor stara się uniknąć obu tych skrajności. Przedstawiając najważniejsze wizje przyszłości, próbuje nakreślić realistyczną odpowiedź na wyzwania, jakie stawia nasza epoka. Ta warstwa książki jest najciekawsza, ale też najbardziej sporna.

Pierwszą z kontrowersyjnych tez jest rozważanie autora na temat „powszechnego kryzysu” współczesnej cywilizacji, obejmującego – jego zdaniem – niemal wszystkie sfery życia. Teza ta jest nieprecyzyjna, gdyż nie wiadomo, co autor rozumie pod pojęciem kryzysu. Jeśli ma na myśli fakt, że w wielu dziedzinach życia dokonują się głębokie zmiany, to niewątpliwie ma rację, ale można powątpiewać, czy jest to wyjątkowa cecha naszych czasów. Może jednak idzie tu o to – jak autor pisze – że ów kryzys „utrudnia, a niekiedy wręcz uniemożliwia pełny i harmonijny rozwój podmiotowości człowieka” (s. 287). Czyżby pod tym względem świat obecny był mniej przyjazny owemu rozwojowi niż czasy minione?

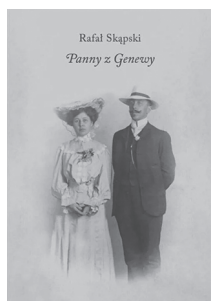
Autor krytykuje tendencję do nadania oświacie kierunku zbyt praktycznego, a nawet dostrzega jednostronną tendencję do likwidowania na uniwersytetach wydziałów humanistycznych. Skąd taka opinia? Na których uniwersytetach? Może to prawda, że rozwój studiów praktycznych prowadzi do relatywnego (procentowego) zmniejszania udziału studiów humanistycznych w kształceniu uniwersyteckim, ale od tego do „likwidowania” jest bardzo daleko.

Niektóre postulaty autora grzeszą naiwnością. Sygnalizuje on – nie bez racji – zagrożenie przeludnieniem, ale jego postulat „znacznego ograniczenia szybko narastającego przeludnienia” (s. 291) wydaje się mało realistyczny. Kto i jak miałby ten postulat zrealizować? Czy autor zdaje sobie sprawę z tego, że we współczesnym świecie problem przeludnienia występuje wyłącznie w biednych krajach globalnego „Południa”? W tych krajach jego postulatu nie da się przecież zrealizować bez głębokiej przemiany ekonomicznej i kulturowej. Natomiast kraje rozwinięte notują raczej spadek urodzeń niż ich niehamowany wzrost. Rodzi to niebezpieczną tendencję, na którą proponowana polityka jest złą odpowiedzią, gdyż jej wcielanie w życie najprawdopodobniej jedynie pogłębiłoby obecną niekorzystną dysproporcję demograficzną między Południem i Północą.

Niezrozumiałe są dla mnie także dywagacje końcowe autora na temat „istoty postludzkiej”, „ery postludzkiej” czy „śmierci człowieka” (s. 294). Profesor Szmyd zbyt uległ tu fascynacji literackimi konstrukcjami niektórych krytyków współczesnej cywilizacji.

Mimo tych niedociągnięć jest to ważna i ciekawa publikacja, stanowiąca dobre wprowadzenie do rzeczowej dyskusji na temat współczesnego świata.

Jerzy J. WIATR



Rafała Skąpskiego opowieści rodzinne

Rafał Skąpski, *Panny z Genewy*. Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2024, 217 stron.

Sprawca tej recenzji – Rafał Skąpski – trwale zapisał się w historii polskiej kultury najnowszej doby. Podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury (2001–2004), członek i sekretarz Narodowej Rady Kultury (1983–1989), dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego – jednego

z najlepszych polskich wydawnictw (2005–2015), członek zarządu Polskiego Radia (1998–2001), prezes Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek (od 2005), szef prywatnych instytucji wydawniczych, członek władz ZAiKS, by wyliczyć tylko najważniejsze z pełnionych przez niego funkcji (w każdej z nich pozostawił wartościowy dorobek i dobre wspomnienia), a ponadto – autor wielu opracowań i artykułów publicystycznych i słuchowisk radiowych, działacz społeczny.

Między wieloma różnymi funkcjami społecznymi wypada podkreślić jego rolę w Towarzystwie Opieki nad Starymi Powązkami oraz w Klubie Przyjaciół Ziemi Sądeckiej. Związany z Sądecczyną (mieszka w Jazowsku nad Dunajcem) poświęcił wiele czasu na przygotowanie i publikację pamiętników swojej Babki ze strony Ojca – Zofii z Odrowąż-Pieniążków Skąpskiej, które ukazały się w latach 2019, 2021, 2023 w „Czytelniku” pod wspólnym tytułem *Dziwne jest serce kobiece*, a których pierwszy tom został uznany za wydarzenie edytorskie roku. Przedsięwzięcie to przypominało średniowieczne prace benedyktynów. Zofia Skąpska pozostawiła bowiem w rękopisie 21 stukartkowych zeszytów, zapisanych trudnym do odczytania pismem. Rafał tego dokonał, co trwało w sumie kilka lat. Ale warto było! Zainteresowanie, jakie pamiętniki te wzbudziły, było jak najbardziej uzasadnione, bo to relacja w pełni autentyczna, zapisywana na bieżąco przez uczestniczkę opisywanych wydarzeń, są zatem cennym źródłem historycznym. One – z kolei – stały się inspiracją do odtworzenia rodowodu „po kądzieli”, a więc przywrócenia pamięci zbiorowej losów rodziny od strony matki – Janiny z Sągajłłów Skąpskiej w książce *Panny z Genewy*. Autor we wstępie napisał: „Tytuł mojej opowieści jest zapożyczeniem, ale jeśli pożyczyc, to od najlepszych” (str. 7). Skojarzenia z Iwaszkiewiczowskimi *Pannami z Wilka*, a także z książką Moniki Śliwińskiej o *Pannach z Wesela*, czyli siostrach Mikołajczykównych (bohaterkach dramatu Wyspiańskiego) nasuwają się same.

Panny z Genewy to trzy przyjaciółki – studentki Uniwersytetu w Genewie: Natalia z Zylberblastów Zandowa, Klementyna z Jezierskich Sągajłłowa oraz (choć w książce występuje trochę na uboczu) Wanda z Opmanów Tokarzewska. W Genewie studiowała też od roku 1895 Zofia z Wojtkiewiczów Garlicka, zaprzyjaźniona z Natalią Zandową, z którą podzieliła tragiczny, okupacyjny los. Uniwersytet początkowo z czterema, a za chwilę z pięcioma wydziałami: Nauk Przyrodniczych, Literatury i Historii, Prawa, Teologicznym i Medycznym był jednym z pierwszych w Europie, w którym mogły kształcić się kobiety. Proporcje odbiegały od modnego dziś parytetu, bo w 1875 roku wśród 123 studentów i 173 słuchaczy (*assistants*) studiowało zaledwie 25 dziewcząt.

Czy właśnie w Genewie i innych uczelniach szwajcarskich i francuskich należy dopatrywać się tak modnych dziś prapoczątków ruchów feministycznych i emancypacyjnych? Kiedy sięgniemy do *Nocy i dni* Marii Dąbrowskiej, znajdziemy tam postać Agnieszki Niechcicówny, której powieściowe losy wydają się zbliżone do biografii bohaterki książki. Społeczność wielonarodowa: 60 osób z Francji, 26 z Rosji (tu plasowali się Polacy), 14 z Niemiec. Ale już 10 lat później w grupie studentów znalazło się 10 studentek i 6 studentów o polskich nazwiskach. Pod koniec wieku przyjechały bohaterki książki i – mimo różnic pochodzenia, stanu, ma-

jątku – zaprzyjaźniły się. Zofia Wojtkiewiczowa (później Garlicka) to córka zesłańców syberyjskich, Wanda Oppman z Warszawy, z rodziny ewangelickiej, była stryjeczną siostrą pisarza Artura Oppmana, Natalia Zylberblast zaś (po mężu Zandowa) – córką wychowanka szkoły rabinów. Oczywiście najwięcej miejsca Autor poświęcił swojej Babce – Klementynie Jezierskiej, urodzonej w Połtawie, której dziadek zarządzał podobno dobrami (raczej jakąś częścią tych dóbr) Potockich na Ukrainie. Podjęła pracę w rozwijającym się ośrodku przemysłowym (rudy żelaza i węgla) w okolicach dzisiejszego, Krzywego Rogu i Ługańska (dziś teren walk ukraińsko-rosyjskich), a jej szefem był późniejszy dyrektor tej kopalni Wiktor hr. Sągajłło. Nietrudno domyślić się, jakie były dalsze losy tych dwojga.

„Kiedy dokładnie te trzy studentki – Wanda Oppman, Klementyna Jezierska i Natalia Zylberblast poznają się i zaprzyjaźniają, nie wiadomo. [...] Pozornie wiele je różniło, Wanda i Natalia przybyły z Warszawy, Klementyna z odległej Ukrainy”. Jak przebiegały ich dalsze losy, czytelnicy dowiedzą się już po wnikliwym przestudiowaniu treści książki. Niełatwej w odbiorze, zawierającej masę informacji faktograficznych i splot powiązań rodzinnych, zawodowych i towarzyskich. Ich szczegółowe omówienie wymagałoby napisania kolejnej książki, a jej autor i tak nie miałby pewności, czy precyzyjnie i rzetelnie zrelacjonował wszystkie fakty i powiązania. Dość jedynie powiedzieć, że po studiach Zofia Garlicka (ginekolog i położnik) i Natalia Zandowa (neurolog) pracowały jako lekarki. Zandowa współpracowała ściśle z Januszem Korczakiem. Klementyna wiodła dostatnie życie jako żona dyrektora i członka Rady Nadzorczej Warszawskiego Towarzystwa Kopalń Węgla, którego udziałowcami byli także Leopold Jan Kronenberg (wnuk słynnego Leopolda – twórcy tego Towarzystwa) oraz Ludwik Natanson – potomek jednego z założycieli Towarzystwa. Wanda była prokurentem w Banku Handlowym i pracowała później w Muzeum Ziemi.

A potem przyszła wojna, która odmieniła życie naszych bohaterek. Dla większości z nich okazała się tragiczna. Zofia Garlicka i Natalia Zandowa zostały aresztowane w 1942 roku w warszawskim mieszkaniu, w którym ukrywali się zruceni lotnicy brytyjscy. Przejęli się chyba atmosferą i zasadami dawnego rycerstwa rodem z opowieści okrągłego stołu, panującymi na dworze średniowiecznego króla Artura. Aresztowani, nie tylko przyznali się do wszystkiego, lecz ujawnili konspiracyjne kryjówki tych, którzy im pomagali. Niestety, Niemcy z czasów okupacji nie przypominali w niczym szlacheckich rycerzy. Jeden z Anglików miał powiedzieć: że „oficer niemiecki dał mu słowo, że nie wykorzysta jego zeznań i że on, oficer angielski nie może kłamać” (s. 174–5). Jezus, Maria! Nic dziwnego, że rodziny ofiar nie chciały spotkać się z żadnym z Brytyjczyków po wojnie. Zofia Garlicka zmarła na tyfus w Auschwitz. W tym samym roku zmarła jej córka, aresztowana wraz z matką, a była żoną Stanisława Jankowskiego – „Agatona” – cichociemnego, autora popularnych po wojnie wspomnień *Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie*. Klementyna i Wanda Oppman żyły długo, Babka Autora zmarła w 1972, a Wanda w 1976 roku.

Marian Turski zamieścił krótką, ale bodaj najlepszą ocenę tej książki: „Proszę, wygooglujcie Państwo nazwisko Natalia Zand. Przekonacie się, jaki ogromny dorobek naukowy ma ta wybitna neurolog, która zginęła tragicznie w 1942 roku, wraz z przyjaciółką Zofią Garlicką, która udzieliła jej schro-

nienia po „aryjskiej stronie”. Ale dlaczego *Panny z Genewy*? Ponieważ [...] na przełomie wieków spotkały się i zaprzyjaźniły w Genewie. Wszystkie z Polski, ale przedtem wszystko je dzieliło: narodowość, wyznanie, pochodzenie społeczne. Klementyna była babcią Autora książki. Poznaliśmy go w kilku rolach: historyka, detektywa, nawet archeologa, który wydobywa strzępki wspomnień, dokumentów, zdjęć, zeznań, a także historyczne postaci, z którymi *Panny z Genewy* się zetknęły – m.in. Lenin, Ignacy Jan Paderewski, Janusz Korczak, Maria Dąbrowska, Stanisław „Agaton” Jankowski. Dodajmy jeszcze jeden plus: Rafał Skąpski ma świetne pióro. [...] To się czyta!” (czwarta strona okładki).

Do tych znanych postaci dodałbym jeszcze kilka innych, epizodycznych, albo kojarzących się z innymi, ważnymi dla mnie. Ot, Jan Hołyński spokrewniony z Ksawerym Hołyńskim, przemysłowiec i działacz gospodarczy, który wspólnie z Witoldem Sągajłło zasiadł w Radzie Warszawskiego Towarzystwa Kopalń Węgla, a Ksawery ożenił się przecież z Emilią Bloch, córką Jana i Emilii z Kronenbergów, o których sporo pisałem (s. 122). O Leopoldzie Janie Kronenbergu wspominałem już wcześniej. Salomea Szliferstajn, językoznawczyni, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, z którą miałem okazję zetknąć się w czasie swoich polonistycznych studiów, znana była ze swoich surowych wymagań. Z prof. Ireną Dobrzycką przyszło mi współpracować w zespołach programowych ds. studiów neofilologicznych. Z Kazimierzem Leskim nie udało mi się spotkać (zmarł w 2000 r.), a tylko on mógłby rzucić właściwe światło na historię Wandy Kronenberg (córki Leopolda Jana), której zła sława i tragiczny los zamykają historię tej wielkiej rodziny (s. 148). Szkoda. I tak dalej. *Panny z Genewy* są najlepszym dowodem, że ze wspólnego kłębka można bez końca wyciągać kolejne nitki i snuć opowieść nieskończenie. Biografistyka ma swoje uroki, nieprawdaż?

Andrzej ŻOR



O stoliku jako zjawisku

Jarosław Molenda, *Przy stoliku w Czytelniku*. Prószyński Media Sp. z o.o, Warszawa 2024, 478 stron.

Jarosław Molenda jako autor w swoim dorobku ma całą paletę książek popularnych, które bierze się do ręki w chwilach wolnych, nawet dla zabicia czasu, ale też sporo rzeczy poważniejszych, choć nadal znajdujących się w nurcie literatury popularnej. Na naszym rynku wydawniczym działa wielu autorów hołdujących tej metodzie. O poziomie czytelnictwa w Polsce przetoczyła się nawet niedawno debata, czy to wypada, aby na rynku funkcjonowała tego rodzaju literatura – wtórna, odtwórcza, bazująca na tym, co już było opisane, rzadko odkrywczą. Otóż moim zdaniem nic w tym zdroźnego, pod warunkiem, że – tak jak

Jarosław Molenda w szkicach *Przy stoliku w Czytelniku* – robi się to porządnie warsztatowo i uczciwie wobec czytelnika. Miarą tej autorskiej uczciwości jest możliwie pełna bibliografia oraz zamieszczone przypisy, które wskazują na źródła i zapożyczenia zmieszanych informacji, anegdot, ocen i opinii. Z drugiej strony, innego wyjścia przecież nie było, skoro przy żadnym z opisywanych na 450 stronach książki „stolików” się nie gościło, może ogłędając je jedynie z dystansu. A więc bazą u Molendy była solidna, rzetelna kwerenda, która nie pominęła żadnych źródeł typu pamiętniki, wspomnienia, anegdoty czy relacje, jak też szerszych analiz czy opracowań, choćby pamiętnych szkiców redaktora Jacka Żakowskiego zamieszczonych przed laty w „Gazecie Wyborczej”, dotyczących stolika Konwickiego, Szymańskiej i Holoubka w kawiarni Czytelnika. Mamy więc solidny warsztat, obejmujący także poważniejsze analizy zjawiska, a co w takim razie z samą lekturą?

Cóż, trzeba bardzo dobrego nosa wydawcy, jakim jest Prószyński Media, żeby wpasować się z książką Molendy na chwilę przed rozpoczęciem letniej kanikuli – bo może być ona właśnie typowo letnią, acz nieco poważniejszą lekturą, miłą przy kieliszku popołudniowego prosecco, a przy tym z każdym nowo otwartym szkicem coraz bardziej zajmującą w cieplejsze lipcowo-sierpniowe wieczory. Przytacza ona bowiem wszystko to, co każdy inteligent powinien skądinąd wiedzieć – komasując niejako wiedzę o stoliku literackim (opozycyjnym, dziennikarskim, aktorskim...) epoki PRL-u i nowej Polski. Ujawnioną i opisaną już zresztą w wielu książkach, które się onegdaj przeczytało, przetrawiło i odstawiło na półkę: od *Alfabetu moich wspomnień* Antoniego Słonimskiego czy *Kolorowych ludzi* Zdzisława Czeremańskiego, poprzez lekturę prozy z kluczem Jerzego Andrzejewskiego, Stanisława Dygata, Leopolda Tyrmanda, Tadeusza Konwickiego, Brezy, rozproszonych wspomnień Szymańskiej, książek Głowackiego, Kisiela, Urbana, Kutza, Łapickiego, Gruzy, Andermana, Bikont, Żakowskiego i wielu innych.

Niby to wszystko się wie, ale u Molendy można zapoznać się z innymi kontekstami i nowymi ocenami poszczególnych zjawisk, a jest to przecież podróż od czasów stolika Skamandra na półpięterku w Ziemiańskiej i Gombra w Zodiaku aż do formalnego zamknięcia stolika w Czytelniku przez Tadeusza Konwickiego. Mamy więc zarówno barwną paletę polskiej kultury i życia literackiego, jak i właściwie pierwszą typologię zjawiska, które przecież wywodzi się zarówno z angielskiej tradycji klubu Pickwicka, jak i francuskiej Café de Flore. A jednak polski *stolik* miał w sobie coś więcej, niż tylko miejsce spotkań elity – walor niemal wyroczni – co Molenda bardzo dobrze przedstawia i cytuje, a miejscami nawet głęboko i mądrze analizuje. Wyroczni zarówno moralnej, jak w przypadku Antoniego Słonimskiego (który swój stolik prznosił wraz z własną osobą niejako w takt przykrości, a później jawnych prześladowań peerelowskiej władzy – choć zawsze na osi Traktu Królewskiego...), jak i wyroczni literackiej, czyli stolika w Czytelniku, przy którym przez kilkadziesiąt lat zasiadali Tadeusz Konwicki, Gustaw Holoubek, Irena Szymańska... Mając zresztą za sąsiednie stoliki – literacki Tadeusza Brezy czy – już w latach 80/90-tych – dziennikarski Stefana Bratkowskiego.

Autor barwnie opisuje stałych i przelotnych uczestników tego zjawiska, a także licznych akolitów – literackich, aktorskich, artystycznych. I jest to tkanka świetnych anegdot i opowieści, od Słonimskiego i Dygata, przez

Głowackiego i Iredyńskiego, po kamieniarza, pisarza i aktora w jednym – Jana Himilsbacha. Mamy więc rozdziały poświęcone poszczególnym postaciom jak Szymańska, Konwicki, Słonimski, Borejsza, Holoubek, jak i polskim przełomom: listu 34, zamknięciu *Dziadów* w reżyserii Kazimierza Dejmka w 1968 roku czy wybuchu Solidarności i wprowadzeniu stanu wojennego. To wszystko czyni lekturę tę bardzo atrakcyjną, bo skupiającą opowieści rozproszone, ale stanowiące kod kulturowy, po którym rozpoznaje się ludzi swojej sfery, wykształcenia i zainteresowań. Swoją drogą chciałoby się z takich zbiorów uczynić nawet licealną lekturę szkolną, przynajmniej dla klas humanistycznych. Młodzież czytałaby z wypiekami na twarzy i kto wie, czy za takim pośrednictwem nie wciągnęłaby się w świat kawiarni literackiej i stolika?

Jerzy PAPUGA

FUNDUSZ WSPARCIA „RES HUMANA”

Wydawanie „Res Humana” wsparły ostatnio wpłaty dokonane przez:

Pana Zdzisława BŁASZKOWA z Gdyni

Pana Antoniego JAŚKIEWICZA z Koszalina

Pana Waldemara MIELEWCZYKA ze Skarbimierza

Pana Kazimierza SŁYSZEWSKIEGO ze Starogardu Gdańskiego

Państwa Walerię i Pawła WALCZAKÓW z Zielontkowa

Pana Janusza WIŚNIEWSKIEGO z Warszawy

Pana Leszka WOLSKIEGO z Otwocka

Bardzo serdecznie dziękujemy!

REDAKCJA

Rachunek Redakcji Res Humana: 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146

za'ks
sprzyjamy wyobraźni

Z podziękowaniem za wsparcie
naszej pracy na rzecz kultury.

„Res Humana”

ZAPRASZAMY DO LEKTURY KSIĄŻEK Z SERII WYDAWNICZEJ **Biblioteka RES HUMANA**

Andrzej Żor, ***Historia jako łańcuch dygresji***

W poszukiwaniu faktów i zdarzeń podważających oficjalnie uświęcone interpretacje autor wędruje od czasów saskich po dzieje XX w.

Wyd. grudzień 2023

Cena: 30,00 zł plus 15,60 opłaty pocztowej



Wiesław Łuka, ***Ku pokrzepieniu – sztuki piękne***

Ostatni tomik cenionego reportażysty, w którym od wybitnych przedstawicieli różnych dziedzin sztuki wydobywa myśli na temat Piękna

Cena: 25,00 zł plus 8,30 zł opłaty pocztowej

Eugeniusz Kabatc – świadectwo pamięci

Wspomnienie o pisarzu, przyjacielu Jarosława Iwaszkiewicza oraz jego „utwory rozproszone”

Cena: 20,00 zł plus 8,30 zł opłaty pocztowej



Andrzej Żor, ***O historii, kobietach i kotach***

Nieznane karty z działalności żydowskich *businesswomen* w dawnej Polsce. Skłaniająca do refleksji i zarazem zabawna książka

Cena: 25,00 zł plus 8,30 zł opłaty pocztowej

Robert Smoleń, ***Jak naprawić Polskę?***

Wciąż aktualny, niemal profetyczny, esej autora z politycznym doświadczeniem

Cena: 20,00 zł plus 8,30 zł opłaty pocztowej



Zdzisław A. Raczyński, ***Mak na powiekach***

Powieść o miłości, odpowiedzialności, winie i niepamięci o konfrontacji postaw i wyborów życiowych oraz ujawnieniu straszliwej historii

Cena: 39,99 zł (twarda okładka) plus 8,30 zł opłaty pocztowej

Książki można nabyć w sprzedaży wysyłkowej, po wpłaceniu odpowiedniej kwoty (i podaniu tytułów oraz dokładnego adresu nabywcy), na rachunek Redakcji „Res Humana”: 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146.

W przypadku zamówienia dwóch lub więcej książek zbiorcza opłata pocztowa wynosi 15,60 zł.



9787086718470

04